



MARCIN HYBEL

Awantura na moście

KOMEDYJA WIEKÓW MINIONYCH

Poznaj świat, w którym
było tak błogo, że niektórych
aż krew zalewała



MARCIN HYBEL

Awantura na moście

KOMEDYJA WIEKÓW MINIONYCH

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Epilog

Redakcja: ARTUR SZREJTER
Korekta: VIOLA MUSZYŃSKA
Projekt okładki: MARIUSZ BANACHOWICZ
Skład: DOROTA DOBRZYŃSKA

© Copyright by Marcin Hybel
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment nie może być publikowany ani reprodukowany bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-64185-42-7

Instytut Wydawniczy ERICA
e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl
www.WydawnictwoErica.pl
Oficjalny sklep www.tetraErica.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Dla Ewy, Alicji, Emilii,
bądźcie zawsze uśmiechnięte*

Prolog

Nograsz miał kilkanaście lat, gdy wyruszył w poszukiwaniu cichego i spokojnego miejsca do życia. Zostawił za sobą las, który do tej pory był jego całym światem, i pełen nadziei odnalezienia urodzajnej ziemi i bogatej w zwierzęta kniei zaczął przemierzać północne kresy Krawosadu. Podczas wędrówki spotkał wielu ludzi, którzy, podobnie jak on, pragnęli znaleźć szczęście w nowym, nieznanym miejscu. Jedni wierzyli w istnienie wielkiego miasta, którego władca przygarnąłby tułaczy, zapewnił im pracę i dobrobyt na resztę życia. Inni, w tym Nograsz, chcieli założyć osadę, która, przecięta potokiem, otoczona urodzajnymi ziemiami, zapewniłaby szczęście i upragniony spokój. Wszyscy byli wielkiej wiary i każdy w głębi serca wiedział, że już niebawem bogowie ześlą na nich swą łaskę, obdarowując ciepłym, bezpiecznym miejscem.

Czas wystawił ich cierpliwość na wielką próbę. Tułaczka trwała trzy długie lata, a zakończyła się dopiero wiosną 1130 roku. Wędrowcy natrafili wtedy na rzekę, wokół której rozciągała się żyzna dolina, pełna lasów i pól. Przewodzący grupie wędrowców Nograsz zdecydował osiedlić się właśnie tam. Ludzie wybudowali chaty, zaorali ziemię i posiali proso, w lesie założyli wnyki, a w potokach zarzucili plecione sieci. Pod rządami Nograsza osada rozwijała się w błyskawicznym tempie.

Późniejsi kronikarze spierali się, czy o szybkim rozwoju wioski zadecydowała polityka sprytnego władcy, czy może osadnikom po prostu dopisało szczęście. Wszak niespotykanym było wybudowanie najpierw karczmy, a dopiero potem spichlerza. Byli i tacy, którzy w sukcesierozwojowym wioski dopatrywali się magii. Czego by jednak nie mówić, w ciągu dwudziestu lat rozrosła się trzykrotnie, gdyż osiedlali się w niej kolejni wędrowcy. Po półwieczu Nograd, bo tak nazwano sadybę, szczycił się najlepszymi łowcami Zachodu, znamienitymi budowniczymi, a nawet kilkoma pomniejszych magami. Po stulatach zaś zyskał miano grodu. Każdy mieszkaniec Nogradu starał się dopatrywać profitów, które mogłyby płynąć przez przyznanie tego zaszczytnego miana, ale nie zmieniło się nic poza obowiązkiem płacenia nowego podatku.

W królestwie Krawosadu istniało wiele miast, ale żadna nie była tak spokojna i pokojowo nastawiona do świata jak Nograd. Żadna też nie rozwijała się tak prężnie, a już na pewno w żadnym innym zakątku kraju nie można było spotkać tylu osobliwych mieszkańców, co właśnie w Nogradzie.



obecnie władzę w Nogradzie sprawował kasztelan Gramisz, wnuk nieżyjącego od dawna Nograsza. Włodarzem był rzetelnym i sprawiedliwym i choć wiecznie narzekał na zbyt mały budżet, wszyscy mieli go za dobrego pana.

Pałac kasztelana był niewielki. Kamienna budowla o jednym piętrze, dwóch balkonikach i przybudówce, która pełniła rolę stajni, nie wyróżniała się zanadto od pozostałych zabudowań miasta. Rangę ubożego architektonicznie dworku podnosiła wysoka na trzy piętra wieża, jedyna wieża, jaką można było zobaczyć w całym Nogradzie. Została wzniesiona jeszcze za życia Nograsza, a projektantami tego wymagającego przedsięwzięcia były dwa najtęższe umysły ówczesnej sadyby: Tyszek, któremu niestraszne były liczby nawet powyżej stu, i Lomposz – wizjoner, który wcześniej zasłynął tym, że w ścianie swojej chaty zrobił dziurę i nazwał ją oknem.

Przez ostatnie lata wieżę zajmował czarodziej Melfisz. Do końca swych dni służył Gramiszowi nieomylną wróżbą i względnie pomocną magią. Melfisz zginął zeszłej zimy. W grodzie powiadano, że pomylił gramy z dekagramami, a jako że był alchemikiem i warzył ingrediencje w rodzaju nitrogliceryny, siarki czy ektaliny, o dopowiedzenie sobie reszty historii nie było trudno. Obecnie wieża przykuwała wzrok naruszoną konstrukcją dachu i mocno osmolonymi ścianami. Dopiero teraz, z początkiem lata, rozpoczęto prace remontowe budowli. Na rozstawionym rusztowaniu codziennie uwijali się wykwalifikowani murarze. Pracę rozpoczynali wcześnie. Bardzo wcześnie.

Majster nerwowo stukał obcasem buta o deskę rusztowania, na którym stał. Śledził wzrokiem wspinającego się ku niemu mężczyznę.

– Spóźnienie – syknął przez zęby w stronę gramolącego się murarza.

– Majster... hep... wybaczy – wyjęczał robotnik, wchodząc ociężale na podest. Próbował wyprostować się, ale że promil kolebał mu się jeszcze we łbie, jął gibać się to w przód, to w tył.

Brygadzysta stał nieopodal okien włodarza miasta, toteż zgasił w sobie ochotę wydarcia się z całych sił na pracownika.

– Pijany do roboty przyłazisz? – pisnął ledwie, dając tym upust wzrastającemu ciśnieniu.

– W żadnym... hep... razie. – Odór spożytej gorzały powaliłby krawosadzkiego ogiera. Mężczyzna, próbując ratować napiętą sytuację, wyszczerzył w perlistym uśmiechu ocalałą połowę uzębienia.

– Mów, gdzieś przepił młotek? – prychnął z nienawiścią w głosie kierownik budowy. – I przestań szczerzyć tę zarośniętą paję.

– Nic zem... hep... panie majster, nie... przepił – wydukał, cudem utrzymując się na nogach. – Zapomniałem wziąć z domu.

Twarz brygadzysty jęła z wolna przybierać czerwony kolor.

– Pan majster pamięta... – pijaczek pogroził żartobliwie palcem – ...hep... tuż obok okna...

– Zawrzyj gębę.

– Kiedy ja tylko...

– Zawrzyj, powiadam. Gdy tylko będzie sposobność, zapchaj ją płukanką z szałwii i kandyzowanym imbirem, bo smród niemożebny wydalasz tym otworem.

– Do... hep... dobrze.

– I idź do Romszaka, pożycz ci młotek. Ale pamiętaj, jeśli jutro nie zobaczę twojego narzędzia, potrączę ci za nie z wypłaty.

Besztany murarz myślał o trafnej, a nieobyczajnej ripoście, mając jednak na względzie impulsywność brygadzysty i, w konsekwencji, prawdopodobnie bolesny upadek z rusztowań, zaniechał dalszych polemik.

W komnacie znajdującej się o kilka okien dalej spał Alford, syn kasztelana Gramisza. Obudzony kłótnią robotników, przeciągnął się i donośnie ziewnął. Przetarł zaspane oczy i dostrzegając przez nieszczelne kotary blade promienie słońca, stwierdził, że musi być trochę po szóstnicy. Wstał ociężale, drapiąc się tu i ówdzie.

Alford liczył dwadzieścia lat i był wojmiłem grodu. Pod komendą miał wojsko i straż całego Nogradu. I choć militarne zaplecze miasta było mizerne, by nie rzec: śmiechu warte, i tak niedoświadczonemu paniczowi zdawało się trudne do ogarnięcia. Bolesną prawdą dla jego ojca był fakt, że Alford nie tylko marnie zarządzał siłami zbrojnymi, ale też wykazywał absolutną niezdarność jako wojownik. Dowodziły tego i turnieje, i karczemne bójki.

W obu tych rodzajach rozrywek, przerywających monotonię życia, lubił uczestniczyć, jednakże zazwyczaj potyczki kończyły się dla niego szybkim obcowaniem z glebą tudzież kamienną posadzką.

Wielu skrycie mówiło, że kiepski z niego szermierz, sam Alford żył jednak w przeświadczeniu, iż rębajło z niego srogi. Nie przyjmował do wiadomości, że w kwestii używania broni poszczycić się mógł tylko ubiciem jednego lisa i tuzina zajęcy. W opowieściach karczemnych nie szczędził słów, wychwalając walki, stoczone ponoć z sektą nożowników, bandą najemników czy hordą wilków.

Mieszkańcy grodu tolerowali te bujdy, a zważywszy na pochodzenie oraz śladowy intelekt, jakim szczycił się atrakcyjny młodzieniec, szczędzili mu uszczypliwości i kąśliwych uwag.

Alford podszedł do komody i przejrzał się w wiszącym lustrze. Napinając nieliczne mięśnie klatki piersiowej, zaczął podziwiać swą atletyczną sylwetkę. Podobał się sobie. Gwałtownym ruchem zarzucił na plecy falę długich, jasnych, lekko kręconych włosów, po czym nałożył na głowę elastyczny czepek z baraniego pęcherza, który – zdaniem stylistów – wzmacniał cebulki włosów i utrzymywał w ładzie wysmakowany fryz.

Włosy, smarowane każdego wieczoru specjalnym mazidłem, przyciągały do niego dziewczki z okolicznych wiosek niczym miód pszczoły. On wszakże rozmyślał tylko o tej jednej jedynej. Córka kupca Lemosza zawróciła mu w głowie już na początku lata i od tamtego czasu Alford niczego bardziej nie pragnął, jak mieć ją na własność.

Nie myślał nawet o korzyściach z ożenku. Nowomodne praktyki zaprzęgania kobiet do pługa, używania ich jako wabików podczas łowów lub w roli jucznych zwierząt przy wybieraniu mułu z dna rzeki były dla niego niczym wobec wizji zjedzenia z ukochaną podsmażanej kaszy bądź przeprowadzenia rozmowy przy palenisku. Oczy przesłaniała mu szczerą, nieskalaną miłość. Marzenia, niestety, nie mogły się ziścić, bowiem ojciec Aliwii za żadne skarby nie zgadzał się na ten związek. Sytuacja wydawała się Alfordowi beznadziejna. Lemosz miał silną pozycję. Dorobił się fortuny na sprzedaży lnianych tkanin i był najbardziej majątnym mieszkańcem Nogradu, wpędzając w niemałe kompleksy nawet samego Gramisza. Dodatkowo zasiadał w radzie grodu, co zapewniało mu królewski immunitet. Mógł więc sobie pozwolić na dobieranie wybrańca dla córki według własnego uznania.

Lemosz nie tolerował wojmiła, uznając, iż każdy z mieczem przy boku ma w głowie tylko pijaństwo i rozpustę. Miał nadzieję, że z czasem i Aliwia to zrozumie, po czym weźmie za męża jakiegoś bogatego kupca bądź wykwalifikowanego rzemieślnika.

Zakochani spotykali się jednak potajemnie, dzień w dzień, wbrew woli Lemosza. Poprzedniego dnia kupiec przygotowywał się do podróży i nie spuszczał oka z Aliwii. Dziewczyna była wszakże przyzwyczajona do nadopiekuńczości ojca i miała swoje sposoby, by sobie z tym radzić. Wymknęła się z domu pod pretekstem dokupienia razowego chleba. Popędziła wprost w ramiona Alforda. Schadzka trwała bardzo krótko, a co gorsza miłosne frazesy i zmysłowe pieszczoty zostały zastąpione szlochem Aliwii i trwogą Alforda. Wojmił dowiedział się wówczas od ukochanej, że

Lemosz wyjeżdża z miasta na siedem długich dni, a ją samą przekazuje na ten czas do klasztoru swojego brata, bogoboja Kumara. Słyszając te wieści, Alford poczuł, jakby dostał obuchem. Po tylu codziennych spotkaniach rozłąka wydawała się nieludzką torturą, której nie przeżyliby nawet bogowie, z Perunem na czele.

Klasztor oddalony był od miasta o pół dnia jazdy konnej. Wojmił powiedział, że mógłby pojechać za ukochaną, jednak Aliwia prosiła go o cierpliwość. W końcu nienadaremnie sama wybłągała ojca, by zostawił ją u wuja Kumara, a nie gdzieś dalej. Z pewnością miała jakiś plan.

Lemosz wyjechał w środku nocy, więc Alford zakładał, że Aliwia już od dłuższego czasu powinna być u Kumara. Na wczorajszym spotkaniu obiecała, że z samego rana dostanie od niej gołębia z liścikiem. Co prawda dzień dopiero się zaczynał, ale wojmił już zamartwiał się brakiem jakichkolwiek wieści.

Sięgnął po misę z wodą i przemył twarz. Popatrzył w lustro i z rozdartym sercem zaczął rozmyślać, co też mogło się stać. „Może zapomniała, jak się pisze?” – zadał sobie w duchu pytanie. Wszak on już nieraz zapominał.

Pozbawiony jakiegokolwiek chęci do życia, przywdział lniane spodnie, rozsunął kotary i wyszedł na balkon. Był wczesny ranek, ale sierpniowe słońce już budziło się do życia. Dostrzegł w oddali majstra, na którego pokłon grzecznościowo odpowiedział kiwnięciem głowy. Powiódł wzrokiem po robotnikach, skuwających z kamieni wieży smolisty nalot, po czym zapatrzył się rozესpanym wzrokiem w horyzont.

Rozmyślał, czy jednak nie pojechać do klasztoru. Zaczęłyby się dobijać do bram monasteru i zażądały widzenia z Aliwią. Wiedział, że w dzień powszedni ludzie nie mieli wstępu na teren świątyni, ale może dla niego bogobój zrobiłby wyjątek. W końcu był wojmiłem, a nie byle kmiotem. Z drugiej strony nie był pewien, co by na to powiedziała Aliwia. Wszakże prosiła, by cierpliwie czekał na wiadomość.

Jego przemyślenia przerwał widok ptaka, którego sylwetka zamajaczyła na tle przejrzystego nieba. Wydawało się, że zmierza w kierunku pałacu kasztelana.

– Tylko spokojnie – szepnął pod nosem Alford. – Tylko spokojnie.

Mrużąc oczy przed promieniami słońca, próbował rozpoznać gatunek ptaka. Czy to możliwe, że w końcu napisała?

– Tak! – krzyknął po chwili. – Tak!

Aliwia pobierała nauki pisania od samego Alforda. I choć nadużyciem byłoby stwierdzenie, jakoby ten czuł się mocny na tym gruncie, to prawdą było, że dzielił się z ukochaną wszystkimi notatkami, które sporządzał pod okiem lingwisty. Alfordowi daleko było do biegłego władania literą pisaną czy słowem czytany. Po prawdzie, jego literackie zmagania przyrównać można było do równie ubogiej sprawności szermierczej.

Co gorsza, były i ofiary kiepskiej znajomości wszelakich nauk pobieranych przez Alforda. Pewien znamienity szablista życiem przypłacił piątą lekcję fechtunku, której udzielał młodzieńcowi. Poprosił Alforda, aby ten zamarkował atak rapierem. Wojmił istotnie atak wyprowadził, ale rzucając sztyletem. Po incydencie bił się w pierś, winą obarczając instruktora, że ten zawile objaśniał mu instrukcje. Z kolei niejaki Gneszus, ceniony językoznawca, po drugiej lekcji z Alfordem sądził, iż wolą bogów jest utrzymywanie blokady na pomyślunek książęcy. Trzecią lekcję zaś przypłacił nagłą siwizną i przewlekłym obłędem.

I choć kolejni nauczyciele podupadli na zdrowiu psychicznym, opłacając własną krwawicą próby rozjaśnienia opornego umysłu wojmiła, to wypada nadmienić, iż Alford się starał. Starał się z sił całych.

Gołąb pocztowy, wyczerpany podróżą, doleciał do podekscytowanego syna włodarza i przysiadł na barierce balkonu. Przepełniony euforią męczyzna odczepił liścik od nóżki ptaka, rozwinął drżącą dłonią malutki papirus i pomagając sobie palcem, jął z wolna składać litery. Szybko jednak

zaniechał prób, gdyż liścik okazał się magiczny. Tajemniczy głos z zaświatów odczytał treść: „Kuję miecze. Niedrogo. Worgat z Kadmani”.

– Cholera by was zżarła – wycedził. – Dżuma, syfilis, podli zasańcy. Niedługo w kalesony ziorać mi będą. Rozeźlony, rzucił liścik na ziemię i wszedł do komnaty. Już miał zasunąć na powrót zasłonę, już miał zacząć złorzeczyć pod nosem na obecną formę reklam, już chciał myśleć nad propozycją nowego dekretu, który przedłożyłby swojemu ojcu, kiedy to przez oszklone wierzaje balkonu dostrzegł kolejnego gołębia.

Szybko wybiegł na zewnątrz, pochwycił wyraźnie zmęczone stworzenie i wyrwał liścik przytwierdzony do nogi. Przeklinając swą nieostrożność, rzucił na ziemię oderwaną nóżkę i obficie krwawiący tułów ptaka, po czym wziął się za składanie liter.

Szło mu opornie, a trudności pogłębiał fakt, że Aliwia nie była sprawna w posługiwaniu się piórem. Po prawdzie, najpewniej czuła się w alfabecie tylko do litery „s”. Kolejne z niecodziennych znaków traktowała jako osobliwe, by nie rzec: mniej konieczne.

Alford się skupił, a zwykł to czynić niezwykle rzadko. Pierwsza litera zdawała mu się bohomazem. Jakąś głupotą. Utwierdziwszy się w przekonaniu, że takiej nie ma, że to wzór jakiś, szlaczek, mający na celu upiększyć słowo właściwe, przeszedł do litery drugiej. Litera „y”, łatwa, szybka w odczycie, lubił ją wielce. Migiem odczytał i następną – „d”, a potem kolejną – „e”. Był dumny z siebie. Powtórzył na głos:

– Yde. – Pomyślał, podumał, szepnął raz jeszcze: – Yde.

– Hm – mruknął pod nosem. Wsparł się o poręcz balkonu, po głowie się podrapał. Zgodnie z nauką Ortanusa nabrał powietrza, wstrzymał oddech i z wolna przeczytał raz jeszcze:

– Yde... Szlag by to trafił – zaklął rozeźlony. – Dać babie pióro! Między skrońmi kolebie się pustka i taki jest efekt.

Poirytowany, zmiął w pięści zwitek papieru. Szybko jednak ochłonął i wziął się do czytania raz jeszcze. Słowo wstępu zostawił w spokoju i skupił się na drugim wyrazie.

– Długie – sapnął, przyjmując to jako wyzwanie.

Rozluźnił ramiona, kilkoma ruchami głowy zwolnił spięte mięśnie karku, nabrał trzy głębokie hausty powietrza, zaparł się nogami i nie tracąc ducha walki, spróbował szybko przeczytać cały wyraz. Poszedł jak burza. Zatrzymał się jednak na czwartej literze.

– Połu – burknął pod nosem.

Knykcie prawej ręki białały od ściskania poręczy balkonu. Lewa dłoń zaciskała się na zwitku papieru, jakby chciała zeń kwartę soku upuścić. Zawziął się w sobie. Znowu kilkakrotnie nabrał powietrza, a nogami zaparł się o podłogę, jakby ktoś próbował zrzucić go z balkonu. Koncentrując się na każdym symbolu, jał składać z wolna słowo na nowo.

– Płodniawą! – ryknął nagle. – Płodniawą? – zapytał siebie na głos, nie zauważając nawet dopingujących go w duchu murarzy. Ci jak jeden mąż stali i pełni podziwu śledzili karkołomne zmagania wojmiła.

– Połydniawą? – nie dawał za wygraną Alford. – Połydniewą, płydniewą, płydniawą?

Na chwilkę przestał spoglądać w liścik. Pomny nauk Ornatusa, że czasem umysł musi odpocząć, wziął kilka wdechów i wpatrując się w bliżej niesprecyzowany punkt na niebie, błędził po dziewiczych zakamarkach umysłu, by uchwycić sens nieznanego słowa. W pewnym momencie inteligencja, skryta nad wyraz głęboko w umyśle młodzika, na moment się ujawniła, zdradzając obecność w chytrym spojrzeniu i zmarszczonym czole. Trwało to jednak króciutką chwilę, bowiem ciszę zakłócił ryk brygadzysty:

– Uwijać się szybko, wałkonie, w południe skwar będzie lał się z nieba, a wy dalej...

– Południową! – Alford huknął tak, że jeden z murarzy prawie spadł z rusztowania.

Syn kasztelana nie zwrócił na to uwagi. Chcąc iść za ciosem, wziął na warsztat kolejny wyraz. Dostrzegł, że dwie pierwsze litery są takie same jak w poprzednim słowie.

– Eee, to nawet zgadnę – pocieszył się i w mig przechodząc od słów do czynów, rozpoczął wyliczanie: – Posa, posu, potu, poru... Pora... Porą! Yde południową porą – krzyknął uradowany. – Bydę, będę – poprawił się po chwili. – Będę południową porą.

Władczo unosząc głowę, przebiegł wzrokiem po murarzach. Lubił wzbudzać respekt. Starał się nie obnosić ze swoimi talentami pośród mieszczańskiego motłochu, jednak czasami przyjemnie go łechtał cichy poklask i wyrazy uznania nawet wśród zwykłych pachółków.

Szczęśliwy zbliżającą się wizytą ukochanej, wszedł do wietrzonej jeno z przypadku komnaty.



Mieszkańcy Nogradu wiedli spokojny żywot. Czasem jednak spokój ów był tak dokuczliwy, że zamieniał sielankowe życie w monotonną wegetację. Poza siedzeniem w karczmie, oglądaniem tych samych produktów na straganach czy śledzeniem Jagodziny, która często spacerowała z nazbyt głębokim dekoltem, tak naprawdę nie było co robić. Bezczynność i nużący błogostan czasem dawały tak w kość, że niektórzy narzekali na brak wojaczki, utyskiwali na mizerną liczbę wykroczeń w mieście, o których można by potem opowiadać tygodniami przy pełnych kuflach piwa, bądź biadolili na brak afer w rodzinie kasztelana. Zawieszane na sznurze niedoprane gacie włodarza nie zadowalały żadnych sensacji podwładnych. Ciekawsze zdarzenie, jakim był zeszłej zimy wybuch wieży mistrza Melfisza, owszem, poderwało tłumy. Jednak dyskusje o tragedii przejadły się już na początku jesieni.

Ludzie wypatrywali niecodziennych wydarzeń, czegokolwiek, co mogłoby nadać kolorytu szarej codzienności. Wszak jak długo można było czerpać satysfakcję z wiecznie urodzajnych plonów, tanich artykułów na bazarze, pięknej pogody, sprawiedliwych rządów czy zawsze chętnych małżonek.

Wydawało się, że nudę ospałej miejsciny rozproszy banda rozbójników, dowodzona przez niejakiego Rotupala. Atakowała kupców na gościńcach, i choć robiła to w sposób kulturalny, starając się nie przelewać zbyt dużo krwi, mimo to dostarczała pewną ilość rozrywki mieszkańcom Nogradu. Co z tego, skoro tego dreszczyku emocji nie zaakceptował kasztelan Gramisz. Podejmując próbę obławy, spotkał się z ostrą krytyką ze strony nogradczyków. Naciski były tak mocne, iż Gramisz bliski był obwieszczenia dekretu, że Rotupal i jego zgraja zwyrodnialców zajmujących okoliczne bory zostanie objęta ochroną, podobnie jak jeleni czy

benelska jaskółka. Na szczęście dla władcy obyło się bez tego – mieszkańców Nogradu uspokoił sam fakt wycofania straży z gęstych borów.

Niestety, z czasem zaginął nawet słuch o bandzie Rotupala, a okoliczne trakty, podobnie jak cały Nograd, na powrót zaczęły razić spokojem. Ludzie powiadali, że rozbójnikom nie wiodło się na gościńcu najlepiej. Ponoć przez brak doświadczenia w walce i na skutek mizernej jakości zastawianych pułapek, bandyci bardziej szkodzili sobie aniżeli ofiarom. Zrażeni niepowodzeniami, zaniechali intratnego – zdawać by się mogło – zajęcia, by wrócić do problemów życia codziennego.

Część bandy rozpierzchła się po okolicznych wsiach bądź odległych księstwach, reszta osiadła w Nogradzie i ułożyła sobie życie na nowo.

Jeden ze zbójów poślubił córkę znachora Trewiasza, inny wiódł samotne życie, dorabiając jako masztalerz kowala, trzeci okazał się uzdolnionym murarzem, a sam Rotupal odnalazł siłę w bogach. Nie było kazania bądź śpiewnej homilii, w których herszt bandy by nie uczestniczył, siedząc w pierwszym rzędzie. Powiadano, że jego nagła pobożność spowodowana była śmiercią brata Otusa. Zginął ponoć na trakcie, zastawiając pułapkę.

Miasto z dnia na dzień pogrążyło się w martwocie i nikt nie wierzył w poprawę obecnego, nużącego stanu rzeczy. Zdarzało się czasem, że ktoś był świadkiem niepokojących wydarzeń, ale potem okazywało się, że albo coś źle zrozumiał, albo, co gorsza, zmyślił.

Z wartych uwagi incydentów należy wymienić polowanie na stado wygłodniałych wilków, które, zdaniem pasterza, zaatakowały bezbronne owieczki. Co prawda liczba owieczek zgadzała się co do sztuki, jednak mieszkańcy przez dwa dni czuli wrzenie w podnieconych czerepach na myśl o łowach na watahę bestii. Kasztelan wystawił przed Nogradem zbrojne warty, a mieszczanie z pochodniami i włóczniami w rękach, stojąc na palisadzie, wypatrywali krwiożerczych wilków. Niestety, daremnie.

Zeszłego tygodnia zaś ktoś rozgłosił bajdę, że Lamię, uczynną córkę piekarza, zadźgano sztyletem. Czterdzieści pięć ciosów miał zadać oprawca, zarzekał się bazarz. Czas pokazał, że kłamał, bowiem jeszcze tego samego wieczoru żądnej sensacji grupie drobnomieszczan drzwi domu piekarza otworzyła rzeczona ofiara.

Jeszcze wcześniej kramarz Humysz doniósł, że ktoś ukradł jego szkatułę. Jakież było poruszenie na ulicach, gdy straż kasztelana prowadziła przesłuchania. Niektórzy z mieszczan starali się po trzykroć dostać do lochu przesłuchań. Ktoś się chwalił, że go przyduszano, innemu ponoć rękę wykręcono. W końcu Humysz przyznał się, że chciał tylko zrobić sobie reklamę, a przy okazji i miastu dać rozrywkę. „No, chwała mu za to, ale to wszystko mało” – biadolono w grodzie.

W Nogradzie było tak błogo, że niektórych aż krew zalewała. Wielu wierzyło, że to klątwa. Kara za dawne czyny lub ostrzeżenie przed czymś, co dopiero miało nadejść. Ogólnie, cokolwiek by rzec, nuda dawała się we znaki wielu mieszkańcom. A już najbardziej odczuwało ją dwóch najstarszych mieszkańców Nogradu, Lentak i Melmir. Co prawda obaj nie mieli zielonego pojęcia, kiedy naprawdę się urodzili, jednak utrzymywali, że mają po sześćdziesiąt dwa lata. Lentak zarzekał się nawet, że jest o tydzień starszy od kompana, na co Melmir złościł się niepomierne, wierząc głęboko, że to jemu przysługuje tytuł seniora.

Lentak i Melmir przybyli do Nogradu dwadzieścia trzy lata temu. Pochodzili z jakiejś odległej wioski. Dawnymi czasy wiedli szalony żywot, pełen ryzyka i brawurowych przygód, ale ożenek Melmira i postępujący reumatyzm Lentaka wyciszyły byłych awanturników.

Jak co dzień o poranku, siedzieli na ławeczce przy karczmie i wodzili wzrokiem po głównym placu miasteczka. W tej chwili oddychali nerwowo, a splecione na piersiach ręce i w gniewie wykrzywione usta świadczyły o tym, że znowu się pokłócili. Jak zwykle po zaognieniu ich odwiecznego konfliktu Lentak mlaskał bezzębną szczęką, a Melmir pomstował pod

nosem. Było jednak tylko kwestią czasu, by zaczęli wylewnie się przeproszać. A ich przeprosiny przybierały bardzo różne formy.

– Wybacz mi, Melmirze – bąknął po chwili łyсы staruszek. – Nie chciałem cię urazić.

– Ależ, Lentaku – westchnął rozpromieniony towarzysz. – To ja zbyt impulsywnie reaguję z rana. Wybaczysz mi?

– Nie, nie. Nie ma o czym mówić. Jak powiedziałem, czuję się winny. Pozwolisz, że postawię ci kufel?

– W żadnym razie. Na głowę jeszcze nie upadłem. Obraziłem cię, więc pozwól, że ja ci to wynagrodzę.

– Melmirze, rzekłem wcześniej od ciebie, że stawiam, więc zamknij gębę...

– Nie skończyłem, trutniu, więc nie przerywaj! – uniósł się staruszek. – Krzychałem na ciebie, tak?! Więc nie zgrywaj, proszę, pokutnika i daj się zaprosić...

– Pokutnika? Pokutnika?! – Kościsty dziadyga podskoczył na ławce. – Ty krętaczu, ty darmozjadzie, ty, ty obwiesiu kudłaty, a choćbym szeszł, to ci nie postawię!

– I bardzo dobrze, bydlaku jeden! Piwo od ciebie?! Gdzie ja rozum miałem, że chciałem...

– Rozum u ciebie? – Długowłosy dziadek zaśmiał się. – O bogowie! Trzymajcie mnie, bo umrę.

– Przynajmniej raz zrobiłbyś coś dobrego!

Lentak zgromił Melmira wzrokiem, burknął coś niezrozumiale, po czym odwrócił głowę. Na nowo zaczęli sapać i dyszeć.

– Słońce stoi już dwa łokcie nad linią drzew – zaczął nieśmiało Melmir.

– W istocie. – W głosie drugiego staruszka dało się słyszeć wyraźne pobudzenie. – Zaraz powinna przejść Jagodzina.

– Cicho, tam jest! – Melmir wskazał palcem między domostwa. Podniecony, poderwał się z ławki, jakby oglądał rozgrywki kuszników.

Dziadkowie jak na komendę wypięli cherlawe piersi, dumnie unieśli głowy, a nogi równo złożyli ku sobie. Wspomnieć należy, że jeszcze rok temu z powodzeniem jedną na drugą zakładali, ale te czasy bezpowrotnie minęły. Znachor zabronił im gwałtownych ruchów. Lentak naprężył się zanadto i coś chrupnęło przy lewej łopatce. Nie dał jednak tego po sobie poznać i, podobnie jak Melmir, uśmiechnął się w kierunku ponętnej żony młynarza. Co prawda, w przeciwieństwie do Melmira, jego twarz do reprezentatywnych nie należała z uwagi na nieliczną absencję uzębienia, jednakże pocieszał się, że nadrabia to osobistym wdziękiem i atletyczną sylwetką. Skąd powziął takie przeświadczenie, nikt nigdy nie zgadł.

– Już przeszła – stęknął długowłosey.

Jak na komendę wypuścili z piersi powietrze i dusząc w sobie potrzebę kaszlenia, puścili wodzę fantazji.

– Taką to bym... – stęknął Lentak.

– Ale... – jęknął kolega tonem eksperta.

– Aż by się...

– Oj, żebyś wiedział.

– No wiesz, Melmirze, ty jesteś żonaty, więc jedyny, który miałby jakąś szansę, to tylko ja...

– Szansę? Lentaku, nie rozśmieszaj mnie, proszę. Twa gęba pozbawiona zębów, włosów i brwi nie działa na dziewczki zbyt kusząco. W ogóle, jeśli o mnie chodzi, to czasem tak patrząc na ciebie, mam wrażenie, że to gada dupa.

– Że co?

– Poza tym, Lentaku, ty do swojej ciżmy nie sięgniesz palcami.

– A zdziwiłbyś się – zachnął się kolega. – Pompki zacząłem robić!

Melmir zmierzył go wzrokiem. Pomyślał chwilę, po czym wybuchnął niekontrolowanym śmiechem.

– Co? Mam coś na sobie?

– O bogowie! – ryknął Melmir, z trudem łapiąc oddech. – Na Peruna! O matko moja!

– No, o cóż ci chodzi?

– Nie, nie, już nic. – Melmir przetarł wierzchem rękawa załzawione oczy.

– O bogowie. Po prostu coś sobie wyobraziłem.

Lentak wzruszył ramionami i udając brak zainteresowania dalszym wywoдем kompana, oddał się obserwacji pobliskiego placu. Dostrzegł kilku kupców zajętych rozkładaniem kramów. W oddali tęga babina wylała przez okno pomyje. Do fontanny podbiegł chłopczyk z drewnianym mieczem. Lentakowi przeszło przez myśl, że pewnie, jak co dzień, napluje do niej, by potem nabijać się z reprimendy Melmira.

– Ty, popatrz, jaki gówniarz. – Wyrwał go z zadumy głos towarzysza. – Napluł do fontanny! Ty gówniarzu jeden! – krzyknął wzburzony Melmir. – Czekał no, niech tylko cię dorwę!

– Oj, daj spokój! – naburmuszył się bezzębny Lentak. – On ma w nosie te twoje napomnienia.

– Ależ trzeba tępić takie zachowania! – obruszył się Melmir. – Ktoś może będzie chciał się napić z fontanny.

– Przecież jeszcze dziesięć lat temu sikaliśmy do niej! – zachnął się Lentak.

– Nie mierz innych swoją miarą! – Długowłose przyjaciel pogroził mu palcem. – Z tego chłopaka może jeszcze wyrosnąć porządny obywatel.

– Sugerujesz mi, że...

– Niczego ci nie sugeruję – przerwał mu Melmir. – Po prostu tępię naganne zachowanie.

– Eee tam. – Lentak machnął ręką i wrócił do obserwacji otoczenia. Spokój i cisza jak makiem zasiał. Nawet kramarz wbijał kołki namiotu jakoś tak cicho, z wycuciem. Nuda przemożna dawała się we znaki. W mieście po prostu nic się nie działo. Nawet gdyby ktoś wybrał się do siedziby zakonu Peruna, zostałby uraczony co najwyżej nudnym do bólu kazaniem bogoboja Kumara. Morały bogobojne, jak zwykł je nazywać Kumar, były tak monotonne, że ich wysłuchiwanie zalecał w formie kuracji znachor Trewiasz. Oczywiście osobom nazbyt impulsywnym, agresywnym wobec otoczenia.

Lentak z Melmirem tylko raz byli na śpiewnych homiliach, ale i tak nie doczekali końca mszalnego spektaklu. Wyproszono ich, gdyż chrapaniem zagłuszali solistów świątynnych. W efekcie wychodziło na to, że najbardziej zajmującym zajęciem w Nogradzie było siedzenie na ławeczce przed karczmą. I choć starzy przyjaciele obiecali sobie, że już nigdy nie zawitają do klasztoru bogoboja, to ostatnio słyszeli krążące po grodzie plotki, jakoby Kumar zamierzał rozdawać ludziom płacidła za wysłuchiwanie boskich morałów. Z tego też powodu starszycy wahali się teraz, czy nie zaryzykować drugiego podejścia do homilii. Mogliby przynajmniej podreperować stan sakiewek. Do kolejnej mszy zostało jeszcze parę dni, toteż na razie wstrzymywali się z podjęciem decyzji.

Starszycy ze zde gustowanymi minami wodzili wzrokiem to w lewo, to w prawo, aż na horyzoncie zamajaczyła im sylwetka znajomka, Wasoga. Niski, korpulentny brodac w kamizelce wiecznie upačkanej jedzeniem toczył się powolnym krokiem w kierunku karczmy.

Właściciel oberży, Bydosz, był dobroczyńcą Wasoga – zapewniał mu zniżki, nigdy nie lał chmielu z dna beczki, a każde polibacyjne wyczerpanie organizmu bezpłatnie kurował wywarem z pokrzywki.

Wasog był w sile wieku, liczył czterdzieści lat z drobnym okładem, ale z powodu ilości spożytej wódki, wina i zupy chmielowej można by mu było z powodzeniem dodać i drugie tyle. Brodac był słynnym moczygębą,

a wieści o jego bezbrzeżnym gardle wielokrotnie już obeszły zarówno miasto, jak i okoliczne wsie. Czerwony nochal i pękate brzuszysko były wizytówkami tego spokojnego z natury człowieka.

Wasog co roku brał udział w zawodach na największego Wydmikufla Nogradu. Występował z ramienia Bydosza, reklamując jego przybytek. Od dziesięciu lat wygrywał, z powodzeniem gromadząc medal za medalem.

Codziennie ćwiczył i nie opuszczał ani jednej popijawy. To dowodziło, że człkiem był sumiennym, zdyscyplinowanym i bez reszty oddanym sprawie. Melmir z Lentakiem cenili sobie ludzi z pasją, a więc i tę znajomość pielęgnowali.

– Wi... hep... witajcie! – krzyknął Wasog w stronę dziadków.

– Nasze uszanowanie – odpowiedzieli chórem.

– Wi... widzę, że wypoczywacie.

– Jakżeby inaczej – westchnął Melmir.

– Przyszedłem poćwiczyć. Za kilka dni festyn, a trzeba... hep... a trzeba przecież dbać o kondycję.

– Naturalnie – rzekł Lentak.

Wasog uchylił drzwi tawerny.

– Wchodzicie?

– Za chwilę – powiedział Melmir.

– Zaraz będzie wracać Jagodzina – dodał Lentak w stronę brodacza, ale drzwi już się za nim zamknęły.

Staruszkowie na powrót zajęli się lustrowaniem otoczenia. Melmir skupił się na fontannie, błagając w duchu bogów, by wrócił pod nią smarkacz. Lentak natomiast w takt zasłyszanej niegdyś melodii szurał skórzaną cizmą po ziemi.

Czas pokazał, że czujni byli niebywale, bowiem w momencie, gdy tylko wśród kramów zamajaczyła sylwetka małżonki młynarza, szturchnęli się

i jeśli śledzić jej poczynania. Melmir pożerał kobietę wzrokiem, a Lentak mlaskał i dyszał, układając w myślach pierzynowe igraszki.

Gdy znikła w gęstwinie drewnianych chat, wymienili się kilkoma nieobyczajnymi spostrzeżeniami, a następnie weszli do karczmy Bydosza.

Powiedli obojętnym wzrokiem po głównej sali przybytku. Lokal był względnie zadbane: podłoga zamieciona, szynkwasy umyty, a stoły przetarte na tyle, że nie odstraszały klientów. Mimo wczesnej pory w oberży zasiadała już słuszną liczbą klientów. Kremusz z Hemną zajadali się miodową kaszanką, Pamgot zapijał piwem gotowaną rzepę, a Humysz – znany na cały Nograd ze sprzedaży glinianych naczyń i oszustw podatkowych – chwalił dopiero co przyrządzoną jajecznicę. Pod ścianą, przy kominku, siedziało dwóch kupców i miasteczkowy bard Fermin. Trubadur, jak co dzień, od rana do świtu umiłał biesiadnikom czas, grając na wyraźnie zmęczonej życiem lutni. Nie mniej zmęczony wydawał się karczmarz Bydosz. Przysadzisty wąsacz o szerokich barkach i wysuniętej szczęce stał zgarbiony przy szynkwasy i wysłuchiwał utyskiwań służki. Ta pewnikiem znowu była nagabywana przez Fermina rynsztokową przyśpiewką.

Na środku przy stoliku siedział Wasog. A raczej leżał, gdyż głowę ułożoną miał na blacie pośród pustych kufli. Jego mętny wzrok błędził gdzieś po niebycie, szukając zapewne odpowiedzi na pytanie, czy długo przyjdzie mu jeszcze bronić tytułu Wydmikufla Nogradu. Usta, sine jak u nieboszczyka, zaciśnięte były jakby w geście odmowy przyjęcia czegokolwiek w swe progi. Jedyne dłoń przejawiała resztki życia, bowiem trzymając kurczowo miedzianą monetę, sprzeciwiała się ogarniętej snem reszcie organizmu i próbowała złożyć kolejne zamówienie.

– Spójrz. – Melmir wskazał truchło Wasoga. – Zdjęło dziada momentalnie.

– Zabójczy na krótkich dystansach – pochwalił pijanicę Lentak.

– Istotnie, pustych kufli jeszcze nie zliczyłem. Dosiądźmy się do niego.

– Bydoszu, dwa mocne kapery! – krzyknął bezzębny staruszek. – Tylko nie traktuj nas cienkuszem, który dajesz temu pijanemu obwiesiowi.

Karczmarz burknął coś niezrozumiale pod nosem, pokręcił z dezaprobatą głową, po czym sięgnął do beczki. Na prośbę Szajgi, żony Melmira, podawał im co dzień wodę zaprawioną gorczycą i miodem. W opinii nieświadomych podstępów staruszków trudno było znaleźć w Nogradzie mocniejszy trunek.

Po chwili drobna służka postawiła przed dziadkami kufle i udała się na zaplecze, mijając szerokim łukiem Fermina z lutnią.

Dziadkowie skosztowali fałszywego piwa, jak na komendę oblizali wargi, przetarli je rękawem i znużonym wzrokiem powiedli po biesiadnikach.

Było tylko kwestią czasu, by jak co dzień – tak dla zabicia czasu – któryś z nich wybrał kozła ofiarnego do zwymyślenia. Na pierwszy ogień poszedł bard Fermin. Zaczął Melmir, tyradą krótką, acz treściwą:

– Ten grajek działa mi na nerwy – syknął zajadle.

– Żebyś wiedział. Co to w ogóle za muzyka? Dawniej było nie do pomyślenia, żeby tak rzępolić, a teraz?

– Szarpidrut i tyle. Grzmoci w te struny bez opamiętania, a pieśni rozprawiają jeno o smokach i dziewicach.

– Pfff, smoki i dziewice – obruszył się Lentak. – Czasy takie francowate, że łatwiej o spotkanie tych pierwszych.

– Żebyś wiedział, Lentaku – westchnął Melmir, po czym rzucił spojrzenie przez okno. Na placu można było zauważyć coraz więcej osób. I choć przy fontannie nikogo nie było, to dziadek, nadal poirytowany incydentem płucia do wody, wyraźnie szukał wzrokiem chłopczyka. Do obserwacji dołączył Lentak. Jego uwagę szybko przykuł chłystek, kręcący się przy dwóch rumakach uwiązanych do belki po drugiej stronie ulicy. Dostrzegając wyraźne efekty wandalizmu, obruszony wypalił:

– Patrz, Melmirze. Kupisz rumaka przedniego, silne kopyto, dupsko jednym prężnym mięśniem, w galop przechodzi już przy drugim wydechu mówionego pacierza, a tu taki łachudra, podlec zasrany, przyjdzie i gwoździem po boku przejedzie. No nie dzielić smarkacza nahajką po grzbiecie?

– Draństwo było, jest i będzie, Lentaku. To nie to, co dawniej. Szacunek, obopólne poważanie. Gdzie tam teraz usłyszysz „dzień dobry”, kto cię tam pozdrowi... Nie wiem, kto dzisiaj chowa tę młodą hołotę, ale świat chyli się ku upadkowi.

– Ba! Ich zachowanie albo godne pogardy, albo usług znachorskich – zgodził się z nim towarzysz. – Dwa dni temu będzie, jak tutaj, w karczmie, słyszałem dziewczkę. Wyobraź sobie, mówiła ci ona do jakiegoś chłystka, że jak zgasi świecę, to weźmie do buzi.

– Wosk żrą?

– A żebyś wiedział, że żrą. Mądre to?

Melmir pokręcił z dezaprobatą głową. Już chciał coś rzec, ale wyraźnie zniechęcony faktem, że i tak to nic nie zmieni, machnął tylko ręką. Sięgnął po kufel i upił trzy pełne łyki fałszywego piwa. Nie uszło to uwagi Lentaka. Momentalnie chwycił za swój kufel i pociągnął cztery. Popatrzyli po sobie, niby od niechcienia, wzruszyli ramionami i jeszcze raz zlustrowali biesiadników.

Spokój nie trwał długo. Długowłose staruszek szparko chwycił kufel, chwilę po nim Lentak. Zmierzyli się wzrokiem i jęli haustami spijać podrabianego kapera. Bydosz stał za szynkwasem i uchwycił pojedynkę wzrokiem. Mimo że przywykł do nawyków staruszków, z rezygnacją pokręcił głową. Odkąd pamiętał, zawsze wyklócali się albo pasowali na wypite trunki. Turnieje migiem nudziły zawodników i zwykle kończyły się już przy drugiej kolejce. Przekonany, że zaraz usłyszy zamówienie, sięgnął po kufelki i napełnił je mieszanką z beczki.

Lentak z Melmirem z hukiem postawili puste kufle na stole i popatrzyli po zebranych. Nie spotkali się z żadnym uznaniem. Nikt im nie przyklasnął, nikt w zachwycie się nie pokłonił, a co gorsza, nikt nawet na nich nie spojrział. Dziadkowie nigdy tego przed sobą nie przyznali, ale ich serca trawiła gorycz i tęsknota za dawnymi latami. Czuli się zbędni i niepotrzebni. Tak naprawdę tylko przyjaźń między nimi była tym, co nadawało kolorytu szarej rzeczywistości. Znajomość podnosiła ich na duchu i sprawiała, że mieli ochotę obudzić się i sprawdzić, czy może tego dnia któryś z nich jest lepszy, czy do czegoś bardziej się nadaje.

Lentak lubił rządzić. Czuł wewnętrzną radość z dyrygowania innymi. W tej chwili ciężko oddychał po wychyleniu napitku, jego pierś dokuczliwie paliła, a w głowie huczało od brakującego tlenu, jednak pstryknął palcem na Bydosza, by ten doniósł kolejne kufelki. Melmir rozsiadł się na krześle jak panisko i daremnie próbował dostrzec jakiegokolwiek biesiadnika, który przyglądałby się im w zachwycie.

– Ależ nudno – jęknął Lentak, odbierając od Bydosza kufle fałszywego kapera.

– Żebyś wiedział – westchnął przyjaciel.

Lentak zdmuchnął pianę z wierzchu piwa i zaczął tępo wpatrywać się w pochrapującego Wasoga.

– Jak dziś, pamiętam... – rzekł zamyślony. – Te zuchwałe rabunki, te pełne emocji ucieczki.

– Ach, Lentaku – rozmarzył się długowłosey staruszek. – Mnie też nieraz świerzbi język, by czarem rzucić, by dłoń do zaklęcia ułożyć.

– No właśnie... – stęknął Lentak i urwał w pół słowa. Zwiesił łysą głowę i wpatrując się bez celu w dębowy blat stołu, oddał się tęsknocie za dawnymi latami. Sięgnął pamięcią do czasów, kiedy dokonywali zuchwałych kradzieży. On, wykwalifikowany łotrzyk, i Melmir – czarodziej. Byli grupą, ba, byli drużyną, której nie dali rady ani banici

z lasów Hogsunda, ani konkurencyjne gildie Kreszona czy Pipiszi. Był moment, kiedy nawet królewskie straże Krawosadu starały się pojmać dwójkę rzezimieszków. Nikt im nie sprostął. Brylowali w przestępczym świątku. Każde drzwi stały przed nimi otworem, żadna skrzynia czy karetka im się nie oparła. Świat należał do nich. A teraz? Melmir cicho pierdnął.

– Dałbyś spokój! – zdenerwował się Lentak.

– O co ci chodzi?

– O co mi chodzi, o co mi chodzi... Ruszmy się gdzieś! Zróbmy coś!

– Może pójdziemy do znachora? Krwi nam nieco spuści dla lepszego samopoczucia.

– E tam. Choćby mi wiadro ułał, niewiele to zmieni.

– No, to... Hm... Grzyby?

– E tam. Chciałbym, nie wiem... Nie brakuje ci tego dreszczyku? Tego...

– Lentak przerwał nagle, a jego wzrok zatrzymał się na monecie dziarsko trzymanej przez nieruchliwego Wasoga.

– A gdybyśmy tak zrobili skok? – zapytał z ożywieniem.

– Znachor kategorycznie zabronił ci forsownych...

– Skok, czyli rabunek, bęcwale! – ryknął poirytowany Lentak, aż jego głos poniósł się echem po całej oberży.

Staruszkowie zamarli z przerażenia. Rozejrzeli się ukradkiem. Dostrzegli, że współbiesiadnicy mieli na szczęście ważniejsze zajęcia niż przysłuchiwanie się ich wywodom. Melmir z Lentakiem wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia i pochyłili nad blatem stołu, by nikt ich nie usłyszał. Obaj mieli problemy ze słuchem, toteż bard Fermin, który zaczął właśnie grać na lutni, musiał się wysilić, by przynajmniej w niewielkim stopniu zagłuszyć pytlujących staruchów.

– Rabunek? – upewnił się z niedowierzaniem emerytowany czarodziej.

– A tak – przytaknął towarzysz. – Pamiętasz, jak wczoraj kupiec Lemosz wygrał tę zdrapkę karczemną?

- Oczywiście. Wyjechał na tygodniowy turnus nad morze.
- Właśnie.
- Do czego zmierzasz?
- On ma tyle płacideł, co my problemów.
- Więc?
- Więc raz, że przypomnimy sobie dawne, dobre czasy...
- A dwa, że się wzbogacimy – dokończył ożywiony Melmir.
- Trzeba tylko obmyślić plan działania.
- Wygrzebałbym moją księgę zaklęć – pisał podniecony staruszek.
- Dokładnie – przyznał Lentak i poklepał przyjaciela po plecach. – Zrobilibyśmy to w nocy.
- Po... po... podobno ma padać – wydukał Wasog, który ni stąd, ni zowąd popatrzył na dziadków mętnym wzrokiem. Trwało to jednak króciutką chwilę, bowiem zaraz potem, przeciążając zapewne organizm wysiłkiem zwerbalizowania myśli, runął twarzą na blat stołu.
- Nie podsłuchuj, opoju! – krzyknął bezzębny dziadek, po czym przysunął krzesło w kierunku kompana.
- Zrobimy to o północy – ciągnął pobudzony staruszek. – Spotkamy się... No, coś tak zmarkotniał, Melmirze? Cóż się stało?
- Szajga mnie nie puści.
- Ja chyba się przesłyszałem! – zapiął na pełne gardło staruszek. Zorientowawszy się, że krzyknął zdecydowanie za głośno, pochylił się ku Melmirowi i wycedził jeszcze raz, tym razem na ucho: – Chyba się przesłyszałem. Nic nie mów tej obmierzłej babie!
- Kiedy ona sama się domyśli... Jakoś tak potrafi. Nie wiem, chyba z moich zmarszczek czyta...
- Melmirze – wszedł mu w słowo kompan, siląc się na spokój. – Na wszystkich bogów, nie zdradź się przed tą szelmą!

– Może być ciężko – rzekł zaniepokojony Melmir. – Uwierz, chciałbym przypomnieć sobie, jak to wszystko było, ale... sam nie wiem.

– Ważne, że ja wiem – pocieszył go Lentak. – Posłuchaj, jak ja to widzę.

Z czasem gwar biesiady i dźwięki lutni Fermina całkowicie zagłuszyły szepty dwóch staruszków. Tylko mimika ich twarzy, rozbiegane oczy i zacierane co rusz dłonie zdradzały, że Melmir i Lentak planują coś chytrego, ekscytującego i niekoniecznie zgodnego z obowiązującym prawem.



lasztor Peruna leżał na niewielkim skalnym wzgórzu. Otoczony był wysokimi sosnami, a od północy opływała go rzeka, która swe ujście miała daleko stąd, w Gramiszowych Górach. Klasztor oddalony był tylko o pół dnia jazdy konnej od Nogradu, ale z powodu gęstych lasów kryjących niskie zabudowania trudno było go wypatrzyć.

Tajemniczą budowlę odkrył sam Nograsz w 1130 roku, w kilka tygodni po założeniu Nogradu. Już wtedy wyglądała na starą, czas srogo się z nią obszedł. Tworzyły ją kamienne, przylegające do siebie domy, posiadające jeden wspólny dziedziniec. Tak naprawdę nikt nigdy nie doszedł prawdy, kto i kiedy wznosił ten przybytek. Nikt też nigdy nie zgadł, dlaczego stał opuszczony ani jakie wcześniej było jego przeznaczenie.

We wnętrzu pradawnego obiektu kryły się liczne pomieszczenia. Niektóre komnaty były małe niczym więzienne cele, inne z kolei ogromne, przestrzenne, w których każdy krok niósł się wyrazistym echem. Całość była połączona chaotyczną plątaniną korytarzy, schodów i przesmyków. Podziemia tajemniczego kompleksu skrywały wyżłobione w skale lochy i tunele, które tworzyły wielki, niezbadany labirynt.

Po świecie krążyły opowieści o okrutnym królu Krawosie, który żył tutaj przed wiekami, siejąc po całym kontynencie strach i zniszczenie. Ludzie mówili, że król został na wieki uwięziony w podziemiach swej warowni, a budynek został przemieniony w labirynt przez samego Peruna, który chciał uniemożliwić okrutnikowi ucieczkę. Pośród murów klasztoru Kumara nie ostały się jednak żadne ślady obecności Krawosa ani jego towarzyszy.

Byli też i tacy, którzy wierzyli w historie o krasnoludach. Według wielu ludowych przekazów mieli oni żyć tutaj przed wiekami i pilnować

niewyobrażalnych bogactw. Jednakże ani krasnoludów, ani skarbów nikt tutaj nie znalazł.

Wielu podróżników starało się zgłębić tajemnicę opuszczonych murów, ale gdy tylko schodzili do podziemnych labiryntów, słuch o nich ginął.

Z czasem coraz mniej osób było zainteresowanych badaniem obiektu, a znaleźli się i tacy, którzy przeklinali to miejsce, wierząc, iż jest nawiedzone przez pradawne duchy.

Przed niespełna czterdziestu laty niejaki Kumar, kilkunastoletni chłopiec, poruszony śmiercią matki, zostawił w Nogradzie młodszego brata Lemosza z ojcem i zdecydował wieść samotne życie pośród tych opuszczonych murów. Oddał się bez reszty modlitwom, a siłę znalazł w bogach. Cierpliwie poznawał zakamarki budynku i z poszanowaniem dla bogów odkrywał kolejne tunele podziemi. Pragnął żyć z dala od ludzi, wyrzekając się świata zewnętrznego, jednak z czasem zrozumiał, że jego przeznaczeniem jest szerzenie wiary i głoszenie nauk.

Czując w sercu gorejące powołanie, założył świątynię, która sławiła najbardziej znane bóstwa tego świata: Peruna, Sanosa i Witra. Samemu sobie Kumar nadał tytuł bogoboja – piewcy bożych myśli. Wprawdzie wielu ludzi omijało szerokim łukiem ukryte w kniejach ruiny, ale znaleźli się i tacy, którzy postanowili młodzieńcowi pomóc. Z czasem niektórzy z nich zostawiali nawet rodziny, ziemie uprawne i domy, by przywdziać zakonne togi i oddać się bez reszty służbie bogom.

Większa część klasztoru była zamknięta dla zakonników. W podziemiach został wydzielony dla nich tylko fragment labiryntu, aby każdy mnich pragnący odbyć w samotności pokutę, mógł bez ryzyka tam przebywać. Kumar robił, co mógł, aby zakonnicy i wierni czuli się bezpiecznie pośród uświęconych murów. Wszak sam nie poznał wszystkich tajemnic budowli, a zaginięcie kogokolwiek w labiryncie rzuciłoby cień na jego świątynię.

Obecnie Kumar miał pod swoją opieką dwunastu mnichów. Zakonnicy uprawiali sąsiadujące z klasztorem pola, które prawnie nadał im kasztelan

Gramisz, remontowali zniszczone komnaty, a przede wszystkim organizowali msze i chóralne widowiska dla wiernych z okolicznych wsi i miasteczek.

Kumar liczył pięćdziesiąt cztery lata. Miał pociągłą twarz, łagodnie potraktowaną przez zmarszczki, i widocznie wysuniętą górną szczękę. Bogoboja trapił fakt, że ma wystające zęby, gdyż uważał, że traci przez to na powadze i ogólnym wizerunku. Z tego powodu lata temu zapuścił brodę, która sięgała mu prawie do pasa. Przerzedzone, siwe włosy zgrabnie zaczesywał do tyłu i choć życie pośród chłodnych murów nie odcisnęło na nim swego piętna, to chodził wiecznie zgarbiony. Zdradzał cechy nieznośnego malkontenta, narzekając na wymaginowany reumatyzm, urojone napady migreny i szereg innych dolegliwości.

Odzyskiwał siły, stojąc na ambonie. Gdy prawił bogobojne morały, czuł się niczym jurny młokos. Wierzył, że dar retoryki zesłali na niego sami bogowie. Niestety, był kiepskim mówcą. Bogobojne kazania były w istocie do bólu nużącymi banałami, a krzyki i nawoływania kaznodziei zdawały się wszystkim zebrany anemicznym charkotem.

Grupa wiernych topniała z każdym miesiącem i nie było chwili, aby Kumar nad tym nie rozpaczał. Zdawał sobie sprawę, że wiara w bogów podupadła. Tak naprawdę, już od setek lat traciła na znaczeniu. Niektórzy powiadali, że wraz ze śmiercią legendarnego króla Krawosa ludzie zaczęli powoli zapominać o bogach. Trudno było im się dziwić. W końcu ciężko było sobie przypomnieć jakiegokolwiek nieszczęścia, które dosięgłyby okolicznych ludzi. Dlaczego więc mieliby chodzić na bogobojne morały? Od niepamiętnych czasów nie było wojen, kataklizmów, ciężkich chorób. Ba, bogobój rozpaczał, że ciężko było o głupią suszę czy lokalną powódź. Po cóż więc kołtuny miały się modlić? Z jakiej racji miały bać się bogów? Kumarowi serce krwawiło na myśl o ledwie zapełnionych ławkach świątyni.

Od dawien dawna próbował temu jakoś zaradzić. Co rusz ogłaszał nowy, jeszcze bardziej ortodoksyjny charakter uświęconej grupy zakonników, wierząc, że to przyciągnie zaciekawione tłumy. Przeszło dziesięć lat temu obwieścił wszem i wobec, że tworzy formację milczących mnichów. Już podczas prowadzenia pierwszej mszy zrozumiał, że sama gestykulacja nie jest zadowalającą formą komunikacji. Kilka lat później obwieścił z kolei, że mnisi będą głodować w służbie bogom. Śmierć zabiedzonego Urmisza przerwała jednak ten chybiony proceder. Ostatnimi czasy rozpaczony Kumar próbował uatrakcyjnić same nabożeństwa. Z początkiem miesiąca zaprosił czarodzieja. Dostojnik obdarzony nadludzką mocą miał pokazać zbawienne działanie magii, największego podarku, jaki Perun zesłał ludziom. Demonstrował z pozoru bezpieczny wpływ warunków pogodowych na otaczający świat. W konsekwencji spektaklu wierni byli oburzeni i na wskroś mokrzy, dwie osoby poniosły śmierć po trafieniu błyskawicą, a jedna staruszka połamała połowę kości po tym, jak wichura wymiotła ją aż na dziedziniec.

Niezrażony niepowodzeniami Kumar zaprosił na kolejną homilię grupkę nierządnic. Opłacone przez niego kobiety miały wyrecytować wyuczoną listę chorób, których można się nabawić, współżyjąc z nieznanymi. W rzeczywistości po kilku dniach goszczenia rozpustnic mnisi zaczęli narzekać na wszawicę, kiłę, rzeżączkę i kilka innych dolegliwości, nieznanych nawet znachorowi Trewiaszowi z Nogradu.

Kumar poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, by świat poprawić, by ludzi uleczyć i otworzyć im oczy na zło, które panoszyło się wokół. Jednym z przejawów owego zła był fakt, że mieszczenie z coraz większą śmiałością uczyli się liczyć powyżej tysiąca, co jawnie dowodziło, że próbowali być równi bogom! Byle kmiot chciał teraz uczyć się czytać. „Ileż jeszcze brakowało – rozmyślał Kumar – by taki miał czelność podważyć sens czaru, porównując ją z grzeszną myślą techniczną?”. Bogobój wiedział, że czarowanie było niebezpieczne, a jego nauka wymagała wielu wyrzeczeń,

ale czyż po ciężkiej pracy nie odczuwało się smaku sukcesu ze zdwojoną siłą? Kumar nie przejawiał magicznych zdolności, lecz nawet nie cierpiał z tego powodu. Bardziej bolało go to, że ludzie nie doceniali wielkiego daru magii. Ba, nierzadko zdarzało się, że i sami czarodzieje, których zresztą było na świecie niewiele, odwracali się od Peruna, przeklinając go za naznaczenie magią.

Bogobój cierpiał, ale, co ważniejsze, uważał, że w końcu znalazł sposób na ocalenie zagubionych dusz mieszczan. Na ostatnim nabożeństwie rozdał każdemu po jednym płacidle. Opróżnił przez to skarbiec, który zapełniany był tylko dochodami ze sprzedaży uprawianych przez mnichów warzyw i owoców, ale najważniejszy był dla Kumara uśmiech, który pojawił się na twarzach zebranych wiernych. Ten widok był dla bogoboja bezcenny. Zdał sobie sprawę, że oto znalazł metodę.

Obiecał ludziom, że na kolejnej mszy również rozda pieniądze. Wierzył, że w ten sposób dom bogów na pewno będzie zapełniał się wiernymi. Wiedział też, że gdy już się tutaj znajdą, nie będą mieli wyjścia i wysłuchają nakazów danych im z niebios. Z czasem zaczną przychodzić na wszystkie bogobojne morały, będą ich słuchać, aż je zrozumieją i zaczną wcielać w życie.

Problemem w realizacji planu był pusty kufer zakonu. Jednak Kumar przedsięwziął już pewne kroki, by temu zaradzić.

Stał teraz w swojej komnacie i zamyślony patrzył przez okno na pobliskie knieje. Był wczesny ranek, słońce dopiero się budziło, a bezchmurne niebo zapowiadało kolejny piękny dzień. Kaznodzieja poprawił opasujący jego ciało sznur i ułożył na plecach bawełniany pled, który przed chwilą zsunął się z ramion. Był środek lata, ale Kumar miał wrażenie, że chłodne mury mogą dać mu się we znaki. Poza tym dodatkowe nakrycie na przewiewnej todze miało umocnić mnichów w przekonaniu, że jego narzekania na reumatyczne bóle są prawdziwe. Co prawda pocił się w tej chwili niepomnie, ale gotów był na największe poświęcenia. Te

urojone boleści udawał już tak długo, że czasami sam faktycznie wierzył, iż kości strzelają mu przy najmniejszym ruchu, a w płucach rzezi przewlekły kaszel. Pomasował skronie, jakby wierzył, że o poranku migrena atakuje go ze zdwojoną siłą.

– Perunie i bogowie mu podlegli, zdejmijcie ze mnie, błagam, te cierpienia – wystękał w okno. – Lub dobijcie, poświęcając za przewiny mieszkańców tego świata.

Zwiesił bezradnie głowę i ciężko wzdychając, przeszedł na środek ascetycznie urządzonej salki. Stół z dwoma krzesłami, kufer na liturgiczne szaty oraz siennik. Jak zapewniał, więcej nie było mu trzeba. Podobnie ubogich komnat wymagał od zakonników. Z różnym jednak skutkiem.

Zakonnicy byli stosunkowo młodzi, do tego reguła zgromadzenia była już kilkakrotnie wystawiana na ciężką próbę przez chybione decyzje Kumara. Mnisi raz głodowali, raz składali śluby milczenia, to znów zarzekali się, że nigdy się nie umyją. Konsekwencje tych zmian były szkodliwe dla świątyni. Zniechęcały wiernych do uczestnictwa we mszy, a samych zakonników osłabiały w wierze. Brak im było zakorzenionych wartości. Znali boskie nakazy, byli wierni Perunowi i jego rodzinie, jednak w oczach wiecznie niezadowolonego bogoboja dyscyplina co niektórych mnichów pozostawiała wiele do życzenia.

Kumar padł jak długi na kamienną posadzkę. Naprzeciw niego, na ścianie, widniały wymalowane z dbałością o detale symbole największych bóstw słońca, błyskawicy i wiatru.

– Bogowie – jęknął w kamienne płytki – sprawcie, by mój plan się powiódł. Pojmijcie, że czynię to w słusznej sprawie. Mym jedynym pragnieniem jest zapełnienie murów świątyni. Składam wam przysięgę, że zrobię, co tylko w mej mocy, by ludzie pojęli wasze dobre nauki.

Po pełnych czci słowach modlitwy, Kumar, jak zwykle, wykrzyczał z całych sił:

– Jodygu! Jody... – Bogoboja zdławił rzęsisty kaszel. – Jody... O słyszę cię, chłopcze. To ty?

– Pa-pa...

– Daj już se spokój. Po prostu mi pomóż.

Jodyg był jakałą. Rzadko kiedy udawało mu się wypowiedzieć pełne słowo, toteż Kumar starał się jak najczęściej zwalniać go z tego obowiązku. A dodać należy, że wielce irytowało go owo najczęściej wypowiedziane przez smarkacza „pa-pa”.

Młody zakonnik z bujną blond czupryną podbiegł do bogoboja. Chwycił go pod pachy i pomógł wstać z ziemi. Od dobrych dwóch lat Kumar inscenizował chwilowy niedowład prawej nogi. Te napady uwiędu mięsnego, jak je zwykł nazywać, atakowały go zawsze w pozycjach modlitewnych, toteż korzystać musiał wtedy z pomocy asystenta. Ten zawsze był na zawołanie. Jeśli akurat nie stał po jego prawicy, to czekał i nasłuchiwał zaraz za drzwiami.

– Och, och, dziękuję ci, chłopcze – jęknął stary kaznodzieja, zbierając się z klęczek. – Poprowadź mnie do okna, proszę. Chciałbym zażyć nieco świeżego powietrza.

Jodyg poprowadził go za rękę, niczym niewidomego, w stronę uchylonej okiennicy. Chłopak nie lubił Kumara. Uważał go za gruboskórnego zrzędę. W ogóle nie lubił ani jego, ani bogów, którym miał służyć. Rodzice zostawili go w zakonie, gdy miał dwanaście lat. Wierzyli, że z taką wadą wymowy może co najwyżej układać na półkach bogobojne annały. Minęły już cztery lata od chwili, gdy wstąpił w klasztorne mury, jednak chłopakowi nadal trudno było się oswoić z restrykcyjnymi nakazami Kumara. W głębi serca wiedział, że tak naprawdę powinien mieć żal do rodziców, jednak przeklinał w myślach bogoboja i bogów.

– Dziękuję, chłopcze. Perun, Sanos i Witro wynagrodzą ci to. – Kumar przeciął dłonią powietrze w poszukiwaniu twarzy młokosa. W końcu

natrafił na jego policzek. Skóra chłopaka była napięta, a usta ściągnięte w wąską kreskę.

Kaznodzieja domyślał się, że chłopak nie czerpie satysfakcji z przebywania w klasztorze. Tym bardziej był wobec niego wymagający. Wierzył, że młokos, gdy przyzwyczai się do wyrzeczeń, będzie w końcu dziękował bogom choćby za promień słońca czy miskę kaszy.

Pogłaskał Jodyga po głowie, ojcowsko poklepał po potylicy.

– Możesz odejść – rzekł, dławiony udawanym kaszlem. Gdy usłyszał dźwięk zamykanych drzwi, przeciągle westchnął i oddał się obserwacjom szumiących sosen. Co jakiś czas zerkał na gościniec, jakby kogoś wyczekiwał.

Dla zakonników i reszty świata Kumar stracił wzrok miesiąc temu. To był jego fortel przeciw szerokiej grupie niewiernych. Obwieścił wszem i wobec, że bogowie odjęli mu wzrok, bo ledwie przez moment myślał, że nie pójdzie na mszę. Poza wzbudzeniem strachu chciał wziąć ludzi na litość. Myślał, że zaczną odwiedzać przybytek bogów, gdy dowiedzą się o homiliach przygotowywanych przez niewidomego kaznodzieję. Efekt tego działania był mizerny, a przecież rolę ślepcy musiał odgrywać dalej. Wygodniej by mu było odzyskać wzrok, jednak przeczuwał, że wypada jeszcze odczekać, przynajmniej dwie–trzy tygodnie, by nie wzbudzić podejrzeń wiernych wobec wielkiej mocy bogów.

Temat parafian zajmował Kumara niemal cały czas. Odszedł jednak na chwilę myślami od swojej świątyni, by skupić się na innym palącym problemie. Problemie, który spadł na niego jak grom z jasnego nieba. Bratanica. Lemosz wygrał w karczmie wyjazd na turnus nad morze, a z uwagi na nieliczne problemy wychowawcze z córką Aliwią, postanowił zaangażować w sprawę samego bogoboja. Aliwia za żadne skarby nie chciała jechać nad morze, Lemosz z kolei, jako samotny rodzic, bał się zostawić dzierlatki samopas, tym bardziej, że podejrzewał ją o schadzki z Alfordem, synem samego kasztelana Gramisza. Aliwia ponoć błagała

i szlochała, by nie musiała wyjeżdżać nad morze. W akcie desperacji zgodziła się nawet na tygodniowy pobyt u wuja w klasztorze.

Kumara zdziwiło zachowanie bratanicy. Wszak rzadko odwiedzała go z ojcem, oboje lekceważyli bogobojne kazania. Czy wizja tkwienia pośród kamiennych murów była lepsza od perspektywy wygrzewania się na plaży? Przecież zdawała sobie sprawę, że mnisi nie mogą dowiedzieć się o jej obecności. Jeśli w klasztorze miała przebywać jakaś białogłowa, to tylko podczas bogobojnych homilii i tylko w głównej sali, naprzeciw ołtarza. Co by się stało, gdyby któryś z zakonników dowiedział się, że w jednej z bibliotek klasztoru bogobój trzyma dziewczkę? Co by pomyśleli ci, od których wymagał tak wiele wyrzeczeń? Już ma problem z pustymi antałkami po winie, które nieumiejętnie chowają po kątach jego podopieczni. I z zakonnikami, niedoleczonymi po ostatniej wizycie nierządnic. Niepotrzebny mu dodatkowy problem z mnichami, których lędźwia mogły się zagotować na widok takiej jurnej rzepichy.

Bogobój był zły na brata. Nie dość, że wszetecznik nie chodził z dziećmi na jego kazania, to jeszcze śmiał prosić o coś takiego? Dlaczego Lemosz tak bardzo się uparł na ten wyjazd? Przecież płacideł miał pod dostatkiem. Był chytry i skąpy, to fakt, ale na bogów, mógłby raz w roku wyjąć coś z pękatej sakwy i wyjechać, gdzie tylko dusza zapragnie. Poza tym, cóż to za rodzicielska odpowiedzialność? Córka przechodziła niebezpieczny okres, miłując się w Alfordzie. Jakże to w takiej chwili zostawiać ją bez opieki? To znaczy opiekę dziewczyna niby już teraz miała. Wszak była pod czujnym okiem samego kaznodziei, ale mimo wszystko Kumarowi nie dawało spokoju, czy godzi się przetrzymywać dziewczkę pod kluczem.

Kumar był samotnikiem. Służył bogom od najmłodszych lat, toteż nie znał się na kobietach. Po prawdzie, nawet nie był do końca pewien, czy one tak samo czują chłód bądź wilgoć jak mężczyzna. Zakonnika przeszedł zimny dreszcz na myśl o postępującym reumatyzmie. Obiecał sobie w duchu, że zajrzy do dziewczyny zaraz po spotkaniu. Lemosz natomiast

będzie musiał wysłuchać kilku słów krytyki. Co prawda brat obiecał mnichowi, że za przysługę przyprowadzi na najbliższą mszę dwa tuziny niewiernych, jednak swoje wysłuchać będzie musiał.

Z zadumy wyrwał bogoboja widok jeźdźca, którego sylwetka zamajaczyła pośród drzew. Kumar momentalnie przylgnął do okna i z niepokojem zaczął przyglądać się przybyłemu. Po chwili usta bogoboja wykrzywiły się w chytrym uśmiechu, uwydatniając wystające zęby. To był Rotupal. Zakonnik śledził go wzrokiem, mając nadzieję, że dostosował się do poleceń i pojechał naokoło świątyni.

Ziemie należące do klasztoru były rozległe. Północny trakt był główną i najkrótszą drogą łączącą opactwo z Nogradem. Przy wjeździe często kręcili się mnisi. Tenof niemal każdego dnia wychodził tam na grzyby, Mygot, jak co dzień o tej porze roku, przycinał winorośle. Kumar nie chciał, aby ktokolwiek zobaczył Rotupala. Co prawda były herszt zbójów często gościł na kazaniach, był człkiem głębokiej wiary, zawsze siedział w pierwszym rzędzie, jednak w dzień powszedni ciężko byłoby wyjaśnić jego obecność. Spowiedzi organizowane były raz na miesiąc, a interesantów bogobój nie miał żadnych, bo i z czym by mieli do niego przychodzić?

Obawiał się pytań i podejrzeń swoich podopiecznych. Tym bardziej, że Rotupal cieszył się złą sławą. Mimo ciągłego okazywania wielkiej skruchy i pobożności, większość ludzi pamiętała o jego napadach na kupieckich gościńcach.

Kumar przygryzł wargę i uważnie śledził jeźdźca. Wychodziło jednak na to, że obawy bogoboja były bezpodstawne. Rotupal był ostrożny i stosując się do poleceń, pojechał wzdłuż wschodniej ściany monasteru.

Gdy tylko konny zniknął z pola widzenia, leciwy zakonnik odwrócił się od okna i skierował w stronę wyjścia.

Otworzył drzwi, po czym wyszedł z komnaty. Powolnymi ruchami rąk przecinał przed sobą powietrze. Od razu skierował się w prawo, w stronę

schodów.

– Pa-pa... – Usłyszał za plecami dukanie Jodyga.

– Nie sil się, synu. Idę się przewietrzyć. Sam... Chciałbym się przewietrzyć.

– A-a.... A-a... A-a-ależ... – w chwilach absolutnego spokoju udawało się Jodygowi wyjąkać pełne słowo.

– Dość! To znaczy... – Kumar wyczuł, że uniósł się nazbyt gwałtownie. – To znaczy chciałbym mieć nieco prywatności, chłopcze – rzekł spokojniejszym głosem. – Witro wyszeptał mi do ucha, że powinieneś złożyć mu modły w swojej komnacie. Idź zatem i zajmij się wybawieniem swojej lichej duszy, a ja oddam się podziwianiu letniego krajobrazu.

Kumar dotknął dłonią zimnej ściany i zaczął powoli schodzić na parter. Przeklinał w duchu, że wybrał drugie piętro na miejsce swojego urzędowania.

– Po-po-po? – Usłyszał za sobą głos spoconego już z wysiłku Jodyga.

– Oj, marny twój umysł – napomniał go starzec. – Podziwiać naturę zmysłami, które mi się ostały.

– A-a-a.

Kumara dobiegł dźwięk oddalających się kroków młodego asystenta. Uniósł habit i czym prędzej zaczął schodzić po schodach. Gdy na parterze dostrzegł krzątających się zakonników, momentalnie zwolnił kroku i ponownie, przecinając powietrze rękami, powoli schodził stopień po stopniu.

– Panie, może ci pomóc? – Usłyszał, a po chwili i dostrzegł kątem oka Szagrata.

– Nie, nie. W żadnym razie.

Kumar cenił sobie tego zakonnika. Był usłużny i nad wyraz zdyscyplinowany.

– Człowiek musi stawiać czoło trudnościom życia – uprzejmie dodał bogobój.

Powoli rozejrzał się po zebranych zakonnikach, udając, że próbuje z otoczenia uławić coś węchem. Chciał dostrzec, co też robią jego podopieczni. W takich chwilach starał się być spokojny, jednak przez nadpobudliwość ciężko mu było czasem się opanować. Tym bardziej, jeśli podopieczni nie realizowali planu bogów według jego wyobrażeń.

Basza leżał na drewnianej ławce i namiętnie dłuwał w nosie. Nawet nie zauważył zwierzchnika klasztoru. Peksza, siedząc naprzeciw Numy, ostentacyjnie schował kości do rękawa i wstał, wierząc, że zdąży się oddalić. Kumar podszedł do niego i klnąc w duchu na udawaną ślepotę, wyprostował się i jął mierzyć mnicha nienawistnym spojrzeniem. Dało się słyszeć przyspieszone bicie serca i gotującą krew w czerepie hazardzisty.

– W-właśnie spisujemy witosowe pieśni panie – skłamał bezczelnie zakonnik.

– Rozumiem – syknął przez zęby bogobój. Powoli odwrócił od niego głowę, w obawie, by mnich nie domyślił się udawanego kalectwa.

Zauważył Derbota. Ten, z wyraźnie maślanymi oczami, oglądał jakiś papirus, obracając go to w lewo, to w prawo. Kumar zrobił krok w jego stronę, ciekaw, co też takiego trzyma jego podopieczny. Nerwowo przygryzł górną wargę, widząc, jak oddany bogom zakonnik chowa przed nim papirus, a czyni to ruchem powolnym, by przypadkiem niepotrzebnego pędu powietrza nie czynić.

– Śpiewać mi siódmą homilię do świętego Peroga! – ryknął rozeźlony brodacz. – Ostatnim razem fałszowaliście tak, że pierwsze rzędy lawinowo traciły przytomność! I głośno, wyraźnie, tak, bym na podwórzu was słyszał!

„Oj, wezmę się i za was – pomyślał zakonnik – niech tylko wzrok odzyskam, to dam ja wam kości, dam papirusiki. Za dłuwanie w nosie będziecie mi, łachudry, pokuty odprawiać!”.

Rozjątrzony zachowaniem podwładnych, odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali. Minął główną nawę, rzędy ławek, tryptyk Peruna, przy którym nie omieszkał się pokłonić, i otworzył kolejne drzwi. Przeszedł chłodnym, nieoświetlonym korytarzem i znalazł się w pomieszczeniu, gdzie składowano księgi i zwoje chwające imiona bogów. Sięgnął po pochodnię. Zapalił ją i ponownie zagłębił się w ciemnej plątaninie korytarzy. Często irytował go labiryntowy układ komnat i przesmyków. Minęło wiele lat, zanim nauczył się wszystkich przejść, skrótów i tajnych pomieszczeń. Prawdziwym wyzwaniem były podziemia klasztornego kompleksu, gdzie ogarnięcie tylko części labiryntów zajęło zakonnikom kolejnych parę lat.

Przeszedł przez następną komnatę i przekonany, że coś za sobą usłyszał, przystanął i gwałtownie się odwrócił. Nikogo jednak nie zauważył. Nasłuchiwał jeszcze chwilę, lecz wokoło panowała absolutna cisza. Wzruszył ramionami, pogładził długą brodę i podjął dalszą wędrówkę. Na umówione spotkanie mógł wyjść przez główną, północną bramę – idąc wzdłuż ścian monasteru, doszedłby dużo szybciej, ale nie chciał, by ktokolwiek go spostrzegł. Wolał zachować ostrożność.

Szedł wąskim tunelem, kiedy znowu złowił uchem niepokojące odgłosy. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

– I chwalić będziemy twe zbożne działania, na nic się zdadzą nikczemne knowania. – Usłyszał dobiegający zza ścian chóralny śpiew.

Na twarzy bogoboja zamajaczył przebiegły uśmiech. Zadowolony, że jednak ma posłuch wśród zakonników, podjął dalszą wędrówkę.

Po chwili przystanął przy masywnych, dębowych podwojach. Kumar nigdy nie odgadł przeznaczenia tego wejścia do budynku. Podejrzewał tylko, że wrota mogły zapewniać ewentualną ucieczkę poprzedniemu właścicielowi. W przypadku oblężenia mógł to być jedyny ratunek. Lata temu, gdy bogobój poznawał sekrety budynku, wejście było ukryte od zewnątrz gąszczem krzewów, a od wewnątrz zamknięte masywnym, metalowym rygłem. Kumar włożył pochodnię w uchwyt na ścianie i zaczął

siłować się z zasuwą. Drzwi od dawna nie były otwierane. Obawiał się, czy da im radę, ale na szczęście zarówno rygiel, jak i zawiasy nie zastały się. Zdołał je uchylić.

Do korytarza wpadł snop oślepiającego światła. Kumar przesłonił oczy ręką i wyszedł na zewnątrz. Znajdował się na obrzeżach wschodniej części monasteru. Przed bramą można było dostrzec wąski pas łąki, a dalej ścianę drzew Krasowego Lasu.

Spomiędzy drzew wyjechał jeździec na kasztanowym wierzchowcu. Dostrzegłszy Kumara, zeskoczył z siodła, przywiązał uzdę do pobliskiego drzewa i prężnym krokiem zaczął zmierzać w kierunku mnicha. Stawiał pewnie kroki, głowę miał dumnie uniesioną, a przesadnie wyprostowana sylwetka uwypuklała atletyczną klatkę piersiową, nadmiernie porośniętą gęstym włosiem. Mężczyzna sprawiał wrażenie wysportowanego, o doskonałej kondycji. Wyglądał na trzydzieści parę lat. Ubrany był w brązowe skórzane spodnie, podróżne buciory i rozchyloną u szyi, czerwoną koszulę, u której niby niesfornie odpięte trzy guziki dyndały pośród tuzina apaszek. Te zawiązane miał na szyi, nodze, w pasie i na prawej ręce, a każda była innego koloru. Odzienie sprawiało wrażenie nieliczej tandety i bezguścia. Co prawda w kręgach zbójnickich chusty i kolorowe świecidełka zdradzały faktyczną pozycję jegomościa, ale nawet Kumar wiedział, że taki strój był modny wśród bandytów dobre dziesięć lat temu. Obecnie na fali były bransolety i koraliki wplecione we włosy.

Kumar długo zastanawiał się, po co Rotupal chodzi w takim stroju. Wszak zszedł na drogę prawości, ciężko więc było odgadnąć, dlaczego chciał być kojarzony ze zbójcami.

Bogobój, interesujący się każdym parafianinem, w końcu rozgryzł i niegdyśszego rozbójnika. Na jednej ze spowiedzi Rotupal przyznał się, że lata temu podczas przygotowywania rabunkowej akcji zginął jego brat Otus. Rotupal obwinił się za to do dnia dzisiejszego. Żył nieprzerwaną żałobą, a uczestnictwem w mszach pragnął odkupić minione winy. Kumar

szybko zrozumiał, że Rotupal bezgranicznie ufa naukom Perunowym. Wydawało się, że jest gotowy zrobić wszystko, by tylko zbawić swoją grzeszną duszę. Szczęściem, bogobój wpadł na pomysł, jak to wykorzystać względem świątyni i niewiernych mieszczan.

Rotupal podszedł do bogoboja i wyszczerzył w uśmiechu niegoloną od kilku dni twarz. Mnich ujrzał trzy złote zęby i poczuł odpychającą woń, która wydobyła się z głębi trzewi i migiem skaziła całą okolicę.

Rotupal wiedział, że Kumar stracił wzrok z nakazu bogów, jednak darząc świątobliwego mędrca wielką estymą, pragnął traktować go z należnymi honorami.

– Witaj, bogoboju – rzekł głosem pełnym szacunku, po czym głęboko się pokłonił.

Kaznodzieja gotowy był przysiąc, że tamtemu coś wyskoczyło z czupryny i chyłkiem czmychnęło w las. Na wszelki więc wypadek zrobił krok do tyłu.

– Wi... ekhm, witaj, Rotupalu.

Rozbójnik przygładził długie, czarne, zaczesane do tyłu włosy, strząsnął z dłoni zebrany nadmiar zagadkowej tłustej mazi, po czym bezceremonialnie jął drapać się po kroczu.

– Pewnie zastanawiasz się, czemu po ostatnim kazaniu poprosiłem cię o przybycie – rzekł skonsternowany starzec.

– No – stęknął Rotupal, wykrzywiając twarz w grymasie bólu.

Bogobój pomyślał, że rozbójnika musiało spotkać coś istotnie przykrego w okolicach kroku, bowiem nie przestawał zaciekle się skrobać.

– Więc chciałem ci rzec... synu... – Pozornie niewidzące oczy Kumara mimowolnie powędrowały w okolice, które sprawiały rozmówcy wyraźny dyskomfort. – Jesteś człowiekiem wielkiej wiary – kontynuował lekko zakłopotany bogobój – i z pewnością tobie, tak samo jak i mnie, zależy...

Rotupał już z obłędem w oczach tarosił tajemniczy byt ukryty w odzieniu.

– ...zależy ci, aby... Przestań się drapać po jajach, obwiesiu!

Rozbójnik jak na komendę wyprostował się i pozostając w bezruchu, badał speszonym wzrokiem Kumara.

– Pe... Perun wyszeptał mi na ucho o twym zachowaniu godnym pogardy
– rzekł pospiesznie mnich i odwrócił wzrok w kierunku nieba.

– Aha. Ekhm. Wybacz, panie. Jeździectwo mi nie służy.

– A tam jeździectwo! Umyłbyś się.

– Co zrobił?

– Umył! Woda, mydlina.

– A, tak! No cóż... Czasu jakoś zawsze brakuje.

– Rozumiem. Mniejsza w każdym razie o to. Czy poczyniłeś już starania i zebrałeś bandę?

Rotupał zmierzył Kumara przenikliwym wzrokiem. Nie potrafił odgadnąć, po co mnichowi rozbójnicy. Były bandyta nie chciał już kraść ani oszukiwać. Nawrócił się, zamierzał iść drogą kreśloną palcem Peruna. Życie rozbójnika pokazało mu, że to niepotrzebne ryzyko, że gra nie jest warta świeczki. Teraz rozumiał dodatkowo, że to złe i niezgodne z nakazami bogów. Niemniej jednak po ostatnich bogobojnych morałach Kumar powiedział mu, że szajka będzie miała za zadanie służyć wyższemu celom. Bożym celom. A Rotupał niczego tak nie pragnął, jak sławić imię Peruna. Chciał mu służyć i gotów był zrobić wszystko, aby zostać zbawionym.

– Zebrałem kilku dawnych znajomych.

– Dobrze.

– Czekają nawet nieopodal w kniejach – dodał konspiracyjnym szeptem.

– Dobrze, bardzo dobrze. – Zakonnik uśmiechnął się.

Kumar wiedział, że musi uważnie dobierać słowa. Po prawdzie od tego będzie zależała decyzja Rotupala. Bał się, że rozbójnik odmówi, że odjedzie wzburzony lub, co gorsza, doniesie nawet samemu kasztelanowi o zamiarach bogoboja.

Zakonnik zdawał sobie sprawę, że zamierza złamać prawo. Niemniej jednak myślał perspektywicznie. Kosztem drobnego nieszczęścia jednostki pragnął zbawić tłumy niewiernych. Wiedział, że włodarz Nogradu mógłby to inaczej odebrać. Kumar musiał więc zrobić wszystko, by Rotupal właściwie odczytał jego intencje.

– Posłuchaj mnie... synu. Perun nakazał mi zbawić liche dusze mieszczan. Rzekł, abym zachęcił ignoranckich kołtunów do wysłuchania bogobojnych morałów. I kazał mi do tego wykorzystać płacidła oraz niejakiego Rotupala. Mężczyzna zrobił duże oczy.

– Rotupala? – spytał zdjęty trwogą.

– Tak – odpowiedział pewnym głosem kaznodzieja.

– Bogowie prosili o mnie? – nie mógł w to uwierzyć opryszek.

– No cóż... – Kumar schował dłonie w szerokie rękawy szaty i z nabożną czcią przemówił: – Perun mi rzekł, bym sprawę przekazał Rotupalowi z Nogradu... To ty jesteś Rotupal, zgadza się?

– Ja... jak najbardziej, panie.

– A więc za zadanie boże masz zaatakować przejezdnego mieszczanina, najlepiej kupca, nie czyniąc mu przy tym żadnej krzywdy. Słuszną część zebranych kosztowności powinieneś wręczyć świątyni Peruna. – Bogobój z poświęceniem pochylił się w stronę niedomytego oprycha. – Dzięki temu ludzie wzbogacą się o dobra materialne i o naukę zbawienia, a twoja licha dusza zostanie zbawiona.

Rotupal na te słowa w mig się pokłonił.

– Dziękuję, panie – rzekł zaszczycony. – Dziękuję.

– Pamiętaj – Bogobój uniósł palec w kierunku nieba – zbawienie tyczy się tylko ciebie, więc nie informuj o szczegółach bożego planu swych współników.

– Oczywiście – odparł z powagą Rotupal. – Zapewniam, że od razu zabierzemy się do działania.

– Ciesz się mój zapach. – Bogobój odetchnął z ulgą. – Liczę, że jeszcze dziś uda ci się kogoś ograbić.

– Bez wątpienia, panie. Zaraz po zmroku zjawię się tutaj z sakwą. Ku chwale bogów.

– Do rychłego spotkania.

Kumar skierował się w stronę klasztoru. Cieszył się, że świątynia w końcu zapełni się wiernymi. Na razie nie chciał mówić Rotupalowi o perspektywie kolejnych napadów. Przyjdzie jeszcze na to czas. Wszak nie mogłoby skończyć się na jednej akcji. Ludzie z początku będą żądni płacideł. Wierzył jednak, że motłoch szybko zrozumie nauki bogów. Był przekonany, że z czasem wierni zaczną przychodzić tylko po to, by wysłuchać morałów Peruna. Po nic więcej.

Kumar wrócił w zimne mury klasztoru. W myślach układał sposób rozstawienia ławek dla przybyłych wiernych. Obawiał się, czy pomieści wszystkich w głównej nawie świątyni. Pochłonięty planowaniem mszy, nie zauważył nawet, że w środku, zaraz za drzwiami, schowany był Jodyg, który przysłuchiwał się całej rozmowie.



Aliwia stała w wielkiej sali pośród regałów wypełnionych książkami. Dwie wąskie okiennice zabezpieczone masywnymi kratami wpuszczały znikomą ilość światła. Półmrok był rozpraszany płomieniem stojącego na stole kaganka.

Dziewczyna jadła suchy chleb, którego bochenek zostawił jej bogobój. Bezmyślnie przyglądała się zakurzonym grzbietom ksiąg. Przez chwilę zastanawiała się, ileż to lat musiałaby żyć, by choć jedną z nich przeczytać od początku do końca.

Aliwia miała łagodne rysy twarzy i życzliwe spojrzenie. Powolnymi ruchami skubała bochenek i wodziła wzrokiem po regałach. Wydawało się, że pogodziła się z losem, przyjmując z pokorą chłodną komnatę świątyni. Jednak w rzeczywistości złościła się na cały świat. Była wściekła na ojca, że wyjechał na turnus wczasowy, na wujka Kumara, że zgodził się ją tutaj przyjąć. W myślach besztala nawet samego Alforda – za to, że wzbudzał w niej tęsknotę i głęboką nostalgię.

Wiedziała, że musi się spieszyć. Co prawda gołębica z listem wysłała chwilę temu, jednak do południa nie zostało wiele czasu. Akurat tyle, by zakraść się do stajen wujka i pędem pojechać do Alforda. Miała nadzieję, że dobrze zapamiętała drogę na dziedziniec. Budynek wydawał jej się dziwny, a to z powodu niezliczonej liczby rozwidleń i niewygodnych w codziennym użytkowaniu przesmyków. Dojście do stajen nie było wcale takie proste.

Na razie postanowiła się posilić. Dwa ostatnie dni głodowała w proteście przeciw decyzji ojca. Łudziła się, że weźmie go na litość, a ten pozwoli jej zostać samej w Nogradzie. Plan jednak się nie powiódł. Wylądowała w klasztorze Kumara i jedyną perspektywą dla niej wydawało się siedzenie tutaj przez siedem długich dni. Nie zamierzała do tego dopuścić. Siedem dni bez Alforda to ponad jej siły. Spotykali się o różnych porach, ale nie

było dnia, by się nie widzieli, by chociaż słówka sobie nie szepnęli czy nie musnęli się dłońmi.

Napisała Alfordowi, że przyjedzie do niego dziś w południe i zamierzała dotrzymać słowa.

Popatrzyła w stronę okna.

– Jeszcze tylko kilka klepsydr i wpadnę w twe ramiona – westchnęła pod nosem. Wierzyła, że uda się jej niepostrzeżenie zbiec. Z umiłowanym zabawi ledwie chwilę, tak by wrócić na kolację. Wszak skłamała Kumarowi, mówiąc, że obiadów nie jada. Zakonnik wydawał się nawet z tego zadowolony. Istniała więc szansa, duża szansa, że wujek się nie zorientuje. Dziewczyna przełknęła ostatni kęs suchego chleba i ufna w plan, jaki ułożyła przed chwilą, podeszła do drzwi. Były solidne, drewniane, miały stalowe okucia i okazały zamek. Wyjęła z długich, ognistorudych włosów żelazną spinkę i włożyła jej węższą końcówkę w dziurkę od klucza. Pochyliła się, przyłożyła ucho w okolice zamka z zamiarem nasłuchiwania ruchu zapadki i powolnym ruchem zaczęła kręcić ozdobą. Jej drobna pierś miarowo się unosiła, poruszana głębokim oddechem i przyspieszonym biciem serca. Opalona twarz co rusz spinała się w nerwowym oczekiwaniu. Jednak ruchy spinką nie przynosiły żadnych efektów.

Wtem usłyszała dobiegający z wnętrza mechanizmu trzask. Podekscytowana, wyjęła spinkę i nacisnęła na klamkę. Szybko jednak spostrzegła, że drzwi nadal są zamknięte, a ów dźwięk powstał na skutek pęknięcia ozdoby. Duże, oliwkowe oczy Aliwii napełniły się łzami. Z drżącej dłoni wypadła złamana końcówka spinki. Dziewczyna zrobiła krok do tyłu i rozżalona swoim losem, usiadła na zimnej posadzce. Zapłakała. Myślała o ojcu despicie i bezdusznym wuju Kumarze. Nikogo nie obchodziły uczucia Aliwii. Nikogo poza Alfordem. Tylko przy nim mogła czuć się bezpieczna. Cóż z tego, skoro trzymana była pod kluczem, a ostatnia nadzieja na wyjście z więzienia przepadła.

Długo trwało, zanim opanowała szloch. W końcu przetarła oczy wierzchem dłoni, poprawiła zmierzwione włosy i wygładziła podwiniętą przy kolanach suknię. Pocieszyła się, że może wuj zrozumie jej nieszczęście. Będzie go błagać, aby pozwolił jej pojechać do miasta, chociaż na chwilę. Pragnęła tylko spojrzeć w oczy umiłowanego Alforda. Nic ponadto. Podniesiona na duchu, wsparła się plecami o masywny regał i jęła układać w myślach strategię rozmowy. Wpatrywała się przy tym bez ustanku w masywne drzwi, jak gdyby w obawie, że umknie jej wizyta bogoboja.

Gdy promienie słońca wpadły ze zdwojoną siłą przez małe okna komnaty, Aliwia usłyszała dźwięk przekręcania klucza w zamku. Poderwała się z ziemi. Fragment spinki musiał utknąć w mechanizmie, bowiem chrobot klucza dało się słyszeć przez dłuższą chwilę. W końcu drzwi otworzyły się, a w progu stanął bogobój Kumar.

– Francowate wierzeje – zaklął pod nosem zakonnik. – Jeszcze dzisiaj każę Jodygowi nasmarować wszystkie zamki w klasztorze.

Powolnym krokiem wszedł do środka. Niósł miskę kaszy, a wolną ręką machał przed sobą, by nie wejść na jakąś przeszkodę. Natrafił na stół i położył strawę.

– Proszę, gdybyś miała ochotę na obiad – rzekł.

– Mówiłam, że nie jadam obiadów – odpowiedziała naburmuszona.

Kumar popatrzył kątem oka na Aliwię, stojącą przy regale z księgami nauk technicznych. Była drobna i przygarbiona. Twarz miała napuchniętą od płaczu, a włosy zmierzwione. Granatowa suknia z nazbyt odważnym dekoltem była brudna i pomięta. Zakonnikowi przeszło przez myśl, że musiała tarzać się po ziemi i wyc wniebogłosy. Wizerunek nieszczęśliwej i rozzalonej bratanicy nie zrobił jednak na nim żadnego wrażenia. Co gorsza, Kumar wydawał się zadowolony z faktu, że komnata leżała daleko od reszty zagospodarowanych pomieszczeń – dziewczyna mogła wrzeszczeć, a i tak nikt by jej nie usłyszał.

Bogobój celowo umieścił Aliwię w tej bibliotece, bo zakonnicy mieli kategoryczny zakaz zbliżania się do niej. Po prawdzie, pewnie nawet by tutaj nie trafili. Z zebranych w tej komnacie ksiąg korzystano tylko podczas mszy, kiedy to w rytualnym obrzędzie kaznodzieja osobiście palił je na ołtarzu. Były to dzieła zakazane, sprzeczne z dogmatami Peruna. Wysławiały w głównej mierze naukę, namawiały do rozumowania, używania liczb i wiary w prawa fizyki. Te ostatnie napawały bogoboja prawdziwą pogardą i obrzydzeniem. Kumar przez lata zbierał owe bluźniercze księgi. Nieraz posuwał się nawet do kradzieży, byle tylko uwolnić umysły śmiertelników od bzdurnych teorii i niedorzecznych ideologii. Składował je daleko od komnat mieszkalnych i modlitewnych sal zakonu, by nie skaziły umysłów zakonników.

– Głód atakuje zniecka – powiedział łagodnie. – Pomyślałem, że może zmienisz zdanie i zjesz. – Kumar pogładził długą brodę i myśląc, co też może jeszcze rzec kobiecie, do tego własnej bratanicy, zapytał:

– A... A jak się czujesz, moje dziecko?

– Źle – jęknęła czując, że zbiera jej się na płacz.

Kumar ugryzł się w język za niefortunne pytanie. Zły był na siebie, że w takich okolicznościach pyta Aliwię, jak się czuje. Przeczuwając zbliżający się lament, zaczął kierować się w stronę drzwi.

– Przyjdę wieczorem, z kolacją – bąknął, pospiesznie chwytając za klamkę.

– Wuju! – krzyknęła za nim. – Ja... ja cię błagam. Nie zamykaj drzwi.

Kumar zatrzymał się w progu. Pochylił głowę, przygładził brodę, westchnął. Zdawało się przez chwilę, jakby nad czymś myślał.

– Przykro mi, moje dziecko – odpowiedział, nadal stojąc tyłem do dziewczyny.

– Błagam cię, obiecuję, że wieczorem wrócę – jęknęła Aliwia, krzyżując na piersi dłonie w geście modlitwy. – Błagam cię! – krzyknęła, ale jej głos

został zagłuszony łoskotem zamykanych drzwi.

Zrozumiała, że nie zdoła stąd wyjść. Chciała paść na ziemię i wyć z bezsilności, jednak nie mogła. Czuła, jak w jej sercu zaczęły się kotłować złe uczucia, których nie powstydzilby się sam Świergot, bóg śmierci i zniszczenia. Zrozumiała, że jak każda doprowadzona do ostateczności kobieta, tak i ona powoli zamienia się w bestię. Żal przerodził się w irytację, irytacja w złość, ta urosła do rangi gniewu, by po chwili przemienić się w furję.

Komnatę przeszył przeraźliwy wrzask. Chwilę potem wielki dębowy stół, uniesiony drobnymi rączkami, został ciśnięty tak, że przeleciał pół sali i z hukiem runął na ziemię. Pod naporem pędzącej dzierlatki padały roztrzaskane regały i potłuczone gabloty. W powietrze uniósł się pył, latały drzazgi i porwane w drobny mak księgi i zwoje. W głębi serca sama pannica dziękowała pewnie bogom, że od tej strony Alford jej nie zna. Jeszcze nie zna. Ale teraz nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje. Była wściekła i dawała upust gniewowi. Kolejne szafki waliły się na posadzkę, kolejne zwoje i woluminy fruwały pod sufitem, aż jedna z ksiąg, uderzając w kamienną ścianę, zwolniła ukryty mechanizm.

Dziewczyna znieruchomiała, ciężko oddychając. Upuściła wyrwane z szafki drzwiczki i zdumiona obserwowała, jak masywny mur z cichym chrobotem wsuwa się w podłogę. Przed Aliwią otworzył się ciemny, tajemniczy korytarz. Zrobiła krok w jego stronę i na złanej potem twarzy wyczuła delikatny podmuch powietrza. Odgarnęła z twarzy pozlepiane rude kędziory i podeszła jeszcze bliżej otworu, próbując cokolwiek wypatrzeć w całkowitej ciemności. Nie wiedzieć czemu, poczuła zakłopotanie. Przełknęła ślinę i popatrzyła za siebie, czy aby ktoś tego nie widzi, czy ktoś nie potwierdzi, że to nie omamy, że to dzieje się naprawdę. W sali jednak nikogo nie było. Aliwia podbiegła do stołu, wzięła kaganek i skierowała strumień światła w zagadkowy otwór. Rozciągał się przed nią wąski,

wykopany w ziemi korytarz. Z łomoczącym sercem zatonęła w tajemnych podziemiach klasztoru.



Wóz kupiecki z turkotem przemierzał północny trakt Krawosadu. Ciągnięty przez dwa kasztanowe konie, podskakiwał na co większym wyboju. Wyglądało na to, że woźnicy wyraźnie się spieszy. Na koźle siedział postawny mężczyzna z sumiastym, czarnym wąsem. Ubrany był w wysokie podróżne buty, ciemne spodnie i skórzany kaftan. Po jego prawicy siedział chłopczyk. Wyglądał na dziesięć, może dwanaście lat. Miał bujną, rudą czuprynę i duże, ciekawe świata oczy.

Mężczyzna splunął przez lewe ramię i zmełł w ustach przekleństwo. Rozmyślał o córce. Zły był na nią, zły był na siebie. Tak naprawdę w tej chwili cały świat go irytował. Dziewce brakowało przynajmniej dwóch zim, by względną pełnoletność uzyskać – przynajmniej tę prawną, bo do ojcowskiej to jeszcze z dziesięć brakowało. A tutaj takie problemy robiła... „Chłopy jej w głowie – gorączkował się mężczyzna. – Taki smarkacz Alford, rosłe bydło, będzie mi córkę bałamucić! – Woźnica ścisnął w dłoniach lejce tak mocno, że te prawie puściły soki. – Jak poobcinam mu łapy, dopiero przyzwolę córce na widzenia z nim. Nie wcześniej!”.

Splunął na mijane krzewy malin i na nowo oddał się rozmyślaniom. Wygrał zdrapkę karczemną. Wspaniały wypoczynek w nadmorskim kurorcie. Niedoścignione marzenie dla większości mieszczan. Los uśmiechnął się właśnie do niego. Jak nigdy dotąd. Może i dorobił się góry płacideł, ale to wszystko dzięki ciężkiej pracy. Sam nic nigdy nie wygrał. Do teraz. Mężczyzna zgrzytnął zębami. I nawet to musiała zniweczyć Aliwia.

Popatrzył na synka. To był dobry chłopak. Posłuszny, może trochę przytępawy, ale przynajmniej już myślał o interesie ojca, już dopytywał się, jak kramy rozkładać, jak o towar się targować. A Aliwia nic, tylko jak gołębia wysłać czy monetę wyłudzić na kolejne mazidło bądź fatalaszek.

Ojciec był na nią bardzo zły. Wiedział jednak, że gdy tylko dojadą do klasztoru, rzuci się jej do kolan i będzie błagać o wybaczenie.

Był dobrej myśli. Wszak zrezygnował właśnie z kurortu. Zrozumiał, że nazbyt się uniósł, że nie miał prawa zmuszać dziewczyny do podróży. Nie powinien zamykać jej u brata w klasztorze, nawet pomimo tego, że sama o to prosiła. Błagał w duchu bogów, aby Aliwia nie miała mu tego za złe. Kochał ją całym sercem i wiedział, że nie przeżyłby dłuższej rozłąki z córką.

Żona rzuciła go dla innego. Zostawiła go z dwójką dzieci przeszło dziesięć lat temu. Bał się, by podobnie teraz nie zrobiła Aliwia. Tym bardziej, że dziewczyna była krnąbrna i miała ciężki charakter. Ojciec obwinał jej matkę o ten upór i nieposłuszeństwo, chociaż w głębi serca wiedział, że i on nie jest bez winy. Wszak nie zajmował się dziewczyną wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowała. Ciężko było odbudować rodzicielskie relacje. W obawie przed popełnieniem tego samego błędu przy wychowywaniu synka Kolika starał się przy każdej sposobności wpajać chłopakowi życiowe mądrości. Z Aliwią to już nie było takie proste. Miała szesnaście lat, zdążyła się zorientować, jaki jest świat i do czego służą chłopcy.

Lemosz postanowił, że w najgorszym razie zmieni zdanie i zgodzi się na spotkania córki z Alfordem. Oczywiście pod swoim czujnym okiem, ale to chyba i tak już coś. Podniesiony na duchu tym postanowieniem, oddał się obserwacjom mijanej kniei. Wiedział, że przed nimi jeszcze spory kawałek i dopiero późną nocą zajadą pod bramę klasztoru. Miał nadzieję, że Kumar nie będzie miał mu za złe niezapowiedzianej wizyty. Wszak gdy przywoził Aliwię, nasłuchiwał się już wystarczająco dużo.

Przeniósł wzrok na synka. Spostrzegł, że dzieciak trzyma w ręku małego drewnianego rycerza. Kolik wpatrywał się w zabawkę, jakby była najważniejszą rzeczą na świecie. Ojciec wiedział, że chłopaka nie skaził jeszcze zakłamanym światem, w którym płacidło i mocna gęba dyktowały

warunki. Bał się jednak, że prędzej czy później przyjdzie mu zderzyć się z brutalną rzeczywistością.

Obawiał się też, czy chłopak zbyt często nie bawi się tym rycerzykiem. Złościł się, że w sprzedaży nie było małych kupców, furmanek bądź kramików. Przecież czas odważnych rycerzy i chwalebnych wojen bezpowrotnie minął. Szlachta żerowała na dawnych zasługach swoich przodków. W najmniejszym stopniu nie przyczyniała się do rozwoju miast nawet.

Rycerze leżeli tylko na siennikach i dbali, by nigdy nie zabrakło w michach kaszy. Złościło go to niepomierne. Wiedział, że i kaszę, i micę, a nawet ten siennik mógł im sprzedać tylko kupiec, wobec czego to on powinien być najważniejszy. To on, a nie jakiś bezmyślny mięśniak, powinien dyktować warunki. Gdyby nie handel, który trzymał w ryzach ogłupiałe społeczeństwo, wszyscy by się pozabijali o garść orzechów. Mężczyzna pragnął, by jego syn wyznawał podobne poglądy na życie. Wierzył, że prędzej czy później uda mu się nakierować dzieciaka na właściwą drogę.

– Ten rycerzyk wydaje ci się taki fajny, smyku? – spytał chłopaka. – To drogon, tatku – odpowiedział z dumą w głosie Kolic. – Strażnik gościńca.

– Zwał go, jak zwał. Ma pusty łeb i macha bez celu sztyletem.

– Mieczem – poprawił go rudzielec.

– Mniejsza o szczegóły – zachnął się kupiec, podkreślając sumiastego wąsa. – Zdajesz sobie sprawę, że to zawód kupca jest najbardziej niebezpieczny?

– Jak to? – przejął się dzieciak.

– Patrząc nie na takiego człeka obitego w blaszkę, a na swego ojca Lemosza... – rzekł z niekłamaną dumą w głosie, bijąc się w pierś – ...nobliewego wszak kupca, powinienes wyciągnąć wiele nauk i mądrości życiowych.

– Ale oni są odważni! – chłopak uniósł się w zachwycie. – Masz chwiejny pomysłupek. – Ojciec poklepał młodego po plecach. – Ale to ci z wiekiem przejdzie.

– No ale... – zaczął nieśmiało Kolic – ...kiedyś mówiłeś, że zawód kupca jest bardziej godny.

– Prawda – zgodził się Lemosz.

– A teraz mówisz, że jest niebezpieczny? No to jak to z tym jest?

– Bo, widzisz, członek takiej uprzywilejowanej warstwy rębajłów...

– Nie rozumiem, ojczu.

– Toć jeszcze nie zacząłem – wzburzył się Lemosz. – No więc: rębajłów, stanowiących niejako elitę społeczeństwa feudalnego, obowiązany do...

– To znaczy rycerzyna taki?

– Nie przerywaj, młokosie, bo wątek podzięję!

– Wybacz, ojczu... Skończyłeś na... obowiązkach jego.

– Tak... Więc obowiązany jest do służby wojennej, a w istocie zajmuje się, jak świat nam pokazuje, ciurlaniem, obżarstwem i obnoszeniem się z mieczem.

– Jakoś tak pomstujesz na nich, tatku, bez przerwy – zauważył chłopak.

– Bo mam powody – zachnął się Lemosz. – Choćby taki Alford. Co prawda rycerzem ci on nie jest, ale wojak pełną gębą. Ba, jest wojmiłem Nogradu. Może więc stać się rycerzem w każdej chwili. Upatrzy taki sobie jaką naiwną dzierlatkę i już nic, tylko myśli, jak tu takiej wejść pod kieckę, jak tu taką gdzieś na sianie...

– Ale Alford, tatku – wszedł mu w słowo młodzieniec – to chyba z Aliwią się miłuje?

– A takiego! – krzyknął kupiec i splunął na ziemię. – Nic nie miłuje.

– Ale jak to?

– Cicho, powiadam!

– A my? – spytał Kolik, próbując rozładować napięcie.

– Co „my”? Jak to „my”? Weź lejce, smyku, bo mi już w stawach rzezi.

– No my, ojciec, mówisz, że my z tych lepszych, ale... Wio! – krzyknął chłopak na dwa zmordowane podróżą konie. – Ale ani pieśni o nas nie ma... ani...

– Aaa, pieśni! Pieśni ci w głowie – zirytował się ojciec. – Toć to licha rozrywka dla fleciarzy, fagociarzy, mandolinarzy i innych nacji nazbyt zbabiałych. Spiszą takie pieśni na cześć ukochanego Arszena z Wifoldu, a potem się wszystkim zdaje, że znamienity przez wsławienie się w boju. Tfu! – Charknął obficie, opluwając własną nogawicę. – Chyba w obyciu minoderyjnym, czyli w rozwartej krynolinie interesowny.

– To ten tego, raczej wstyd być rycerzem?

– Wstyd, synku. Rycerz czy wojak to w istocie pończosznik i bawidamek. U takiego rębajły głos mięśnia zagłusza głos rozumu. Nierzadko również bywa, że ukrywają swoją niefachowość, nosząc bardzo długie miecze.

– Wolesz miał strasznie długi miecz! – wypalił młodzieniec.

– A któż to?

– Bojownik o wolność, tatku. Oswobodził południowe wsie Krawosadu, przegonił...

– Co robi teraz? – ojciec wszedł mu w słowo z nieskrywaną irytacją w głosie.

– Nie żyje.

– To skąd wiesz o jego zasługach?

– Bard był kiedyś na placu i... – Chłopak spochmurniał, przypominając sobie niedawne słowa ojca o rycerskich pieśniach. – ...i śpiewał... To znaczy... Bo on...

– Nie sil się, synu.

Kolik zwolnił lejce i posępnym wzrokiem zmierzył drewnianą figurkę rycerza. Wóz powoli przemierzał szeroki trakt. Z lasu dochodził świergot ptaków. Kupiec odwrócił się w koźle, odchylił szarą od kurzu płachtę i sięgnął po drewnianą skrzyneczkę. Wyjął z niej fajkę i suszony tytoń. Ubił słuszną ilość w cybuchu i już po chwili mocno się zaciągnął. Wypuścił obłok dymu, po czym zmierzył wzrokiem garbiącego się chłopaka.

– Siedź prosto.

Chłopak momentalnie poprawił się na koźle.

– Wyobraź sobie, Kolicu, na przykład nas, żeśmy rycerze – zagadnął ojciec przyjaźnie. – Wjeżdżamy teraz w miasto.

– Oj, do miasta jeszcze kawałek, tatku.

– Utrapienie z tępą pałą! – Kupiec zgrzytnął zębami ze złości. – Czasami wątpię, czy głupota ci minie.

– Przepraszam, ojcze. – Młokos pochylił głowę i wprawnym gestem zdjął czapkę.

Lemosz zdzielił Kolika wierzchem dłoni w potylicę. Wyjął zaślinioną fajkę z ust, bo wyraźnie się zakrztusił obfitością dymu.

– Ożeż, cholerstwo mocne. Daje czadu w pałę... O czym to ja?

– Że w miasto wjeżdżamy – wyszeptał wystraszony chłopak.

– A tak! Więcej pewności siebie, smyku! – Lemosz rozłożył się wygodnie na drewnianym siedzisku i kontynuował. – Tak, więc wyobraź sobie, że w miasto wjeżdżamy. Mamy cenzus rycerza.

– Ubranie?

– Co ubranie? – warknął rozeźlony kupiec.

– A nic, nic.

– Co ubranie?!

– No ten penzus?

– Cenzus! Status inaczej, matole zafajdany. Znaczy, żeś po prostu rycerzyna. Jeszcze raz mi przerwij...

Kolik ponownie czerep pochylił. Zdjął czapkę.

– Nie trzeba – skwitował doświadczony kupiec, jakby herbaty odmawiał i mocno poirytowany, już ze znużeniem kontynuował. – Wjeżdżasz więc w to cholerne miasto jako rycerz, prawda?

– Prawda, tatku.

– I co?

– Właśnie? I co?

– I nic. Zupełnie nic. Może jakaś białokiecka uśmiechnie się filuternie. Może karczmarz głębiej się ukloni. Ale cóż z tego, skoro ta pierwsza może mieć syfisa, a ten drugi cenę ci podniesie?

– Nie pojmuję.

– Zaraz pojmiesz. Daj łbu chwilę. Teraz wyobraź sobie, że jedziemy tam jako kupcy.

– My jesteśmy kupcy.

– No widzisz. Będzie więc łatwiej. – Lemosz ponownie zaciągnął się i podkreślił wąsa. – Wjeżdżasz w miasto jako kupiec. – Popatrzył na młokosa, czy ten nie gubi wątku. – Boś kupiec. I co?

– I... – Chłopak nadaremno spróbował swych sił.

– I wszyscy cię lustrują, inwigilują, bacznie infiltrują. A ktoś ty, w duchu się pytają. A skoro kupiec, to co możesz mieć na wozie? A po ile to możesz mieć? A ile tego możesz wieźć? A czy to na sprzedaż? Zaczynasz pojmować?

– Chyba tak – odpowiedział cichutko Kolik.

– Respekt, smyku, respekt, rozumiesz? Bładzie burdelowe i oberżświnie nie rzucą ci się do stóp, bo się znasz przecie na cenach. Nie rzucą ci się też do gardła, bo może i bronią handlujesz.

– Ale... ale jaki to ma, ojczy, związek?

– Z czym?

– No mówiłeś na początku, że to zawód niebezpieczny i godniejszy niż... to jak to...

– Pamiętliwy z ciebie łobuz. Dobrze. To dobrze. Uczysz się, widzę. Prawić dalej? Czerep ci nie spłonie?

– Nie, tatk! Mów śmiało.

– Bo widzisz. Rycerz, jak mówiłem, wślawiony jest częściej dzięki pieśniom, które ktoś wymyślił, niżli przez faktyczne zasługi. Kupiec zaś przemierza niebezpieczne trakty, co dzień narażony jest na szkodliwe dla zdrowia kłótnie przy straganach. Złodzieje dybią na jego sakwy, a już nagminnie wszyscy próbują kupca oszukać.

Kolik uważnie słuchał wywodu ojca. W końcu wóz minął Nograd. Słońce chowało się już za drzewami. Kupiec, mimo że prawil dziecku nauki, myślami był przy Aliwii. Jak nigdy błagał bogów, by mu wybaczyła.



Melmir bezszelestnie wszedł do własnego domu. Zmienił obuwie na wełniane kapcie i zaczął nasłuchiwać odgłosów. Krzątanie się małżonki złowił uchem w kuchennej izbie. Próbując nie doprowadzić do zbędnej konfrontacji, przeszedł na palcach wąski korytarz i skierował się do pokoju z łóżem.

– Długo cię nie było, kochanie. – Usłyszał, będąc w połowie drogi.

– Tak, no cóż. Wybacz, rybeńko. – Melmir podrapał się po głowie, szukając wymówki, jakiegoś sprytnego oszustwa. Dobrze wiedział, że Szajga nie lubi Lentaka. Miała go za oprycha i skończonego łajdaka. Tolerowała spotkania starszków przez wzgląd na ich długą przyjaźń, jednak starała się je ograniczać do minimum. Wiedziała oczywiście o wizytach w karczmie, wszak była to tradycja przyjaciół, jednakże dzisiejsza nieobecność Melmira była niepokojąco długa.

– Musiałam sama iść do kramów po rzepę i maślane suchary – powiedziała z wyrzutem w głosie.

– Wybacz, zupełnie zapomniałem o... Żle się poczułem – wypalił z ożywieniem starzec. – I... i poszedłem do Trewiasza.

Małżonka jak na komendę przestała mieszać w rondlu i wychyliła głowę do korytarzyka. Z niekłamanym przejęciem przyglądnęła się małżonkowi.

– Co się dzieje? – spytała. – Serce cię boli? Masz nudności? No, mówże wreszcie!

– Nie, nie, już wszystko jest dobrotne...

– Jakie jest?

– Dobro... No w karczmie tak teraz mówią...

– Ty przestań z tymi nowomodnymi głupotami! I mówże, co ci było!

– A tak tylko, chciałem, żeby mnie osłuchał i.... I zawroty głowy miałem, więc...

– To wszystko przez tego gałgana Lentaka. – Pogroziła palcem. – Ciąga cię po spelunach, ty wdychasz pijackie wyziewy, a potem...

– Nie, nie – przerwał jej. – To znaczy, mam po prostu częściej wychodzić na dwór i tyle – wypalił bez zastanowienia.

– Bardzo dobrze. Będziemy chodzić do lasu – powiedziała zadowolona i schowała się z powrotem w kuchni.

– A co do karczemnych pijatyk... – dodała po chwili – ...będziesz musiał dać sobie z tym spokój, Melmirku.

Stukot warząchwii o garnek nasilał się z każdą chwilą.

– Będę na to nalegała.

– Dobrotnie, to... to znaczy naturalnie! – daremnie próbował przekrzyczeć stukot wielkiej łychy o gar.

Nie wdając się w dalsze dyskusje, wszedł do sypialnianej izby. Od razu uchylił drewnianą klapę w podłodze i zszedł po małych schodkach. W mroku zapalił zawieszoną na ścianie pochodnię. W piwniczce były szafki wypełnione konfiturami, sokami i przetworami. Dalej stały: beczka kapusty, skrzynia z warzywami oraz stół, przy którym niegdyś Melmir warzył magiczne ingrediencje. Podszedł do niego i z nieskrywaną trudnością zaczął wysuwać spod blatu ciężki kufer. Po dłuższym czasie, a był już zdyszany, uchylił wieko. Jego oczom ukazała się złożona w kostkę toga. Niżej leżały ciżmy oraz czapka, której fason wydał mu się – jak na ten czas – bardzo niedobrotny. Wierzchem rękawa otarł łyżę wzruszenia i odłożył na bok odzienie. Pod spodem były rękawiczki, skórzany diadem, puste fiołki, medalion, który dostał od małżonki, oraz złamana na pół czarodziejska laska. Melmir rozповідаł, że rozszczepiła się, nie wytrzymując potężnego zaklęcia, które rzucił, gdy próbował przejąć kontrolę nad pewną osobą. Było to kłamstwo, chociaż blisko mijające się z prawdą. Czarodziej istotnie chciał mieć kontrolę, ale nad sobą – pewnego razu, gdy wypił o jeden kufel za dużo, podparł się magicznym kijem,

próbując dowlec bezpiecznie do domu. Niestety, kij pękł pod ciężarem pijanego starucha.

– To były czasy – szepnął rozmarzony.

Grzebiąc w skrzyni, dostrzegł dziurawy mieszek, pustą tubę na zwoje, połówkę papirusy, kałamarz... Dłonie Melmira zaczęły drżeć. Wyraźnie spanikowany, coraz bardziej energicznymi ruchami przebierał między rzeczami.

– Nie ma! – jęknął pod nosem, po czym z hukiem zamknął kufer. Wściekłym wzrokiem zmierzył całą piwniczkę, jakby gdzieś tutaj krył się złodziej, szubrawiec, który przywłaszczył sobie własność staruszka. Na wąskich półkach stały jednak tylko słoiki i dzbanki – wszystkie ułożone równo, w rzędki.

– Nie ma! – powtórzył głośniej.

– Co mówiłeś, Melmirku? – Dobiegł go dźwięczny głos z kuchni.

– Co mówiłem? Co mówiłem?! Ja ci zaraz pokażę, co mówiłem – syknął odważnie przez zęby. Wstał i pełen złości wsparł nogę na skrzyni z zamiarem wkopania jej pod stolik. Ani drgnęła, a w krzyżu odezwał się promieniujący ból. Złość momentalnie ustąpiła, a w jej miejsce pojawił się żal i smutek. Rozgoryczony dziadek wyszedł powolnym krokiem z piwniczki. „Księżę musiała zabrać Szajga – rozmyślał – tylko co z nią zrobiła?”.

Wszedł do głównej izby i usiadł przy stole. Nerwowym wzrokiem popatrzył na małżonkę.

Kobieta słusznych rozmiarów uwijała się przy kuchennym piecu, co rusz mieszając w garnkach drewnianą warzączwią. Leciwy czarodziej przeniósł wzrok z pofałdowanej sylwetki Szajgi na drewniany sztuciec równie dużych gabarytów. Szajga dostała warzączew dwadzieścia dwa lata temu jako prezent ślubny od świętej pamięci wuja Figosza. Melmir przeklinał go

za ten podarek i każdego dnia błagał Peruna, by wujek płonął w kotłach Świergota.

Ledwie rok po ślubie, kiedy czuł jeszcze młodzieńczy zapał i odwagę głupca, by krytykować kulinarne wyroby lubej, przyszło mu poczuć na własnej skórze impet uderzenia prezentem. Incydent sprawił, że czarodziej dwa dni leżał bez czucia, a przy okazji klarownie objaśnił hierarchię w związku.

Melmir zawsze był wątego zdrowia. I choć to nie powinno mieć znaczenia w małżeńskich scysjach, w rzeczywistości znaczenie miało. I to zasadnicze. Przedmiotowo podkreślania ważkości własnych argumentów małżonka dźwżyła nadal. A jak życie nauczyło Melmira, pora obiadu była najgorszym czasem, by coś kombinować.

Niestety, czasu, jak na złość, było niewiele. Musiał więc zaryzykować.

– Rybeńko...

Szajga odwróciła się błyskawicznie i badawczym wzrokiem zaczęła lustrować małżonka.

– Po-poproszę małą porcję.

– Za mało jesz, Melmirku – zganiła go, kokieteryjnie grożąc warząchwią.

Melmir wzruszył ramionami, po czym przełknął ślinę smakującą bólem i cierpieniem. Zmusił się do uśmiechu. Popatrzył nieobecny wzrokiem na miche, którą postawiła mu pod nosem małżonka. Parująca rzepa z maślanym sucharem. „A jakby tak wepchnąć jej tego suchara do gardła i czekać, aż zemrze z braku powietrza?” – przeszło przez myśl Melmirowi. Szybko odpędził złowieszcze pomysły. Co prawda nieraz kobieta doprowadzała go do szału, jednak mimo to gdzieś w głębi serca kochał ją nade wszystko.

– Szajgo – zebrał się na odwagę. – Szu-szukałem mojej książki zaklęć. Nie wiesz może, co się z nią stało?

Małżonka postawiła na stole swoją porcję rzepy i usiadła.

– Kochanie... – powtórzył Melmir.

– Tak, słyszałam – weszła mu w słowo. – Próbuję sobie przypomnieć, ale z tego, co pamiętam, chyba ją komuś dałam.

Melmir zrobił wielkie oczy. Jego szczęka zaczęła drżeć w szaleńczym rytmie, a drewniana łyżka wypadła z ręki.

– Co?

– I to chyba ze trzy lata temu – zamyśliła się, mieszając na talerzu parujące ziemniaki. – Tak. To było na wiosnę, pamiętam dobrze, bo chciałam zrobić wtedy przyjęcie.

– Da-dałaś moją księgę czarów? – spytał z niedowierzaniem staruszek. – Ale dlaczego? Przecież nikomu by się na nic nie zdała.

– Widocznie jemu się zdała – zachnęła się małżonka.

– Ale czemu to zrobiłaś?! – ryknął wściekle czarodziej i uderzył pięścią w stół.

W tym samym momencie uświadomił sobie, co zrobił. I wiedział, że było za późno na cokolwiek. Czuł, że serce wypadło mu z piersi i z wrzaskiem wyleciało z izby, szukając schronienia daleko za Nogradem. On jednak nadal siedział naprzeciw Szajgi. Nie mógł nic zrobić, jak tylko oglądać w źrenicach kobiety widoczne kontury własnej mogiły. Otrząsnął się z początkowego szoku i zaczął w pamięci wertować zaklęcia. Tak dawno nie czarował, a wypadałoby się ratować...

– Melmirze. – Przebudził go upiorny głos Szajgi.

– Prze-przepraszam – wydukał nie na żarty sparaliżowany.

Szajga podniosła ze stołu łyżkę i nabrała słuszny kęs, mierząc wzrokiem małżonka. Chciała się upewnić, czy Melmir jest już spokojny, czy może jednak terapia warząchwią będzie niezbędna.

– Jedz, bo wystygnie – powiedziała po chwili, usatysfakcjonowana postawą staruszka.

Melmir odetchnął z ulgą. Dziękował w duchu za to, że kobiecina nie była skora do waśni. Wszak w takim wieku pędu warząchwii mógłby nie przeżyć.

– Pamiętasz, jak prosiłam cię pewnej wiosny, żebyś wytepił w piwniczce szczury? – spytała między kęsami. – Zaległy się tam, szkód porobiły co niemiara, a tobie całą tę księgę podobno zgryzły. Nie było po co jej trzymać.

Melmir przypomniał sobie, istotnie, był moment, kiedy męczyła go o tępienie szczurów, ale ostatecznie wynajęła jakiegoś naiwniaka, który za dwie monety zszedł tam i...

– Mój szcurek! – wypalił trzęsącym się głosem. – Mój magicznie uśpiony Chowaniec! Nie było go w skrzyni!

– Pewnie to jego skrócił o głowę.

– Ależ on był niegroźny, poza tym magicznie uśpiony... Na pewno nie mógł...

– Widocznie mógł – rzekła beztrosko i obdarowała małżonka serdecznym uśmiechem.

– On cię oszukał, Szajgo! Wmówił, że księga zniszczona! Zabrał ją!

– To był taki uprzejmy człowiek...

– Jak... jak wyglądał? Mów, skąd przybył?

– Och, to był przejezdny.

– Jestem skończony!

– Ale na co ci jeszcze ta księga, Melmirku?

– Yyy, tak tylko, słabo mi, ja.... Muszę do Trewiasza...

– Ale co się dzieje, Melmirku?

– Dokończę później. – Czarodziej wstał od stołu, migiem zmienił obuwie i wyszedł z domu. Nie wyobrażał sobie, by rabunek mógł się powieść bez księgi zaklęć. Musiał jak najszybciej zobaczyć się z Lentakiem.

Na świecie było niewielu ludzi przejawiających magiczne zdolności. Niektórzy z nich nawet do śmierci mogli nie zdawać sobie z tego sprawy. Ci znowu, którzy odkryli w sobie magię, próbowali okiełznać potęgę, ryzykując własnym życiem. Z czasem wielu rezygnowało z prób czarowania, wielu ginęło, ale byli i tacy, którzy po latach żmudnych ćwiczeń przejmowali kontrolę nad swymi mocami.

Rzucanie czaru często sprowadzało się w początkowej fazie do działania metodą prób i błędów. Czarodziej z poświęceniem sprawdzał, przy jakich gestach najłatwiej osiągnąć pożądany efekt, przy jakich słowach umysł najsprawniej może nim kierować.

Życie wielokrotnie demonstrowało bezwzględność sztuk tajemnych. Magia szybko osłabiała organizm, objawiała się też jako złośliwa i nieobliczalna. Najmniejsza pomyłka czy chwilowa dekoncentracja mogły zmienić działanie czaru. Zdarzało się to często, bowiem uczucia, jakie towarzyszyły czarodziejowi, jego postawa, tembr głosu – wszystko miało wpływ na sposób rzucania zaklęć.

Magia każdą osobę traktowała indywidualnie, ciężko więc było stworzyć uniwersalną księgę zaklęć. Każdy czarodziej notował spostrzeżenia i uwagi dotyczące się tylko jego własnej osoby. Magiczne zwoje czy woluminy były dla innych bez wartości. Jednak dla ich właścicieli były bezcenne.

Melmir tym bardziej dziwił się, dlaczego ktoś chciałby wziąć jego księgę. Co prawda sumiennie spisywał każde, nawet najmniej istotne spostrzeżenie, ale tak naprawdę tylko on miał z niej jakiś pożytek. Zresztą, to i tak było już bez znaczenia. Księga przepadła, a starzec ostatnie czary rzucał zbyt dawno temu, by pokładać wiarę w swą ulotną pamięć.

Pełen obaw, szedł pospiesznym krokiem. Chciał jak najprędzej zobaczyć się z Lentakiem, by odwołać rabunek, póki był jeszcze na to czas. Emerytowany rzezimieszek mieszkał kilka przecznic dalej, na pierwszym piętrze pewnej kamieniczki. Często narzekał na sąsiadów i strome schody,

jednak niski czynsz i okna zwrócone na izbę Jagodziny nie pozwalały mu na zmianę kwaterek.

Melmir migiem pokonał dystans, zdyszany wszedł po stopniach i zatrzymał się przed drzwiami Lentaka. Odczekał dłuższą chwilę, by nie dać po sobie poznać zmęczenia, wszak nie wypadało obnosić się przed kolegą słabą kondycją, i wreszcie zapukał.

– Otwarte. – Usłyszał chrapliwy głos.

Czarodziej przeszedł zagraconą sień, wszedł do izby i zamarł, widząc staruszkę leżącą płasko na podłodze.

– Co robisz? – spytał zaskoczony.

– Co robię, co robię! Leżę sobie! – Dziadek nawet głową nie ruszył, wlepiając nos prosto w podłogę.

– Ale po co?

– Bo tak!

Melmir rozejrzał się po pokoju. Panował tu wielki bałagan, jak zwykle u byłego złodziejstwa. Na sienniku leżał zwinięty w kłębek koc, szafki raziły brakującymi drzwiczkami, w powietrzu unosił się kurz pamiętający początki tego stulecia, a z samych pajęczyn, zebranych u sufitu można by pewnikiem wyszyć gobelin. Wzrok czarodzieja przykuła leżąca na podłodze rozpięta torba. Wystawały z niej przeróżne pręciki, wytrychy i imitacje kluczy.

– Widzę, że odgrzebałeś swój złodziejski zestaw.

– Tak, musiałem, wyobraź sobie...

– Będziesz do mnie tak gadał czy wstaniesz? – przerwał mu zirytowany Melmir.

– Nie mogę! – krzyknął zdenerwowany Lentak.

– Dlaczego?

– Bo coś mi strzyknęło w plecach, gdy robiłem pompkę, gałganie!

– Na Peruna! – Czarodziej doskoczył żwawo do przyjaciela. – Daj rękę, pomogę.

– Byle powoli. Czeka, auć... Boli!

– Powoli, powoli. Podeprzyj się o siennik.

Izbę przeszył dźwięk chrupiących kości.

– Lentaku, i tak scherlały chcesz iść na rabunek?

– Nie denerwuj mnie nawet! – wybuchnął bezzębny opryszek, gdy już stanął na równe nogi. – Byłem przy siedemdziesiątej ósmej pompce, gdy przeforsowany organizm odmówił posłuszeństwa.

Czarodziej zmierzył Lentaka sceptycznym wzrokiem.

– Niechaj ci będzie – rzekł w końcu. – Ale jest problem.

– Jaki znowu problem? – Staruszek usiadł na skraju siennika i przeciągnął się. – Na Peruna, leżałem chyba pełną litanie.

– Problem...

– Tak, tak, no, o co chodzi?

– Szajga... to znaczy, nie Szajga. – Zdenerwowany Melmir zaczął chodzić wokół stołu. – Chociaż z drugiej strony, jak na to patrzeć...

– Przejdź do konkretów – zniecierpliwiał się Lentak.

– Nie mam... – Melmir urwał w pół zdania i wyczekująco popatrzył na przyjaciela. Zauważył, że ciekawy konkluzji opryszek pochylił się nawet, by uchwycić słowo kluczowe. – Nie mam – powtórzył ku zniecierpliwieniu kolegi – księgi zaklęć.

– No i co z tego?

– No i co z tego?! – Magowi prawie tchu w piersi zabrakło. – Na bogów! Ukradł mi ją jakiś podły awanturnik. Żadnego zaklęcia nie pamiętam! Jak chcesz się włamać do Lemosza? Jego dom jest ogrodzony! Ponoć drzwi, w nowym trendzie, mają dwa zamki, a kto wie, czy i jakiejś pułapki...

– Przestań kwilić – wszedł mu w słowo Lentak.

– Może nawet...

Złodziej uciszył kompana gestem ręki.

– Cicho, cicho. Piszczysz jak targowa szantrapa. Włamanie się do posiadłości Lemosza będzie proste jak tryb życia jałmużnika – rzekł ze znużeniem w głosie wiekowy rozbójnik. – A poza tym przygotowania są w zbyt zaawansowanym stadium, by teraz się wycofać.

– Ale w jakim stadium? – zapiał czarodziej. – Wymyśliłeś ten skok dzisiaj po śniadaniu!

– Otóż to. Ale już poniosłem związane z tym koszty.

Melmir popatrzył pytająco na Lentaka.

– Gdy się rozstaliśmy, poszedłem prosto do demobilu, gdzie lata temu zostawiłem mój złodziejski zestaw – powiedział staruszek. – Szczęściem leżał tam do dzisiaj. Musiałem go odkupić.

– Nie dziwię się, że leżał... Kto kupiłby takie rupiecie.

– Rupiecie! – zachnął się Lentak. – Po prostu rabusie nowego pokolenia nie znajdują się na profesjonalnych, rzetelnie wykonanych narzędziach włamu.

– Taaa... To przyznaj się, za ile musiałeś je odkupić.

Urażony Lentak odwrócił się i tępo wgapił w ścianę.

– No powiedz! Garść zardzewiałych gwoździ? Wiadro żwiru? Obietnica wyjścia ze sklepu?

– Cicho już! – uniósł się emerytowany złodziej. – Zapłaciłem kwotę, której ty nigdy w rękę nie trzymałeś! Zresztą... – dodał po chwili – ...pomyśl, Melmirze... Już niedługo możesz trzymać w rękę majątek! Będziemy pławić się w luksusie!

Czarodziej wpatrzył się w brudne okno i odbiegł myślami w dal.

– Luksus – westchnął.

– Tak, luksus – odpowiedział w euforii Lentak. – I ten niezapomniany dreszczyk emocji.

– Emocje – powtórzył za nim jak w transie Melmir. – Wyobraź sobie, Lentaku – dodał po chwili oprzytomniały – że w domu mi jakoś ich nie brakuje.

– Melmirze, przez wzgląd na naszą przyjaźń, zbierz się do kupy.

– Kiedy nie mam księgi zaklęć! – zawył czarodziej.

– Więc je sobie przypomnij! – zdenerwował się Lentak. – Czy Szajga nie ucieszyłaby się z worka płacideł? – Pewnie by się ucieszyła – bąknął pod nosem Melmir.

– To wracaj do domu i czyn przygotowania.

– Może rzeczywiście coś tam pamiętam – pocieszył się na głos czarodziej.

– Oczywiście, że coś pamiętasz. Nie lamentuj, tylko myśl o jutrzejszym dniu, gdy będziesz z Szajgą liczyć rozsypane na sienniku monety.

– No cóż – rzekł podniesiony na duchu Melmir. – To do zobaczenia przy beczkach kowala.

– Przy beczkach.

Długowłosy czarodziej skinął na pożegnanie i wyszedł z kamieniczki. Myśli zaprzętały mu zapomniane zaklęcia i tajemne formuły, ale ponad wszystko nie dawała o sobie zapomnieć Szajga. Martwił się, jakim też sposobem uda mu się w środku nocy wyjść niepostrzeżenie z małżeńskiego łóża.

Jodyg dziękował bogom w duchu za to, że zdążył się schować w ciemnym korytarzu. Nie wiedział już, co myśleć o ślepcie Kumara. Co prawda już wcześniej miał podejrzenia co do jego kalectwa. Do tej pory niepasujące do ślepoty zachowanie bogoboja tłumaczył sobie jego wyśmienitą intuicją i wrodzonym szóstym zmysłem. Ale wędrówka niewidomego z pochodnią w rękę? To było naprawdę podejrzane.

Jodyg biegł. Nie chciał ryzykować, że Kumar go spostrzeże. Minął kilka rozwidleń, skręcił w korytarz pokryty wiekową pajęczyną i nie zatrzymując się ani na moment, próbował zobaczyć cokolwiek w ciemności. Gdy śledził Kumara, starał się zapamiętać drogę, jednak teraz wcale nie był taki pewny, że wraca tą samą trasą. W niektórych częściach korytarzy można było dostrzec niewielkie otwory okienne, ale wpadało przez nie tak niewiele promieni słońca, że prawie od razu były duszone przez przenikliwy mrok. Jodyg zwolnił, wyczuwając pod stopami zwały gruzu. Przekonany, że minął właściwy skręt, wrócił się i próbował znaleźć korytarz prowadzący do wschodniej bramy.

Liczył na to, że ujrzy poświęcę pochodni Kumara i uda się w ślad za bogobojem. Kluczył dłuższy czas, ale nie dostrzegł zakonnika, a nawet nie usłyszał jego powolnych kroków.

Chłopak zamknął oczy i spróbował się skoncentrować, by w myślach odtworzyć powrotną trasę. Jednakże myśli co rusz zaprzętały mu Kumar i jego szalony plan.

Trudno mu było uwierzyć, że Perun kazał zbawić bogobojowi ludzkie dusze. A już na pewno nie w taki sposób – napaścią i grabieżą. Wiedział, że rozbój na gościńcu to ciężkie przewinienie, a żeby jeszcze dopuszczał się go sam kapłan Peruna?

W klasztorze głośno było o rozdawaniu pieniędzy przez bogoboja. Mnisi zastanawiali się, skąd kaznodzieja weźmie dla wszystkich wiernych tyle płacideł. Nie zadawali jednak pytań. Skoro Kumar tak zdecydował, to musiał mieć jakiś plan. Czyżby datki miały pochodzić z rabunków? Jodyga przeszedł zimny dreszcz.

Wiedział, że musi coś zrobić. Zakonnicy byli bez reszty oddani swemu zwierzchnikowi, więc pewnie nawet nie będą chcieli słuchać bredni zwykłego asystenta. Co gorsza, może nawet byli w to zamieszani?

Gdy przechodził przez ciemną komnatę, w której każdy jego krok niósł się echem, na myśl przyszedł mu kasztelan. „To przede wszystkim on odpowiada za przestrzeganie prawa – rozmyślał – to on rozstrzyga spory i karze winnych. Kumarowi nie może to ujść na sucho, nawet jeśli robi to w imię bogów”. Jodyg zdecydował, że uda się do kasztelana Gramisza. Do miasta było jednak daleko. Aby zapobiec ewentualnej tragedii, musiał dostać się tam szybko, najlepiej konno. Skręcił w wąski przesmyk korytarza, pewny, że odnalazł skrót prowadzący na dziedziniec. Ale przed nim zamajaczył ciemny tunel. Szedł powoli, na rozwidleniu odbił w lewo, zbiegł po kilku stopniach, następnie skręcił w prawo, przeciął kilka komnat i gdy doszedł do zawalonego korytarza, zrozumiał, że wyjście stąd może być trudniejsze, niż przypuszczał. Kumar słusznie przestrzegał go, by z pokorą traktować lochy i tunele świątyni.

Jodyg pomyślał, że może rzeczywiście w murach klasztoru tkwiła uśpiona jakaś boska siła. W końcu człowiek nie byłby w stanie zbudować tak skomplikowanego labiryntu.

Trudno było mu ocenić, jak długo błądził. Ciężko oddychał i czuł nasilające się z każdą chwilą drzenie nóg. Przeklął w duchu ucieczkę przed bogobojem. Mógł przecież po cichu iść za nim – z pewnością już dawno temu byłby w drodze do Nogradu.

Po dłuższym czasie usiadł wycieńczony na zimnej posadzce i bezradnie zwiesił głowę. Nie wiedział, co robić. Powinien krzyknąć i wołać o ratunek

czy może dalej uparcie próbować szczęścia w znalezieniu wyjścia? Czuł głód i zmęczenie, a zawilgocone mury wyziębiły go na wskroś.

Wierzył, że gdyby tylko Perun interesował się losem ludzi, z pewnością by mu pomógł. Był zły na bogów. Stworzyli świat, zrodzili ludzi, a później zostawili wszystko samopas. Niby podarowali człowiekowi magię. Ale rzucanie czarów, nawet jeśli zazwyczaj nie było niebezpieczne, to z pewnością tak nieprzewidywalne, że za ten dar trudno wychwalać niebiososa.

Chłopak był zrozpaczony, już chciał wołać o pomoc, kiedy nagle zerwał się na równe nogi. Zamknął oczy i niepewny, czy przypadkiem nie zwiódł go zmysły, spróbował jeszcze raz uchwycić charakterystyczną woń. Nie pomylił się. Poczł wyraźny zapach gotującej się kaszy. Zdał sobie sprawę, że musi być blisko klasztornej kuchni. Poszedł w kierunku, z którego dochodził zapach. Skręcił w ciemny hol z nisko zawieszonym stropem, przeszedł dwie małe salki i w końcu doszedł do jednej z modlitewnych komnat. Obok znajdowała się kuchnia. Przez uchylone drzwi dostrzegł krzątającego się Tomura. Przez myśl mu przeszło, by wziąć coś do zjedzenia, ale ostatecznie zdecydował, że posili się u kasztelana. Wołał nikomu się teraz nie pokazywać.

Gdy wyszedł na dziedziniec, słońce wisiało wysoko na niebie. Założył kaptur na głowę i szybkim krokiem przeszedł pod arkadami w kierunku stajen. Drzwi były uchylone. Wszedł po cichu do środka. Zauważył po lewej stronie, w pomieszczeniu gospodarczym, Numoga. Leciwy zakonnik opiekował się końmi i bydłem należącym do klasztoru. Na szczęście, jak zwykle o tej porze dnia, spał na stogu siana. Chłopak dziękował w duchu za ten ślepy traf. Zamknął drzwi do komórki Numoga i podparł je leżącymi nieopodal widłami. Jeśli ktoś miał się dowiedzieć, że zniknął koń, niech stanie się to jak najpóźniej.

Po prawej stronie widniały boksy zwierząt. Podszedł do śniadego wierzchowca, który wydawał mu się najszybszy, gdyż miał wspaniale

umięśniony zad. Chłopak założył mu siodło, zapiął popręg i wyjechał na plac świątynny. Nie chciał zostać zauważony, gdyż zakładał, że Kumar ma współników. W porę zauważył przy bramie dwóch mnichów, którzy kierując się w stronę sal modlitewnych, zażarcie dyskutowali.

Ściągnął wodze, przywarł do grzbietu konia i czekał, aż zakonnicy wejdą do klasztoru. Jak na złość, zatrzymali się nieopodal studni. Koń, czując potrzebę, znowu donośnie zarżał i uniósł ogon do góry. Jodyg zaklął w myślach na zrządzenie losu. Mnisi popatrzyli w kierunku chłopaka. Już zaczęli iść w jego stronę, wszak każdy wyjazd z klasztoru był wydarzeniem dla zakonników, kiedy to, na szczęście, ktoś ich zawołał. Migiem pospieszyli do świątyni.

Jodyg głośno odetchnął, szarpnął lejcamy i wyjechał z klasztoru. Spojrzał w niebo. Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie – musiał strawić wiele pacierzy na błędzeniu po labiryntach klasztoru. Przed zmrokiem powinien jednak zdążyć.

Na trakcie kopnął w boki konia i kłusem przemierzał gościniec. Jego myśli zaprzętał Kumar. Co prawda nie przepadał za bogobojem, ale nigdy nie podejrzewał, by ten mógł posunąć się do takich czynów. Ciekaw był, jak na to wszystko zareaguje Gramisz. Czy przyjedzie ze strażą do klasztoru i weźmie na przesłuchanie samego najwyższego zakonnika? A może wyśle samotnego jeźdźca, który będzie miał za zadanie zweryfikować słowa Jodyga? Albo, o zgrozo, nie da wiary opowieści młodego mnicha? Jodyg był pewien, że jednak da wiarę.

Gramisz przeżył za młodu kilka wojen. Był zdyscyplinowany i potrafił rządzić twardą ręką. Tym samym znany był z honorowego podejścia do sprawy. Ludzie po wsiach mówili, a i w samym Norgadzie słów o tym nie szczędzono, że starał się nieść pomoc każdemu potrzebującemu. Nie pozostawał obojętny na cudze cierpienie i tępił najmniejsze przewinienia.

Jodyg wierzył w pomoc kasztelana, ale z każdą chwilą denerwował się coraz bardziej. Miał tyle do powiedzenia, wszak słyszał każde słowo. Atak

na kupieckim trakcie. Podział łupów. Plan wręczenia monet wiernym zebrany w świątyni. „Co Kumar chciał przez to osiągnąć? – zastanawiał się chłopak. – Jak chciał zbawić dusze tych nieszczęśników, skoro sam złamał Perunowe prawo? Trzeba położyć temu kres. Nie ma wyjścia, jak tylko usunąć Kumara z bogobojnego tronu”. Jodyg poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, by tego dokonać.

Droga była łatwa, mało wyboista i względnie równa, jednak wiodła do miasta szerokim łukiem. Jeśli jeździec był niewprawiony w prowadzeniu konia, podróż mogła trwać i pół dnia. Co prawda przez las wiódł skrót, dzięki któremu można było zaoszczędzić sporo czasu, jednak Jodyg nie znał tej trasy.

Bał się, by zbyt szybko nie zamęczyć konia, ale pochylił się i znowu szturchnął boki wierzchowca. Wiedział, że każda zdrowaśka jest na wagę złota.

Po pewnym czasie na gościńcu przed chłopakiem zamajaczyło kilka postaci. Osobnicy nawet nie zwracali na niego uwagi, żywo dyskutując między sobą. Serce podeszło młodemu mnichowi do gardła, gdy pomyślał o bandzie Rotupala. Wszak sam słyszał, jak oprych obiecał Kumarowi, że jeszcze dziś przeprowadzi atak. Co prawda Jodyg nie wiedział, na którym trakcie miało dojść do zamachu ani o jakiej porze dnia, jednak grupka podejrzanych typków kręcących się na drodze pośród kniei budziła wystarczająco wiele podejrzeń i obaw. Chłopak zamknął oczy i błagając w myślach, by tamci go nie zaczepili, pędem jechał przed siebie.



Rotupal przyjrzał się uważnie swojej bandzie. Łotrzykowie stali na trakcie, przy wilczym dole, poklepywali się po plecach i winszowali dobrze wykonanej roboty. Ich osobliwe pyski, zdobione na przemian kolczykami i bliznami, wyrażały dumę oraz niepojętą radość. Każdy z nich był hersztowi bliski, z każdym wiązały go jakieś wspomnienia, jednak najbardziej zaufanym kamratem był mu Berbeto. I choć czasem zdawał się nazbyt zbabiały, Rotupal nie mógł zapomnieć, że właśnie z nim budował szajkę od podstaw, przyplacając to własną krwawicą, łzami i potem. Początki były trudne i kosztowały ich wiele wyrzeczeń. Czy śnieg, czy deszcz, szlajali się po karczmach w poszukiwaniu chętnych, obiecujących oprychów. Agitowali i roznosili pergaminowe ulotki, informując o zlotach dla nieletniej łobuzerii. Organizowali kółka: „Gdy nożownik musi radzić sobie sam”, daremnie wystawali w kolejkach po królewskie dotacje, motywując swe prośby zapewnieniem pracy dla miejskich strażników. Później też nie było lepiej. Nieopłacalne napaści i niebezpieczne życie pośród kniei nie napawały rozbójników optymizmem. Rotupal rozwiązał w końcu bandę, utrzymując, że jest to niedochodowa działalność. I choć była to prawda, w rzeczywistości śmierć brata, Otusa, wpłynęła na jego decyzję. Oczywiście, Rotupal nigdy tego nie przyznał przed kamratami.

Każdy poszedł w swoją stronę. Szczęściem udało mu się teraz znaleźć czwórkę dawnych towarzyszy, którzy zgodzili się wrócić na niebezpieczny gościniec.

Berbeto udzielał się w okolicznym teatrze. Na pytanie o powrót dołączył bez wahania. Równie ochoczo przystali do bandy Klefas, Furlog i Pito.

Klefas był sierotą, liczył trzydzieści lat i przez dziwne zrządzenie losu nadal mieszkał z ciotką. Jak czas pokazał, jego problem z dykcją przy wypowiedaniu „r” nasilił się jeszcze bardziej. Irytowało to zwierzchnika

bandy niepomierne, jednak z uwagi na niechęć Klefasa do mycia się znajdowali jakoś wspólny język i znajomość przeżyła niejedną kryzys.

Furlog, zrywając z przestępczą przeszłością, najał się jako murarz. Nadal był jednak roztargnionym pijaczkiem. Jego największym marzeniem było wygrać – chociaż raz – tytuł Wydmikufla Nogradu. Wielokrotnie podchodził do eliminacji, raz doszedł nawet do półfinału, jednak zwycięstwo, jak dotąd, nie było mu pisane. Rotupał cenił sobie Furloga głównie za ścisły umysł. Po karczmach powiadali, że umie liczyć do liczby bezprzerwnej, zwanej w kręgach naukowych nieskończoną. Rotupał nie dawał wiary w te bajki, lata temu przesiedział nawet w karczmie całą noc, słuchając matematycznego bełkotu, ale o świcie skapitulował. Po incydencie sam Furlog przestał się afiszować ze swymi umiejętnościami – na wieść o śledztwie wszczętym przez bogoboja.

Pito, zwany Małym, był niskiego wzrostu i drobnej budowy, niemniej jednak Rotupał uważał go za najniebezpieczniejszego zbira, jakiego kiedykolwiek spotkał. Po prawdzie, nawet teraz zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, zapraszając go w zbójnickie szeregi. Rotupał odniósł wrażenie, że u Małego pogłębiły się nerwica i nadpobudliwość. Gdy się spotkali w sąsiedniej wiosce, narwaniec miał przy sobie blisko sto funtów broni. Topory, dwie włócznie, miecz, siekierki, sztylety, dwie tarcze... Nabrał rupieci od groma – Rotupałowi wstyd było nawet przeleźć z nim przez wieś. Tłumaczył Pitowi, że nie chcą zabijać, że broń ma mieć głównie wymiar psychologiczny, wspomagający oponenta w wyborze właściwej decyzji. Na szczęście Pito zrezygnował z większości uzbrojenia, zostawiając przy boku tylko sztylet oraz maczugę z kolcami.

Rotupał przyjrzał się zasadzce. Dziursko o sporym przekroju zakryte było gałęziami i zasypane ziemią. Trudno było dostrzec ślad po wykopie. Herszt bandy westchnął z podziwu dla wzorowo obmyślonej pułapki. To nie była krata najeżona kolcami, która, jak przed laty, uchyliła się w przeciwną stronę. To nie lina, która miała na celu przewrócić jadącą

karete, a w istocie spętała świętej pamięci Otusa. To wreszcie nie nagięta gałąź czy polana olejem nawierzchnia drogi – zasadzki, które siały zamęt i zniszczenie w szeregach Rotupala. Wilczy dół był fortem wzbudzającym respekt. Tylko najbardziej wykwalifikowani rozbójnicy mieli odwagę korzystać z tak zaawansowanej pułapki. Faktem było, że już przed laty Rotupal ośmielił się skorzystać z wilczego dołu, przez co do dzisiaj bał się ciasnych pomieszczeń, jednak teraz jego plan ewoluował. Ba, zdaniem Rotupala nabrał kształtu geniuszu absolutnego. Jak zwykle entuzjazm herszta podzielał Berbeto.

– Genialny plan, szefie, genialny! – rzekł pełen podziwu.

– Wiem, Berbeto. Dziękuję. – Zbir uśmiechnął się i lekko skłonił. Następnie poprawił kilka kolorowych chustek uwiązanych u paska, prawidłowo ułożył granatowy medalion na piersi, nieszczęśliwie zaplątany w zmierzwionych kędziorach klatki piersiowej, a następnie splunął obficie na dłoń. Plwocinę wtarł w i tak już nazbyt przygładzoną czuprynę.

– Po pławdzie, szefie, dobla łobota – rzekł tubalnym głosem oprych z wydatnym brzuchem.

– Yyy, tak, dziękuję, panowie – zawstydził się Rotupal.

Berbeto popatrzył na swojego zwierzchnika z lubością i pełnym uznaniem. Cenił sobie jego skromność i opanowanie w chwilach tak wzniosłych jak ta. Zdmuchnął sprzed nosa niesforny pukiel blond włosów i zatrzepotał rzęsami, próbując nadaremnie uchwycić spojrzenie bandyty. Skryte, prawie że zapomniane uczucie zaogniło się w sercu Berbeto na nowo. Wypiął zalotnie pierś przywdzianą w obcisłą, zielonkawą skórznę, której barwę zawsze określał jako akwamaryn papuzi, po czym rzekł z namaszczeniem:

– Jak nic, kupiec wylądaje dwukólką w tym dole. Dzięki tobie.

– Yyy... Jak nic, Berbeto, tak, dziękuję – skwitował Rotupal, odpędzając sprzed twarzy chmarę natarczywych much.

– I wół złota będzie nasz – dodał donośnym głosem korpulentny Klefas.

– Wór... Tak. Będzie nasz.

– Trzeba tylko uważać – wtrącił się Furlog, w dłoni trzymając sztylet. – Nie mi wspominać dół, który wykopaliśmy bodaj trzy lata temu, ale gdy zaatakowaliśmy...

– Tak, tak, pamiętam – przerwał mu Rotupał. – Sami w niego wpadliśmy.

– Właśnie – spieszył się Furlog.

– Teraz nam to nie grozi – rzekł herszt bandy, sprawdzając, czy pierścień na palcu należycie błyszczący. – Zaatakujemy z drzewa – dokończył, chuchnął na sygnet i potarł nim o wierzch skórzanej kurty.

– Genialne. Genialne! – krzyknął Berbeto, przyklaskując z werwą.

– A potem kupca zapierdolimy! – wybuchnął najdrobniejszy rozbójnik o twarzy poznaczonej licznymi bliznami.

– Ekhm... – Wódz się wyraźnie zmieszał. – Cóż...

– Zadupcę go moim buzdyganem! – Pito wyjął zza paska pałę najeżoną kolcami i zaczął nią wywijać. – Ale będę jebał! Krew! Będzie dużo krwi! A ja go będę napierdalał! Będę...

– Uspokój się, Pito! – zganił go Furlog. – Szef nie toleruje tych twoich aborcji myślowych.

– Aberracji – poprawił towarzysza Berbeto. – Szef to nie toleruje, jak ktoś niepoprawnie językiem miele. – Ponownie zatrzepotał rżęsami ku swemu wodzowi i zadarł nos prostopadle w niebo.

Mały jakby ochłonał, choć nadal ciężko oddychał. Pałę z kolcami schował za pasek.

– Pito – zaczął spokojnym głosem zwierzchnik bandy – gdybyś nie był taki krewki, to i mordę byś miał mniej obitą.

– E tam. – Mały wlepił wzrok w ziemię. Zaczął butem kreślić kółka. – Mi tam ból nigdy nie wadził.

Wtem na horyzoncie pojawił się jeździec. Wyraźnie pędził na złamanie karku, gdyż zbliżał się w zastraszającym tempie. Rozbójnicy nie zdążyli nawet zejść z traktu, nie mówiąc już o skryciu się w krzakach lub na drzewie, gdy ten już ich minął. Spozrzegli tylko bujną blond czuprynę chłopca i togę ze znakiem Peruna na piersi. Tajemnicza postać znikła za wzniesieniem drogi tak szybko, jak się pojawiła, a jej obecność potwierdzał tylko cichnący tętent kopyt wierzchowca.

Przez głowę każdego rzezimieszka przeszła wówczas jakaś myśl. A każda z nich była całkowicie odmienna. I choć umysł Berbeta wędrował wówczas wokół kwestii blond grzywki, a Pita wokół dźwięków wydawanych przez łamany kręgosłup szarżującego jeźdźca, był wśród nich i taki, który głowił się nad bardziej istotnym zagadnieniem. Nie był nim ani Furlog, który zastanawiał się nad tym, czy jest już na tyle trzeźwy, by bez konsekwencji wsiąść na konia, ani Klefas, myślący nad brzmieniem wyrazu „łumak”. Tęgim łbem w drużynie okazał się Rotupal. I nie czekając ani chwili dłużej, wyartykułował gryzącą go kwestię. A poczynił to, wydzierając się najgłośniejszym, jak tylko potrafił: – Dlaczego ten obwieś nie wpadł do dziury?!

Berbeto natychmiast udał, że musi poprawić zapięcie ciżmy. Schylił się i zaczął dłubać przy bucie. Pito miał maślane oczy – rozmarzył się na dobre, błędząc myślami po własnym obłąkanym świecie. Klefas coś dukał niezrozumiale, a Furlog zbladł jak oblicze Świergota, co nie umknęło uwagi wodza.

– Kto rachował szerokość drogi?! – ryknął.

– N-no, ja, szefie – odpowiedział wyraźnie przestraszony Furlog.

– Dlaczego nie wpadł?

– B-b-bo...

– Myślę, że łumak jechał zbyt szybko – wtrącił Klefas. – Czytałem kiedyś...

– Zamknij paje! – Rotupal krzyknął tak głośno, że z nerwów prawie uniósł się nad ziemią. – Ty nie umiesz czytać, więc nie zmyślaj pierdół!

– No tak. – Grubas wyraźnie się zamyślił nad trafnym spostrzeżeniem.

– Więc?!

Furlog rzekł coś niezrozumiale pod nosem i kucnął przy zakrytym gałęziami dole. Udał, że z sensem kreśli na ziemi ważne cyfry. Popatrzył w niebo, a po nim, jak jeden mąż, spojrzęła w niebo reszta bandy. Potem, uważnie śledzony wzrokiem towarzyszy, poślinił palec i sprawdził siłę wiatru. Znowu przyłożył twarz do nawierzchni drogi, coś mierzył, liczył, wyciągniętą nogą sondował krzywiznę traktu, taksował knieję i nasłuchiwał wibracji pobocza.

– To znaczy, dziura jest nieco przesunięta – obwieścił w końcu.

Berbeto na tę wiadomość podskoczył z nerwów.

– Jak mogłeś dopuścić do tego, by dziura się przesunęła?! – ryknął do matematyka.

– A mógł tutaj tak cierpieć – szepnął Pito, wracając myślami na rodzimą planetę.

– To nie ja! – bronił się Furlog.

– Jesteś roztrzepanym opojem – wycedził Rotupal. – Pewnie jeszcze dziś patrzyłeś na świat przez dno kufla!

– Nie! W żadnym razie! – bronił się rozbójnik. – Rachowałem jak należy. Ja tej dziury nie przesunąłem!

– Więc kto?! – Wódz już nerwowo nie wytrzymał. Zacisnął pięści, zgrzytnął zębami i czekał tylko na pretekst, by komuś przyłożyć.

– Nie wiem, może Perun? Skąd ja mogę...

– Czekaj, czekaj – przerwał mu Rotupal, wpatrując się bez celu w knieję.

– W tym jest logika... Wszak misję zlecił sam Perun – rzekł zamyślony.

Bandyci popatrzyli po sobie. Ich miny jakby nieco sposepniały.

– Yyy, jak to, szefie... Perun? – spytał skołowany Berbeto.

– Jechał sługa bogów – mówił dalej zamyślony Rotupal – a ponieważ nie on był naszym celem... Perun przesunął siłą sprawczą...

– Jak to Perun? – rozbójnicy powtórzyli pytanie chórem. Herszt bandy, jakby wyrwany z transu, popatrzył speszony po towarzyszach. Ugryzł się w język. Bogobój wyraźnie zabronił mu mówić komukolwiek o szczegółach bożego planu. Rotupal miał wziąć swoją część łupu, by podarować ją Kumarowi, i tyle. Żadnego angażowania niewiernych rabusiów. Żadnych pytań i niepotrzebnych wątpliwości. W końcu zbawiony miał być tylko on. I nikt inny.

– Jak to Perun?

– Zamknijcie paje. – Rotupal poczuł rosnącą pewność siebie. Wiedział, że bogowie go strzegą. – To ważne kwestie – dodał – które dla waszych umysłów są niepojęte.

Kamraci westchnęli z ulgą i popatrzyli po sobie. Nie do końca wiedzieli, co Rotupal miał na myśli, ale skoro się na nich nie wydierał, to jednak musieli coś zrobić właściwie.

– Przygotować liny – rozkazał. – Słońce już kryje się za drzewami, w każdej chwili ktoś może nadjechać. Wykop mamy w tej chwili po prawej, więc atak przeprowadzimy na wyjeżdżających z miasta.

Furlog z Klefasem zeszli z traktu i zaczęli rozwijać liny. Berbeto, ponownie rozmarzony, wpatrywał się w swój władczy obiekt westchnień. Pito dla zabicia czasu dłubał nożem w zębie.

– Patrzcie! – krzyknął Furlog, stawiając wszystkich na nogi. – Maślak!

Przywódca bandy zmierzył podwładnego wściekłym wzrokiem. Ten tymczasem, nie bacząc na nic, rzucił linę na pobocze i schylił się po dorodnego grzyba.

– Che, che, będzie jajecznicza – ucieszył się.

– Furlog, pozwól tu na chwilę – syknął wódz. W jego spojrzeniu gorzała pożoga.

– Furlog, pozwól do szefa na chwilkę – powtórzył Berbeto, tupiąc butem o ziemię.

Do rozbójnika szybko dotarło, że wybrał zły czas na grzybobranie. Wahał się chwilę, ale usłuchał i podszedł do wodza.

– No i zapracowałeś na przyganę Rotupala – syknął mu w twarz Berbeto, podpierając się pod boki.

– Zamknij się! – Dowódca zacisnął pięści.

– Służę. – Długowłose unizenie zwiesił głowę i zrobił krok do tyłu.

– Maślaki zbierasz? – spytał herszt przez zaciśnięte zęby.

– Wy... wybacz, panie – wymamrotał zląknięty bandyta. – Sam nie wiem, co mnie napadło... To chyba przez ten wykop nie mogę zebrać myśli.

– Zdajesz sobie sprawę, co może się stać, jeśli nie zbierzesz tych myśli?

– Cóż...

– Zdaj sobie – przerwał mu wzburzony Rotupal – że pewnego razu wilk, myśląc o sraniu, nie myślał o sidłach.

– No i?

– Nie przerywaj wodzowi! – wydarł się Berbeto zza pleców Rotupala.

Herszt wyjął sztylet, zgrzytnął zębami i odwrócił się, czując, że zaraz eksploduje.

– Proszę, proszę, kontynuuj, panie. Wspaniała opowieść. – Długowłose zszedł z drogi, przysiadł na pobliskim pieńku i podparł brodę rękoma.

Rotupal fuknął coś niezrozumiale, splunął siarczyście w niemytą rękę i wtarł flegmę w czuprynę. Włosy jakby pojaśniały o dwa tony. Ponownie odwrócił się do Furloga.

– Nie myślał o sidłach – powtórzył rozeźlony.

– No i?

– No i umarł! – ryknął, uderzając grzybiarza w twarz jalcem sztyletu. – Skupić się masz na zadaniu!

Rękojeść zakończona była głową jelenia z dwoma krętymi rogami. Oba wbiły się w policzek i wyrwały okazały kawał skóry. Mężczyzna upadł na ziemię.

– Wstawaj i pomóż liny gotować, bo każe ci zeżreć maślaka na surowo!

Furlog nie dawał znaku życia. Szef pochylił się nad ciałem.

– Wstawaj, łajzo, liny gotować! – powtórzył wzburzony.

– Prawdopodobnie go zabiłeś, wodzu – rzekł tubalnym głosem gruby rzezimieszek.

Rotupał pochylił się nad ofiarą tak bardzo, że Berbeto pokraśniał na widok wypiętych krągłości.

– A to ci szelma – powiedział wódz. – Chudy jak trzcina. Chyba masz rację, Klefasie. Wyzionął ducha w sumie bez powodu. Ledwie go musnął.

Jednak Furlog zaczął się ruszać. Uniósł głowę, chciał coś rzec. Wypluł trzy zęby.

– Blplp, pseplasam wozzzu...

– No, no. Już dobrze. Nie przepraszaj. Znam prominentnych krawców. Zbierz siekacze do kieszeni. Wprawia ci je i... – Rotupał stracił wątek, widząc, jak Pito dobiega do wstającego Furloga i bez powodu wali go w łeb kolczastą pałą.

– Zossstaw, boli – jęknął szczerbaty, padając na ziemię.

Pito nie usłuchał. Wziął zamach i zdzielił towarzysza z całych sił w podbrzusze.

– Ałgh, kufa, lepiej się cuje, zostaf.

– Co ty robisz?! – wydarł się szef, chwytając małego za kaftan.

Furlog ponownie uniósł głowę, tym razem podejrzliwie, ospale.

– Jus sobie posedł?

Pito wymknął się wodzowi, poprawił pałą i w niekontrolowanym szale zaczął kopać zmaltretowane ciało kamrata.

– Pito! Dostyć! – krzyknął Rotupał.

Jednakże Małego pochłonął bez reszty obłęd. Sylabizował jedynie pomiędzy kopnięciami osobliwe przemyślenia:

– Nie cierpię. – Kopniak. – Szefie. – Kopniak. – Jak. – Kopniak. – Ktoś się. – Kopniak. – Męczy!

Twarz Furloga była już trudno rozpoznawalna. A twarz Pita – spocona.

– Dlatego wołałem go dobić – sapnął zziębnięty.

– Kto by pomyślał, taki filigłanowy, a jaki żywotny – odezwał się gruby, patrząc na zwłoki.

– Patrz, coś ty zrobił! – zachrypiał przywódca, podskakując w złości.

– Cierpienie przyjaciół jest dla mnie nie do zniesienia, więc... – Mały nie skończył, kiedy pięść Rotupała dosięgnęła jego szczęki.

Pito zakręcił się trzy razy, zatoczył i upadł.

– Mam cię teraz dobić, baranie?! – wydarł się przywódca. – Zabieraj stąd trupa! I uporządkuj poszycie. Krwi tu więcej niż liści!

– Dokładnie! – wydarł się Berbeto. – Szef nie chce tu widzieć ani kropelki posoki!

– Berbeto, zamknij się, do cholery!

– Służę pokornie. – Długowłosey wstał z pieńka, poprawił rapier i uklonił się, zamiatając kudłami poszycie.

– Pito? – spytał niepewnie Rotupał, widząc, że ten się nie rusza. „Drugiego zgonu nerwowo nie przeżyję” – pomyślał rabuś. – Pito!

– Nic mi nie jest! – krzyknął Mały. – Już wstaję.

– Migiem, furiacie, wrzuć ciało Furloga do wilczego dołu. A ty – wskazał na Klefasa – pomóż mu z powrotem zasłonić dziurę.

Nie minął czas pełnej klepsydry, kiedy bandyci wspięli się na rozłożyste drzewo klonu. Założyli chusty, by ukryć swą tożsamość, i przywiązali liny do grubej gałęzi.

Rotupał zmierzył każdego wzrokiem. Dłuższą chwilę zastanawiał się nad funkcją frędzli przy krańcach atłasowej woalki Berbeta, ale przemyślenia zachował dla siebie.

– Pamiętajcie – rzekł po chwili. – Grzmocić, walić, siekać... ale nie zabijać. Plan jest taki...

– Już go nam mówiłeś, szefie – wszedł mu w słowo Pito.

– Nie przerywaj, narwańcu! – krzyknął Rotupał.

Mały machinalnie łeb zwiesił, udając, że kaftan dopina. Wydawało się, że czuł przejmujący żal z powodu braku zrozumienia dla jego fantazji i ukrytych pragnień.

– Plan jest taki – ciągnął dowódca. – Tam, pod nami, jest wilczy dół.

– Ale nie wpadniemy do niego, pławda?

Berbeto, uczulony na wady wymowy, pokręcił z rezygnacją głową.

– Nie, Klefasie. Wpadnie do niego część furmanki. A potem my zeskoczymy z drzewa na linach i... – zakończył szef, wierząc w wyobraźnię reszty towarzyszy.

Długą ciszę przerwał Klefas:

– I co?

– Co „i co”? – zapytał wyrwany z zadumy dowódca.

– A nic.

– No co?

– No i co... potem? – zaczął nieśmiało Klefas.

– Kiedy?

Berbeto i Pito już patrzyli na szefa. Ponownie z nerwów cera mu pociemniała.

– No mówiłeś, że zeskokczymy z...

– Mówiłeś, szefie! – Berbeto odgarnął niesfornie opadające na czoło kędziory. Żyłki na czole pulsowały mu z emocji.

– Jeszcze słowo, Berbeto! No co, Klefasie? Bo jakim bystry, nie pojmuję, co rzec chciałbyś, a nie chcę, abyście w czasie ataku mieli wątpliwości.

Klefas poprawił się na gałęzi i zebrał się na śmiałość.

– Mówiłeś... szefie, że zeskokczymy z drzewa na linach... Na tych linach – upewnił się na głos opryszek. – I?

– Co „i”? – Rotupał był skołowany.

– No właśnie „i”. O to pytanie mnie się łozchodzi.

– Mi się rozchodzi – cichutko przyganił Berbeto.

Przywódca spiął się w sobie niczym baba przy porodzie. Gały z orbit wylazły, knykcie zbielały, a ostatnie zęby straciły szkliwo.

– Klefasie, Klefasie. – Szef pokręcił głową. Z nerwów aż łzy mu do oczu napłynęły. – Kurwa – wyjęczał z boleścią. – Sił nie mam! Że ciotka mnie prosiła, abym cię tu zabrał, nie zwalnia chyba grubasa z obowiązku korzystania z rozumu!

– Aaa, łozumiem! – krzyknął Klefas w udawanej euforii.

– Łajno, kurwa, rozumiesz! Przecie widzę, żeś zbyt tępy! Na tych linach zlatujesz w dół, nie?! I... i walisz kupca w łeb, cholera, strażnika też, no i, nie wiem, kradniesz wory, nie?!

– Jak „nie”? – Zdenerwowany Klefas przez natłok sprzecznych informacji szukał wzrokiem wsparcia u kamratów.

Szef przysunął się do Klefasa tak blisko, że opryszek wzdrygnął się, czując bogaty bukiet fetoru i stęchlizny. Rotupał złapał grubego za kurtę.

– Im-pro-wi-zu-jesz – wycedził, sylabizując.

– Że na przykład, wydłę się: „łęce do góły”?!

– Naucz się mówić! – Wrzask dowódcy sprawił, że struchlały Klefas jął gibać się na gałęzi. Mając problemy z utrzymaniem równowagi, runął. Na twardą nawierzchnię drogi. Głową w dół.

Kamraci popatrzyli po sobie.

– Nie wierzę – pisnął wódz. – To nie dzieje się naprawdę... Klefasie? – szepnął. – Klefasie!

Gruby leżał w nienaturalnej pozie, ze wzrokiem wlepionym w czubek swej rzyci. Ani drgnął.

– Cholera... Co ja jego ciotce powiem?

– To chyba nie jest nasz dzień, szefie – rzekł Berbeto.

– Zamknij się.

– Słuch... – urwał, widząc gromowładne spojrzenie zwierzchnika.

– Zejdźcie i schowajcie ciało w dziurze – rozkazał Rotupal. – Byle szybko. W każdej chwili może się tu ktoś pojawić.

„Zadanie bezsprzecznie musiało być nadane przez samego Peruna” – pomyślał Rotupal. Teraz wydawało mu się jeszcze ważniejsze niż wcześniej. Wszak misja pochłonęła już dwie ofiary. Wierzył, że już niedługo, gdy tylko wręczy Kumarowi sakwę płacideł, zostaną mu wybaczone wszystkie grzechy młodości. Czuł w sercu narastającą dumę. Przygładził pokryte łojem włosy i zapiał koszulę pod szyją.

Po ukryciu w dole kolejnego kamrata zbiry na powrót usadowiły się na gałęzi.

– Nie ma już tam za wiele miejsca, panie – obwieścił przejętym tonem Berbeto.

– Jak przestaniecie mnie irytować, to nie będzie potrzebne – syknął Rotupal. Zaczął się martwić, że jak na złość nikt jeszcze nie wpadł w zastawioną na drodze zasadzkę. Co prawda dół pochłonął już dwie ofiary, ale to nie jego kompani mieli tam leżeć.

Słońce chowało się za drzewami, a na gościńcu nadal nikogo nie było. Rotupal błagał bogów, aby w ogóle ktokolwiek przejechał tego dnia traktem. Wszak nocą mało kto lubił podróżować. Popatrzył ukradkiem na towarzyszy, czy podobnie jak on byli skoncentrowani na zadaniu. Berbeto wpatrywał się w feerię barw zachodzącego słońca, jak gdyby czerpał z tego widoku przyjemność. Pito z podnieceniem żuł w gębie liść dębu. Uchwycił wzrok zwierzchnika i wyraźnie nie wytrzymując napięcia, wycedził podniecony:

– Ale będę zaraz napierdalał.

– Zamknij się, Pito!

– Właśnie...

– Berbeto, jakem spokojny: od tej chwili, kto ryj otworzy, sztyletem w bok zarobi.

Zganiiony bandyta obruszył się i ją skrobać kordzikiem w korze drzewa. Wytrwale strugał dłuższą chwilę. Dowódca nie wytrzymał, popatrzył w zaciekawieniu ponad jego ramieniem i... zamarł. Berbeto poprawiał napis: „Tu byłem”.

– Na Peruna, Berbe...

Pito bez słowa chwycił za sztylet i wbił go w pierś Rotupala.

– Osza... oszalałeś? – stęknął dowódca, chwiejąc się na gałęzi.

– Ryj otworzyłeś – upomniał go Pito.

Rotupalowi zakręciło się w głowie. Zacharczał, bluznął z ust krwią, zerwał z twarzy chustę, próbował chwycić się gałęzi. Berbeto, nie czekając ani chwili, dobył sztylet i ze zwierzęcym okrzykiem rzucił się na Małego. Szamotanina na drzewie nie trwała długo. Cała trójka rozbójników runęła wprost na przejeżdżający właśnie wóz.

Jodyg pędził gościńcem na złamanie karku. Dopiero gdy na niebie zajaśniały nieśmiałe kontury księżyca, chłopak dojechał do bram grodu. Ostatni raz był w mieście dwa lata temu, kiedy wraz z Pekszą przyjechał po zioła dla obłożnie chorego Kumara. Jak zauważył, wiele się nie zmieniło od tamtego czasu. Te same drewniane domki. Ledwie kilka nowych, zbudowanych z kamienia. Szerokie uliczki. Chmara chłystków kręcących się po placu.

Miasto nie było duże, toteż w mig zajechał pod dworek kasztelana. Uzdę konia przywiązał do belki przy stajni i nie bacząc na krzyki stajennego, któremu chyba nie było po myśli zajmować się obcym wierzchowcem, pobiegł do drzwi wejściowych. Pochłonięty myślami o zbliżającym się ataku, mającym nastąpić z polecenia samego Kumara, nie myślał nawet o pukaniu. Chwycił za klamkę, a że drzwi były otwarte, wpadł do środka niczym zawierucha.

Znalazł się w małej sieni, gdzie stały w rzędzie pary cizem, miotła i drewniana skrzynia. Wbiegł do głównej izby. Przy stole siedział przysadzisty, brodaty jegomość. Ubrany w nocną koszulę, zajadał się kaszą. „Szczęściem bogów, to Gramisz” – powiedział sobie w duchu zakonnik. Kasztelan natomiast, z łyżką zatrzymaną przy ustach, otaksował młodego od stóp po czubek głowy. Nie był głęboko wierzący, toteż widząc zakonne odzienie, nie wiedział, czy straż wołać, czy tylko zrugać i na zbity pysk wyrzucić. Ostatecznie postanowił jednak dać szansę bezczelnemu mnichowi, bowiem łyżkę odłożył i gestem ręki zezwolił przemówić.

– Ku-ku! – wystrzelił Jodyg. Zamknął oczy, wziął kilka głębszych wdechów i podchodząc bliżej stołu włodarza, otworzył usta raz jeszcze:

– Ku-ku-ku!

Kasztelan sapnął, odsunął michę, w którą napluł gość i wyczekująco popatrzył na młodego mnicha.

– Ku – powiedział powoli zakonnik. – Ku – powtórzył jakby śmieiej. Zrobił krok w stronę stołu. Chwycił mocno oparcie krzesła i mówiąc sobie w duchu, że teraz albo nigdy, spróbował szczęścia ponownie: – Kuku-ku!

Gramisz otworzył powoli jedno oko, potem drugie, jakby sprawdzał, czy aby nie śni. Szaleniec w todze stał jednak dalej.

– Dość tego! – ryknął. Przez moment myślał, że może to jakiś test na cierpliwość. Wszak niewielu było na tyle odważnych, by wpaść tu bez zapowiedzi, po czym opluć obficie stół, strawę i samego zarządcę. Jeśli to był egzamin, to on go jednak nie zdał. Chwycił za habit spoconego mnicha i z hukiem wyrzucił nieproszonego gościa za drzwi.

Jodygowi serce podeszło do gardła, a żołądek z nerwów zawiązał się w supeł. „Co robić, jak tu przekazać ważne informacje?” – myślał wystraszony. Nie było innej rady, jak spróbować znowu. Podeszedł do drzwi, uspokoił oddech, pod nosem wyszeptał kilka spółgłosek i zapukał.

Drzwi z impetem otworzył kasztelan.

– Czego chcesz, do stu piorunów?! – zagrzmiął.

– Ku-ku-ku.

– Krew nie woda, co ty jesteś, jąkała?

Jodyg skinął głową.

– Hm. – Gramisz poczuł wyrzuty sumienia. – Przystępstwo chciałbyś zgłosić?

– Ta-ta... – potaknął nerwowo.

– To do wojmiła, mojego syna. Zgłoś się jutro rano. Późna przecież już godzina.

W oczach Jodyga dało się zauważyć przerażenie. Zaczął kręcić głową, dukać, palec skierował w kierunku księżyca, potem na pierś, gdzie widniał emblemat Peruna, kolejno wystawił język udając, że umiera...

– No dobrze, dobrze – przerwał mu kasztelan. – Nie wiem, o co ci chodzi, ale przeczuwam, że sprawa musi być nagląca. Wchodź i pamiętaj,

że przede wszystkim musisz się uspokoić. Słyszałem ci ja o takich przypadkach i znam pewne sposoby. Zaraz temu zaradzimy.

Gramisz był czuły na cierpienia innych, zawsze chciał nieść pomoc potrzebującym, a na wieść o jakimkolwiek przestępstwie starał się reagować natychmiast.

Posadził chłopaka na krześle. Szczerze mu współczuł, do tego czuł się niezręcznie z powodu wcześniejszego zachowania, chciał więc być miły i uprzejmy. Przyniósł dzbanek wody i usiadł naprzeciw.

– Dobrze – zagadnął po ojcowsku. – A teraz napij się, weź kilka wdechów, uderz się w pierś, by uruchomić przeponę, i powiedz, co ci chodzi po głowie.

Chłopak uczynił, co mu kazano.

– Ku-ku.

– Nie spiesz się, mamy czas.

– Ku...

– Czekał, napiszesz mi...

Jodyg zaprzeczył gwałtownie głową.

– Co z ciebie za mnich, skoro pisać nie umiesz? – Kasztelan zmierzył chłopaka wzrokiem. – No nic, wstań i zrób kilka przysiadów.

Chłopak usłuchał.

– Dobrze. Połóż się teraz tutaj, na podłodze – kontynuował mężczyzna tonem eksperta. – Muszę ułożyć ci na piersi coś ciężkiego, byś miał kontrolę nad własnym oddechem. – Brodacz rozejrzał się po pokoju. Garniec z kaszą był słusznych rozmiarów. Ściągnął go z pieca i ułożył na mnichu.

– Parzyyyy! – wydarł się nieszczęśnik, zrywając na równe nogi.

– Hm. Wybacz mi, zapomniałem, że nadal się gotowało... Ale... No sam popatrz. – Zadumany kasztelan podrapał się po brodzie. – W chwilach

stresu mówisz całkiem sprawnie. No gadaj, o co chodzi.

– Ku-ku...

– Czekaj no, usiądź. Ponowimy metodę bóleści i cierpienia – rzekł ożywiony Gramisz, po czym uderzył młodego pięścią w brzuch. Chłopak zachłysnął się powietrzem, zgiął wpool na krzesle i głośno zapłakał.

– Spróbuj teraz.

– Zo-zooo...

– Prawie dobrze – w głosie włodarza czuć było satysfakcję z postępów.

Poprawił nocną koszulę, która zawinęła się na ramieniu, i rąbnął mnicha w szczękę.

– No a teraz? – spytał pełen współczucia dla kalectwa młokosa.

Jodygowi wypadły dwa zęby. Zwiesił głowę i splunął krwią na podłogę.

– Ku... – zaczął nieśmiało. – Kuuu...

Gramisz ponownie wziął zamach, zdzielił chłopaka w podbródek, poprawił w brzuch i zakończył serię ciosów uderzeniem z kolana w szczękę. Zmaltretowany Jodyg popatrzył nieobecny wzrokiem. Uniósł rękę jakby w geście, by tamten już przestał. Zasapany kasztelan zrobił krok do tyłu i bezradnie rozłożył ręce.

– Nie, to do niczego nie prowadzi – wywnioskował. – A jakbyś tak zaśpiewał, chłopcze?

Jodyg uniósł zakrwawioną głowę i z niedowierzaniem popatrzył na oprawcę.

– Jadą, jadą kupcy – zaintonował kasztelan. – Lala, lalala... No... Spróbuj pod tę nutę. Pewnie nie wiesz, że za młodu byłem żołnierskim kapelmistrzem... Dwukółka im się...

– Ku... Ku... Kukuku – wszedł mu w słowo zakonnik.

– No, no. Dobrze, dobrze, próbuj dalej.

– Ku... Ku... Kukuku...

– Nie, nie. Słuchaj uważnie. – Kasztelan pochylił się w stronę siedzącego chłopaka i jął machać rękami w takt melodii. – Rozkładają stragany, lala, lalala.

– Ku... Ku... Kukuku...

– Dobra, przestań – zirytował się Gramisz.

– Ku...

– Nie, nie, chłopcze. Dosyć.

Zakonnik wstał i mimo że był obolały, pokazał Kumarowi emblemat Peruna na todze, potem ruchem ręki dał znak, by gospodarz popatrzył przez okno.

– Właśnie! – krzyknął ożywiony kasztelan. – Spróbuj pokazać, o co ci chodzi! Tak, masz toę – zaczął skoncentrowany kasztelan. – A ja mam brudne okna. Co dalej?

Chłopak bezradnie zwiesił głowę. Przeczuwał, że to będzie bardzo długa noc.

– No, pokazuj, o co chodzi. Pozwolisz tylko, że nałożę sobie kaszy i usiądę.

Jodyg nie poddawał się. Długo wyrażał myśli poprzez ruchy, gesty i mimikę, jednak Gramisz wykazywał całkowity brak zrozumienia dla jego wysiłków.

W końcu dom kasztelana przeszył niehumaniczny wrzask. Młody zakonnik, przeczuwając najgorsze, zsiadł z wyimaginowanego wierzchowca, którego kasztelan odczytał jako siusiającego kundla, i oniemiały wpatrywał się w koniec sali. Po chwili jego zdumienie zastąpiła trwoga i prawdziwe przerażenie. Zaczął rozumieć, że trafił do domu obłąkanego człowieka.

Stał tak z zakrzepłą na twarzy krwią i patrzył, jak po znajdujących się na końcu izby schodach schodzi złowieszczą istotą. Była naga, a szczegóły budowy ciała zdradzały cechy ludzkie, jednak jarzące się pręgi na ciele i krwawiące oczy jasno mówiły, że jest to zjawą z innego wymiaru bądź

ogar samego złowieszczego Świergota. Gramisz wydawał się nieporuszony tym widokiem, ale zakonnik długo krzychał.



unel był wąski, ale na tyle wysoki, że Aliwia nie musiała się schylać. Z każdym krokiem czuła, że schodzi coraz niżej. Gdy przystanęła na pierwszym rozwidleniu, zrozumiała, że musi zachować ostrożność, aby się nie zgubić. Zdecydowała się trzymać prawej strony. Błagając bogów o zapamiętanie drogi, kroczyła ku nieznanemu. Drżącą dłonią trzymała kaganek, którego płomień rzucał słabą poświatę. Nieprzeparty mrok napawał ją strachem. Tyle słyszała o okrutnych rycerzach Krawosa. Co prawda nigdy żadnego nie widziała, ale bała się, że spotka tutaj ducha któregoś z nich. Żałowała, że nie wzięła z komnaty jakiejś broni. Zwykła noga od krzesła mogłaby się okazać pomocna w sytuacji, gdy ktoś ją zaatakuje.

Po plecach przeszedł ją dreszcz. Obejrzała się za siebie, pewna, że usłyszała chrobot. Stanęła i nadstawiła uszu. Teraz panowała całkowita cisza. Dziewczyna przyspieszyła kroku. „Wyjdiesz stąd i jeszcze będziesz się z tego śmiała” – pocieszyła się w duchu. W pewnym momencie korytarz poszerzył się tak bardzo, że poświata z kaganka nie ogarnęła całej sali. Aliwia przeszła pomieszczenie, ostrożnie oglądając się na wszystkie strony, ale nie dostrzegła niczego, co mogłoby wskazywać na czyjąś obecność. Postanowiła trzymać się planu i skręciła w pierwszy napotkany prawy korytarz. Znowu szła wąskim przejściem. Wielokrotnie słyszała o tym, że pod klasztorem rozciąga się kompleks korytarzy. Jedni mówili, że lata temu żyły tu krasnoludy, nikt jednak nie widział tu krasnoluda, więc większość traktowała te opowieści z przymrużeniem oka. Inni powiadali, że korytarze miały charakter militarny. Ponoć oddziały legendarnego króla Krawosadu stacjonowały właśnie tu i stąd wyprowadzały ataki na cztery strony świata. W gąszczu komnat i podziemnych tuneli okrutnicy mieli składować skarby przywiezione z wygranych wojen. Jaka jednak była prawda, nikt nie wiedział. W podziemiach nie zachował się nawet ślad po żołnierzach króla,

ani tym bardziej po krasnoludach. A może działo się to tak dawno temu, iż wszystkie ślady ich obecności rozpadły się w pył? Kości, szaty, skarby czy nawet pradawne zbroje miał zniszczyć sam Perun, pozostawiając tylko kamienną, tajemniczą budowlę.

Aliwia słyszała w Nogradzie, że Kumar często zadawał zakonnikom pokutę, polegającą na samotnym krążeniu po lochach monasteru. Jak twierdzono, mieli wówczas rozmyślać nad sprawami świata i własnymi grzechami. By jednak nikt z nich się nie zgubił, bogobój nakazał oznaczyć tunele i lochy. Dziewczyna przeczuwała, że podziemia, w których się znalazła, są obce nawet mnichom, bowiem żadnych znaków nie znalazła.

Straciła rachubę, ile rozdroży już minęła. Po dłuższym czasie błądzenia znowu natrafiła na wielką salę. Różniła się od poprzednich tym, że jej podłoga nie stanowiła ubita polepa, a sypki piasek. Aliwia ostrożnie stawiała stopy, brodząc w nim po kostki.

Mimo głębokiego mroku spostrzegła tuż przy ziemi dziwny kształt. Zatrzymała się i wyciągnęła trzęsącą się rękę z kagankiem. Knot powoli się wypalał, a płomień rzucał nikłą poświatę na tajemniczą formę, która pokrywała podłogę sali. Ta zdawała się falować...

Aliwia zorientowała się w końcu, że to lustro wody. Trudno było jej dostrzec, jak daleko sięga podziemne jezioro. Nie przyglądała mu się dłużej, gdyż jej uwagę zwróciło ciche poskrzypywanie dobiegające spod sklepienia. Uniosła wyżej kaganek i zauważyła, że wysoko nad wodą zawieszona była drewniana konstrukcja. Z początku myślała, że to po prostu rusztowanie podtrzymujące sklepienie, jednak brak belek wspierających i kołyszące się na sznurach tajemnicze podesty twierdziły co innego. Nie miała jednak pojęcia, czym była owa konstrukcja.

Nagły chlupot wyrwał ją z zamyślenia.

Nie chciała tutaj zostawać. Już się odwracała z zamiarem ucieczki, kiedy spostrzegła nieopodal, na brzegu, niską kolumnkę. Zdawała się być wyciosana z kamienia. Zdobily ją liczne płaskorzeźby i dziwne znaki, a na

jej ścianach umieszczono przedziwne mechanizmy: rzędy zębatek, kołowrotki, dźwignie. Przez zespół elementów przepleciony był lniany sznur, który ciągnął się w dół, aż pod ziemię.

Zdawało jej się, że na zwieńczeniu kolumny powinna znajdować się jeszcze bardziej skomplikowana maszyna, ale z zaskoczeniem spostrzegła leżącą tam księgę.

Zaniepokojona, zrobiła krok, potem kolejny, aż w końcu ostrożnie podeszła do kolumny.

Przyjrzała się księdze. Miała słuszne rozmiary, była oprawiona w skórę grubą i czarną jak piwnica Świergota. Ozdobiono ją wymyślnymi ornamentami, a pośrodku wyryto napis *Życie Krawosa, jego skarb i klątwa*. Dziewczyna pochyliła się nad kolumną i z namaszczeniem odczytała tytuł po swojemu: *Żyzne owsa je krab i mątwą*.

Nie do końca rozumiała, co to może oznaczać, ale w głębi serca czuła, że na pewno coś ważnego.

Ostrożnie położyła dłoń na opasłej księdze i ciekawa jej treści, otworzyła grubą, skórzaną okładkę. Rozczarowana mnogością liter i brakiem jakichkolwiek rysunków, przekartkowała wolumin. Rozżalona, stwierdziła, że nie ma w nim niczego wartego uwagi, toteż z hukiem go zamknęła.

Przez moment wydawało jej się, że z głębi mrocznej jaskini dobiegł cichy pomruk. Nasłuchiwała dłuższy czas, jednak otaczał ją tylko niemy bezmiar ciemności.

Przeczuwała, że księga jej się przyda, wcześniej wszakże rzuciła okiem na dźwignie i wystające lewary. Przyszło jej na myśl, że skoro w bibliotece znalazła przez przypadek tajne przejście, może i tutaj jakiś mechanizm otworzy dla niej ukryte drzwi do wolności.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, chwyciła za pierwszy z brzegu lewar i spróbowała nim ruszyć. Udało się bez problemu, ale kołowrót zaczął kręcić się tak szybko, że Aliwia nie zdołała go utrzymać.

Wystraszona, zrobiła krok do tyłu. Kolumna zaczęła delikatnie drżeć, sznur w zastraszającym tempie zwijał się pośród zębatek, a u sklepienia coś niemiłosiernie zaskrzypiało. Po chwili dźwignia donośnie zachrobotła i odpadła. Aliwię zdjął blady strach, czy może czegoś przez przypadek nie zepsuła, jednak w komnacie na nowo zapanowała przejmująca cisza. Dzierlatka, niezniechęcona porażką, chwyciła drugą, najbardziej wystającą dźwignię. Metal ani drgnął. Położyła na ziemi kaganek, zaparła się nogami o kolumnę i dwoma rękami jeszcze raz spróbowała ruszyć wajchę. Szło opornie, ale wreszcie dźwignia zaczęła się powoli kręcić. Dziewczyna przeczuwała, że to musi być istotny element maszynerii, toteż wkładała całe serce w kręcenie korbą.

Skupiona na tym, nie zwróciła uwagi, że sznur wyszedł u dołu kolumny i naprężony teraz do granic możliwości, ciągnął się nad piaskiem gdzieś w głąb komnaty. Aliwia, przyzwyczajona, że zawsze stawia na swoim, dalej siłowała się z dźwignią, a wyraźnie jej przeszkadzający sznur, którego lniane nitki pękały jedna za drugą, umiejętnie przeskakiwała.

Nagle z jej piersi dobiegł krzyk przerażenia. Po prawicy, w oddali, dostrzegła czyjaś postać. Kaganek rzucał niewielką poświatę, jednak przestraszona dziewczyna wysiliła wzrok i zdołała wyłowić z mroku zarysy stojącego kościotrupa.

Szkielet nie ruszał się. Ubrany był w zdobione złotą nicią spodnie i krwiście czerwoną pelerynę, przy boku miał zawieszony miecz, a na czaszce lśniła barwiona czerwienią korona. Poruszona widokiem kościotrupa Aliwia instynktownie pociągnęła dźwignię z całej siły. Podobnie jak poprzedni lewar i ten odpadł, a dziewczyna z krzykiem na ustach zatoczyła się do tyłu, cudem utrzymując na nogach.

Sznur zerwał się.

W pierwszej kolejności do wody wpadł niewielki fragment deski. Zaraz po nim kolejny, jednak już wtedy Aliwia uświadomiła sobie zbliżającą się

katastrofę. Podniosła w pośpiechu kaganek, porwała z kolumny ciężki wolumin i zerwała się do ucieczki.

Wyczerpało ją siłowanie się z dźwigniami, więc kroki stawiała ciężko i ospale. Dodatkowo niemiłosiernie spowalniał ją grząski piasek, a i suknia przeszkadzała, zwijając się u kostek w niewygodne fałdy. Aliwia zagryzła z wysiłku wargi, przetarła wierzchem rękawa załamane oczy i dalej brnęła przed siebie. Słyszała rumor walącej się drewnianej konstrukcji i przejmujący chłopot kipieli. Błagając bogów, by sklepienie jaskini wytrzymało, starała się jak najszybciej dobiec do tunelu. Jazgot zrywanych lin i chrzęst łamanych desek przeszywał powietrze raz po raz, a bijące co rusz fale traktowały jej plecy z siłą skórzanego pejcza.

W końcu dopadła do korytarza, ale wystraszona, długo jeszcze nie oglądała się za siebie. Dopiero gdy minęła drugie podziemne rozdroże, poczuła się bezpiecznie i zwolniła kroku.

Nie była więc świadkiem, jak do jeziora spadła nie tylko drewniana konstrukcja, ale też deszcz pradawnych monet, które setki lat temu ukrył na ruchomych mostach przeklęty król Krawosadu.

Aliwia była przemoczona, zmęczona i na wskroś zziębnięta. Mocno przycisnęła księgę do piersi, prosząc w myślach bogów, by jak najpóźniej musiała z niej skorzystać. Co prawda w kaganku nadal tlił się płomień, ale na dnie lampki zostały już tylko resztki oliwy.

Znów zaczęła myśleć o Alfordzie. Gdy znajdzie się u jego boku, zostanie przy ukochanym już na zawsze. Nie wróci ani do klasztoru, ani do ojca. Nie będzie już wysłuchiwać biadolenia rodzica, że nic, tylko gołębnie gdzieś wysyła. Że smród pierza na podwórzu, że zasrane parapety. Nie będzie się wyklócać z ojcem o każde płacidło na błyszczyk z rzepichy czy puder ze spopielonej ropuchy. Alford weźmie ją w objęcia i zadba o to, by niczego jej nie brakowało. Obiecała sobie w duchu, że dzisiaj pokaże umiłowanemu nagie kolano i nic ani nikt jej przed tym nie powstrzyma. Wcześniej jednak będzie musiała znaleźć wyjście z podziemnego labiryntu.

Po pewnym czasie buty zaczęły obcierać jej stopy, a dłoń zdrętwiała od trzymania księgi. Miała wrażenie, że błądzi po korytarzach już drugi dzień. Zaczęła się martwić, czy w ogóle znajdzie wyjście. Rozwidlenia, przesmyki, gąszcz korytarzy... Nie była nawet pewna, czy przypadkiem nie krąży w kółko. Gdyby tylko był z nią Alford, na pewno znalazłby wyjście z sytuacji.

W końcu oliwa w kaganku się skończyła. Na szczęście Aliwia zdążyła odpalić zwiniętą w rulon stronę wyrwaną z księgi. Wszak nie po to ryzykowała życiem, by teraz błądzić po omacku.

Pradawne kartki płonęły z niezwykłą jasnością, a czarny atrament dodawał poświacie granatowego zabarwienia. Aliwia się bała. Gdy dym unosił się znad spopielonych stronic, w głowie dzierlatki odzywały się jęki i zawodzenia jakiejś istoty. Przez moment zdawało jej się nawet, że sam Perun krzyczał w lamencie: „Ty głupia babo”.

Pełna obaw, starała się nie zwracać na to uwagi i szła dalej. Stronice płonęły jednak bardzo szybko i minęło zaledwie kilka zdrowasiek, a dopaliła się ostatnia.

W końcu wyrzuciła niepotrzebną już skórzaną okładkę i zwolniła kroku, by się nie wywrócić w otaczającej ją absolutnej ciemności. Pocieszeniem było przynajmniej to, że ucichło odzywające się w jej głowie uciążliwe zawodzenie i enigmatyczne pociąganie nosem, bo już martwiła się, czy przypadkiem nie traci zmysłów.

Ciszę raz po raz przerywały głośnie bicie jej serca i pulsowanie krwi w skroniach. Zziębnięta i wycieńczona, myślała już tylko o tym, aby się położyć i na chwilkę zasnąć.

Nagle, kładąc dłoń na ścianie, poczuła silne ukłucie w nadgarstku. Przestraszona obecnością jakiejś kreatury, cofnęła rękę tak gwałtownie, że straciła równowagę i upadła. Sparalizowana czekała, aż coś rzuci się na nią i zagryzie, ale nic takiego nie nastąpiło.

Uspokoiła oddech, a jej zmysły ukoił delikatny zapach jodłokrzewu. Wsłuchała się w odgłosy otoczenia i wydało się jej, że nieopodal szumi woda. Wstała obolała i powoli wyciągnęła przed siebie rękę. Poczwała palcami kolce i liście. Zerwała prawy rękaw sukni, owinęła nim dłoń i zaczęła zrywać gałęzie raniącego krzaka. Pomyślała, że za zaroślami jodłokrzewu skrywa się wyjście na powierzchnię. Nie myliła się, bowiem już po chwili zauważyła rozgwieżdżone niebo. Krzew był twardy, jego gałęzie grube, jednakże zdeterminowana dziewczyna z powodzeniem przedzierała się dalej. Czuła ból, uporczywe szczypanie na wskroś przeszywało jej dłonie, krew strużkami spływała po jej rękach, jednak pragnienie wolności dodawało jej siły. Minął dłuższy czas, nim wycieńczona zdołała się wychylić przez mały otwór. Wydała cichy okrzyk, bowiem, nie wyczuwając pod stopą gruntu, runęła w dół. Spadła na twarde podłoże. Podniosła ociężale głowę i zauważyła, że leży w niewielkim wąwozie. Środkiem niego przepływała rzeczka. Dokładnie nad nią wisiał szeroki mostek, po którym wierni przechodzili, udając się na bogobojne morały Kumara. Czując, jak boli ją krzyż, usiadła i podkuliła nogi. Zauważyła, że wartki strumień porwał jej pantofelek i wyrzucił na drugi brzeg. Była jednak zbyt słaba, aby próbować go wyłowić. Zamknęła oczy, marząc w tej chwili tylko o błogim śnie.

Kolacja wśród zakonników przebiegała, jak zwykle, w ciszy i skupieniu. Kumar wrócił jakiś czas temu do monasteru. Był w miejscu, w którym umówił się na spotkanie z Rotupalem, jednak nie zastał tam herszta bandytów. To go zaniepokoiło i teraz nie mógł nic zjeść. Siedział tylko zgarbiony nad miską kaszy i błędził myślami daleko poza klasztorem. Zastanawiał się, co mogło pójść nie tak. Czy opryszek zmienił zdanie i zrezygnował ze zbawienia? A może ktoś wykrył spisek i udaremnił atak na trakcie? Plan nie szedł po jego myśli, a w dodatku nic nie mógł na to poradzić. Do tego przekłęty Jodyg gdzieś przepadł. Nie widziano chłopaka od południa, a takie zachowanie było do niego niepodobne. Bogobój poprzysiągł sobie, że jak go tylko odnajdzie, każe mu leżeć krzyżem pełne dwie doby, a jeść pozwoli szczeniakowi dopiero po wtornicy. Wszak, jak przystało na mnicha, powinien zrozumieć ideę umartwiania się.

Po wieczery mnisi udali się do modlitewnej auli, gdzie składali podziękowania za doczesne dary i prosili o zbawienie. Modły rozpoczął Kumar, jak nakazywała tradycja, litaniami do Peruna. Po zawodzeniach i błagalnych pacierzach każdy oddał się medytacji. Bogoboja korciło, by sprawdzić północny wjazd do klasztoru. Łudził się, że może Rotupalowi pomyliło się i właśnie tam, na skraju lasu, czekał z pełną sakwą. Kumar wiedział, że myśl ta nie da mu spokoju, dopóki jej nie sprawdzi, wymknął się więc niepostrzeżenie. Poprawił na głowie kaptur, minął żwawym krokiem prezbiterium, równie szybko pokonał hol wejściowy i wyszedł na dziedziniec.

Zapadł już zmrok, ale rozgwieżdżone niebo sprawiało, że noc wydawała się nad wyraz jasna. Letni wiatr delikatnie smagał pomarszczoną twarz bogoboja, a zapach maciejek zasadzonych na placu koił jego zmysły. Kumar przeszedł obok stajni, cudem unikając wdepnięcia w końskie

odchody. Przeklął w myślach stajennego Numoga i obiecał sobie, że zada mnichowi odpowiednią pokutę, jeśli nieczystości będą niesprzątnięte do poranka. Na palcach zakradł się pod północny mur, uchylił główne wierzeje i wyszedł z opactwa. Błagając w duchu bogów, by nikt nie wyglądał przez okna, przeszedł prędko przez mostek, przeciął trakt i wpadł do lasu. Gęste drzewa przepuszczały niewiele gwiazdnej poświaty, przez co bór wydawał się mroczny i złowieszczy. Zakonnik stawiał ostrożnie kroki, prawie błędząc po omacku. Wypatrzenie kryjących się osób w takich warunkach graniczyło z cudem.

– Pssst, jesteś? – szepnął, ale wokół panowała głucha cisza. – Pssst... Niech to Świergot kopnie – zaklął pod nosem.

Po chwili zdał sobie sprawę, że gdyby opryszek był w kniei, na pewno spostrzegłby biegnącego mnicha. Bogobój spochmurniał jeszcze bardziej. Wiedział, że na najbliższej mszy pojawi się mnóstwo ludzi. Zachęceni płacidłami, będą pchać się do klasztoru drzwiami i oknami. Nie mógł ich w takiej chwili zawieść. Obiecał, że Perun zapłaci wiernym za wysłuchanie homilii i powinien dotrzymać słowa. Świątynia nie udźwignęłaby kolejnej porażki. Kumarowi przeszło przez myśl, że to ludzie powinni płacić za wysłuchiwanie Perunowych nauk. Jakiż ten świat byłby piękny, gdyby wierni na każdym kazaniu zapełniali skarbiec klasztoru. Kaznodzieja popukał się po głowie, odpędzając niedorzeczne fantazje.

Rozżalony własnym losem, rozkaszał się na dobre. Wsparł się o drzewo i podrapał po piersi, jakby chciał ukoić urojone pieczenie w płucach. Zauważył na ziemi długi kijek. Migiem go podniósł i wspierając się, dawał ukojenie zmyślonemu bólowi prawej nogi. Kumar czuł potrzebę cierpienia. Co prawda faktyczny ból go odstraszał, a wyobrażenie śmierci napawało przerażeniem, jednak był przekonany, że piewca bożych myśli winien być za pan brat z męczeństwem. Zdecydował, że kiedy tylko odzyska wzrok, straci węch i czucie w palcach.

Podniesiony na duchu nowym postanowieniem, już miał wyjść lasu, kiedy złapał się za brodę i jęknął: – Aliwia. Przypomniał sobie, że miał przynieść dziewczynie kolację. Co prawda nie był do końca przekonany, czy kobieta odczuwa głód podobnie jak mężczyzna, wszakże wolał tak zakładać. Szczęśliwym trafem spostrzegł duży krzak borówek. Pomyślał, że Aliwia może być rozzalona, więc słodki deser powinien być dla niej miłym dodatkiem do gotowanego grysiku. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, zerwał dwie garści owoców i schował do kieszeni. „Brat będzie musiał mi to wszystko sownie wynagrodzić” – pomyślał. Nie dość, że trzymając dziewczę w klasztorze, Kumar ryzykuje utratą resztek autorytetu wśród mnichów, to jeszcze musi jej nadskakiwać. A przecież powinien teraz martwić się planem bogów, wiernymi, zadaniem Rotupala, a nie zawracać sobie głowę bratanicą.

Natychmiast skierował się do klasztoru. Przechodząc przez mostek, obiecał sobie, że z samego rana pójdzie na ryby. Zasłużył na odrobinę spokoju. Skołowane nerwy, bóle w stawach i rześisty kaszel – płacił wysoką cenę za służbę bogom. Wędkarstwo było lekarstwem na wszystkie bolączki starego zakonnika. Co prawda dalej musiał grać rolę ślepcy, ale nie obchodziło go w tym momencie, co na wędkowanie powiedzą nieodpowiedzialni mnisi. Grają w kości, oglądają jakieś miasteczkowe papirusy, a bogobój nie wędkował pełny miesiąc. Najwyższy czas, by i on dostał coś od życia.

Kumar już zacierał ręce na myśl o obfitym połowie, już przełykał ślinę, kosztując w wyobraźni podsmażany filec, kiedy jego uwagę przykuł damski pantofelek. Leżał w korycie rzeki, przy brzegu. Granatowy bucik ze zdobnym szlaczkiem przy podeszwie, skórzana piętka, aksamitny pasek... Kumar szukał w myślach właścicielki, miał bowiem wrażenie, że gdzieś już go widział. Oglądając się, czy aby nikt nie stoi w oknach klasztoru, zszedł z mostka i podszedł na brzeg skarpy. Musiał uważać, by nie spaść, wszak było wysoko prawie na sążęń. Ostrożnie się pochylił i próbował kijem

unieść pantofelek. W końcu pochwycił damskie obuwie i bacznie mu się przyjrzał. Co prawda ostatnio nie łowił ryb, ale stał w tym miejscu wczoraj i przedwczoraj, tęsknie wspominając upojne chwile z wędką, więc powinien go zauważyć już wtedy. Chyba że... Lekko pomarszczona twarz bogoboja jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki postarzała się o dekadę, oczy zapadły, usta wykrzywił grymas, a szczęka zaczęła się trząść w nerwowym rytmie. Zdjęty zgrozą, rzucił badył na ziemię, podkasał szary habit i migiem przebiegł przez mostek. Cały dziedziniec pokonał w ekspresowym tempie, wdeptując po drodze w słusznych rozmiarów fekalia. Nie chcąc jednak tracić ani chwili na przejmowanie się pomniejszych niedogodnościami, uchylił wierzaje klasztoru i niczym błyskawica wpadł do sali. Jego rozbiegane oczy, czerwone od borówek ręce, którymi podtrzymywał habit, oraz bijący od sandała fetor odchodów zrobiły na mnichach piorunujące wrażenie. Większość uwierzyła, że Kumar dopiero wrócił z komnat Świergota. Ci, którzy posiadali analityczny umysł, trzeźwo połączyli smród z zakrwawionymi rękami i próbowali dostrzec, jaką też krzywdę zrobił sobie zwierzchnik w swą wstydliwą część ciała. Wszyscy wpatrywali się w bogoboja jak zaczarowani. Brodacz, zdradzając zadatki na wyśmienitego sprintera, pędził jak szalenciec przez środek komnaty.

– Panie? – zdążył ktoś zapytać.

– Perun nadał mi nadludzkie moce! – wrzasnął bogobój i zniknął w korytarzach świątyni.

Zakonnicy jak na komendę wykonali znak modlitewny, krzyżując ręce na piersi. Ktoś tam biadolił, że koniec świata, ktoś inny wydierał się: „Kumar Perunem!”. Tylko Peksza wydawał się nieporuszony sytuacją, bowiem krzyczał ponad wrzawą:

– Dama trefl, wygrałem!

Kumar nieprzerwanie pędził na złamanie karku.

– Bogowie, bogowie, błagam, nie róbcie mi tego – jęczał zdyszany. – Lemosz mnie zabije! Na wszystkie świętości...

Dopadł do drzwi komnaty Aliwii. Dłuższy czas siłował się z zamkiem, aż w końcu go otworzył. W środku panowała absolutna ciemność. Wziął z korytarza pochodnię i z łomoczącym sercem wrócił do sali. Przez moment myślał, że miała tu miejsce jakaś walka. Powywracane regały, porozbijane szafki, stosy porwanych ksiąg i zwojów. Przeszedł na środek komnaty. Już miał wołać bratanicę, kiedy dostrzegł w murze wielką dziurę. Przeżony, zbliżył się do miejsca, gdzie jeszcze niedawno była ściana. Skierował pochodnię ku otworowi, przetarł oczy w obawie, czy nie ma halucynacji, ale podziemny tunel nadal straszył go swoją obecnością.

– Niech to Perun ściśnie – zaklął przerażony. – Już po mnie.



powodu odrazy do haniebnych czynów Krawosa żaden skryba nie podjął się spisania historii jego życia. Po pewnym czasie zaczęły jednak krążyć po świecie legendy o tym władcy. W karczmach bardowie śpiewali o nim pieśni, w zamkowych komnatach bajorze opowiadali historie – zawsze znalazł się ktoś, kto miał do przekazania zasłyszaną opowieść o okrutnym Krawosie. I choć te w większości przypadków były przejaskrawiane bądź po części zmyślane, to każda zawierała w sobie ziarenko prawdy. Gdyby zsypać te prawdziwe ziarna do jednego korca, świat odkryłby niechlubną prawdę o życiu tego króla.

Krawos był prostym wieśniakiem. W wieku sześciu lat odkrył w sobie talent magiczny. Cierpliwie poznawał jego tajniki i przez lata uczył się wykonywania gestów oraz wymawiania właściwych formuł. Z czasem ujarzmił przepelniające go moce, stając się najpotężniejszym czarodziejem, jakiego znała ludzkość. Kiedy wchodził w wiek dorosły, posiadał już majestatyczny fort i armię wiernych żołnierzy.

Jak czas pokazał, Krawos okazał się okrutnym i zachłannym władcą. Siał strach i zniszczenie, zabijając każdego, kto stanął mu na drodze. Zostawiał za sobą spalone wsie i ograbione miasta, a zrabowane skarby skrzętnie składał w podziemiach swojej warowni. Legendy mówiły o niewyobrażalnej ilości płacideł, które zgromadził na ruchomej platformie, zawieszanej u sklepienia podziemnej komnaty.

Potęga Krawosa rosła z każdym rokiem. W wieku trzydziestu lat u jego stóp leżał cały północny kontynent, który nazwał Krawosadem. Zachłanny władca grabił i niszczył kolejne grody i księstwa, nie okazując nikomu litości.

W wieku, kiedy to jego włosów nie zdążyła jeszcze przyprószyć siwizna, a twarzy nie zmieniała ni jedna starcza zmarszczka, zwrócił na siebie uwagę

samego Peruna. Bóg, zirytowany nagannym postępowaniem króla, postanowił wymierzyć mu srogą karę. Zniszczył wszystkie jego wojska, a jemu samemu nakazał zejść do podziemi, do komnaty, w której skrywał zagrabione skarby.

Pośród tych wszystkich bogactw przemienił Krawosa w nieruchomy szkielet. W istocie Perun ukrył esencję życia wraz ze świadomością istnienia. Chciał, aby król mógł każdego dnia rozmyślać nad swym haniebnym życiem. Wierzył, że nadejdzie dzień, kiedy Krawos zacznie żałować za swoje grzechy. Obmyślił więc plan, dzięki któremu niegdysiejszy władca mógłby powrócić do świata żywych.

Stworzył księgę, na której kartach zawarł całą historię króla. Opisał jego krwawe rządy i pozbawione uczuć życie. Śmiertelnik, który przeczytałby brutalną prawdę o Krawosie, mógłby ocenić postępowanie włodarza i karę, jaka go dosięgła. Mógłby zdecydować, postępując wedle wskazówek z manuskryptu, czy przywrócić go do życia, uwalniając z jarzma klątwy, czy pozostawić w niezmiennym stanie.

Perun obawiał się, że księga może dostać się w ręce jakiegoś szaleńca bądź, co gorsza, niedouczonego wieśniaka, przemienił więc warownię Krawosa i jej podziemia w istny labirynt. Wierzył, że tylko ten, kto znajdzie drogę do ukrytej komnaty, zapewne człek śmiały i sprytny, będzie godny, by podjąć właściwą decyzję.

Bóg pragnął również nagrodzić wysiłki owego podróżnika i odkrywcy. Odebrał Krawosowi prawo do posiadania choćby jednej monety, a księgę umieścił na kolumnie, z której wcześniej król sterował platformą pełną skarbów. Ostatnie stronicę woluminu bóg poświęcił na opisanie sposobu, jak zdobyć ukryte płacidła.

Gdy Krawos przebudził się w podziemiach klasztoru, nie wiedział, czy dziękować Perunowi za wolność, czy może przeklinać jego i cały świat za cierpienia, które go dosięgły. A teraz, po wizycie Aliwii, klęczał na ziemi, w kościstych dłoniach chował trupa i wył przy tym jak baba.

Co prawda dziewczka zdjęła z niego klątwę, ale wielu rzeczy nie zrobiła wedle wskazówek. Czuł, że jego kości pokryte były nieprawidłowo i nie do końca ukształtowaną tkanką. Zdawał sobie sprawę z tego, że z otwartego brzucha zwisały wnętrzności, a zbielała, pozbawiona włosów czaszka pokryta była dziwnym śluzem. Co gorsza, czuł też, że został pozbawiony talentu magicznego.

Jakże cierpiał, gdy unieruchomiony, przyglądał się poczynaniom głupiej smarkuli. I nic nie mógł zrobić. Absolutnie nic. Dziewczyna przynajmniej spaliła księgę, a była to ostatnia, najważniejsza wytyczna Peruna, niezbędna, by ożywić Krawosa. Cóż jednak z tego. Nie stosując się należycie do reszty poleceń, uformowała z niego człowieka tylko w małej części. Zrobiła z niego odrażającą kreaturę, pozbawioną w dodatku magicznej mocy.

Krawos długo płakał. Gdy przestał pociągać nosem, a spazmy minęły, poprawił wypływające oko, wplątał zwisającą wątrobę pomiędzy jelita i wstał z klęczek.

Pamiętał jak dziś, kiedy, będąc królem, przychodził tutaj niemal każdego dnia. Sterował z kolumny zawieszonymi podestami i podziwiał zebrane stosy monet. Teraz było ciemno, więc niczego nie widział, ale gdy tylko sobie przypomniał widok walącej się platformy, ponownie zebrało mu się na biadolenie.

– Co za głupia baba – jęknął pod nosem. – Tyle płacideł.

Co prawda Krawos pogodził się z faktem, że zgodnie z boskim wyrokiem skarb nie mógł już należeć do niego, ale taki brak szacunku dla bogactw nie mieścił mu się w głowie.

W porę uświadomił sobie, że nawet biadolenie nie wyszło po jego myśli. Zamiast słów usłyszał charkot i zwierzęce warczenie. Z powodu nieodpowiednio ukształtowanych strun głosowych nie mógł nawet poprawnie mówić.

Krawos miał mnóstwo czasu na przemyślenia. Z każdym mijanym rokiem wspominał wojny, mordy i grabieże, których się dopuścił. Oczami wyobraźni rozpamiętywał rosnący stos kosztowności, ale i jego umysł wypełniał widok martwych mężów, ranionych dzieci i zarzynanych bez litości kobiet. Obcując z samym sobą w ciszy i przejmującej ciemności, już dawno temu zrozumiał, jak podłym i złym był człowiekiem. Mimo wszystko jego świadomość trwała w nieruchomym szkielecie przez kolejne lata i nie było dnia, by nie raniła go wspomnieniami grzechów. Krawos błagał wówczas w myślach, by ktoś go uwolnił z jarzma klątwy. Pragnął paść na kolana przed królami całego świata i błagać o przebaczenie. Chciał w jakiś sposób wynagrodzić krzywdy, których dopuścił się przed wiekami.

W tej chwili miał w głowie mętlik. Był oswobodzony, ale czym zasłużył sobie na kolejne lata męczeństwa? Perun ukarał go surowo, dlaczego więc miał dodatkowo cierpieć za głupotę jakiejś smarkuli? Serce mu podpowiadało, że dziewczka zrobiła to nieumyślnie. Wahał się jednak, czy jest na tyle silny, aby jej wybaczyć. Samo rozmyślanie nad tym umocniło go w przekonaniu, że tak. Setki lat okrutnego więzienia musiały zrodzić w nim niepojętą dla zwykłego śmiertelnika pokorę. Postanowił, że nie będzie miał dziewczynie niczego za złe. Martwił się tylko, czy nadejdzie dzień, kiedy będzie mógł wieść spokojne życie. Życie, o jakim rozmyślał przez wieki. Zebrał się w sobie i pomyślał trzeźwo: musi zacząć od wydostania się z podziemi. Wierzył, że znajdzie się jakiś cyrulik, wykwalifikowany czarodziej bądź ktokolwiek, kto poskładałby go do kupy.

Pokrzepiony tym planem, zaczął stawiać ostrożne kroki. Brodził w piachu zmieszonym z monetami, co rusz natrafiając na zgliszcza zawalonych podestów.

Nie znał drogi. W końcu bóg zakładał, że ożywieniec będzie wracał ze śmiałkiem, który go oswobodzi. Bóg zakładał wiele rzeczy, które, jak czas pokazał, poszły nie tak. Krawos jednak się nie złościł. Przeżył setki lat w nieruchomym szkielecie. Przeżyje i to.

Minęło sporo czasu, zanim trafił do tunelu. Liczył się z tym, że pokonanie labiryntów może być dla niego nie lada wyzwaniem. Pod nosem niczego nieświadomych zakonników pokonywał kolejne korytarze podziemi. Pas od miecza co chwila spadał mu z nieukształtowanych do końca bioder, a zapinka od peleryny zawadzała o odsłonięte ścięgna szyi. Mimo to nie czuł bólu, choć był świadom, że zostawia za sobą smugę krwi. Martwił się nawet, czy krwotok nie wpłynie w jakimś stopniu na stan jego zdrowia, ale po dłuższym czasie zauważył, że nic złego mu się nie dzieje. Nie poddawał się więc i szedł dalej, a myśli zaprzętało mu w kółko powtarzające się pytanie: „Czy jestem nieśmiertelny?”.

Kumar udał się do swej komnaty, przekonany, że przed chwilą miał zawał. Ciężko usiadł na sienniku i myślał, co robić. Wiedział, że czasu ma dużo, bo prawie tydzień, ale mimo wszystko byłby spokojniejszy, gdyby jeszcze dziś znalazł Aliwię. Nieraz już widział wzburzonego brata i wolał uniknąć doświadczenia jego gniewu na własnej skórze.

Był przekonany, że Aliwia uciekła do Alforda. Zgubiła but, nie mogła więc szybko chodzić, ale jeśli uciekła z samego rana, to pewnością już od dłuższego czasu leżała pod plugawym piernatem wojmiła. Kumar zacisnął w złości pięści. W porę się opamiętał i skrzyżował ręce na piersi, wołając o pomoc samego Peruna.

Wstał z siennika i podszedł do okna. Czubki wysokich sosen kołysały się na delikatnym wietrze, a nad rzeką można było dostrzec latające świetliki. Noc wydawała się cicha i spokojna. Kaznodzieja wiedział, że dla niego taka nie będzie.

– Co robić, co robić?... – szeptał do siebie, gładząc długą brodę.

Wiedział, że samemu ciężko mu będzie pochwycić Aliwię. Zaangażowałby do tego Jodyga – jąkała, nawet gdyby chciał, nic by nikomu o tym nie powiedział. Chłopak jednak przepadł bez wieści. A kto wie, może nawet zrezygnował ze służby bogom. Kumar wzdrygnął się na tę myśl.

Potrzebował pomocy kogoś zaufanego, odpowiedzialnego. Kogoś, kto nie bacząc na nic, wyrwie dziewczkę z grzesznych objęć Alforda i przywiezie ją z powrotem do klasztoru. Tylko kto to mógłby... Kumar nie zdążył nawet zadać tego pytania, kiedy jego pokrytą zmarszczkami twarz wykrzywił uśmiech.

– Szagrat – szepnął pod nosem. – On mógłby się podjąć tego zadania.

„To były wojskowy – myślał z wypiekami na twarzy. – Bez reszty oddany Perunowi. Dyscyplina to jego drugie imię. Na pewno wykona zadanie zleczone przez niebiosy. W mig dojedzie do Nogradu, w mig odnajdzie dziewczkę...”.

– Tak! – krzyknął radośnie w kierunku okna.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, wyszedł z komnaty. W klasztorze panowała już cisza. Większość mnichów spała lub modliła się, a przynajmniej Kumar głęboko w to wierzył. Zszedł piętro niżej, starając się nie robić przy tym zbyt dużego hałasu. Szagrat miał celę na samym końcu korytarza.

Kumar widział w nim zdyscyplinowanego samotnika. Szagrat przybył do klasztoru dobre dziesięć lat temu, będąc jeszcze młodzieńcem. Wyrzekł się służby strażniczej u kasztelana i poprzysiął wierność bogom. Plotka głosiła, że torturował, a nawet zabijał na rozkaz swego zwierzchnika. Na szczęście dla swojej duszy w porę się opamiętał i zrozumiał, że karanie ludzi należy zostawić bogom. Wiele tygodni musiało minąć, zanim ucichły jego błagania o wybaczenie popełnionych win. Teraz w oczach bogoboja Szagrat był zagorzałym ascetą i przykładnym biczownikiem. Nieraz wzbudzał u reszty zakonników prawdziwą obawę, czy aby nie przesadza z pokutami i żalem za grzechy. Wrzaski biczownika nieraz przeszywały klasztor z taką ostrością, że nawet sam Kumar błagał bogów o odpuśczenie win nieszczęśnikowi.

Bogobój musiał ostrożnie postępować z Szagratem. Wiedział, że ludzi tak głęboko wierzących łatwo urazić. Wszak on sam czuł się urażony niemal codziennie.

Podszedł do drzwi celi biczownika i zatrzymał się tam, układając w myślach jeszcze raz słowa rozkazu objawionego przez Peruna. Wyjął z kieszeni damski pantofelek i zapukał. Zwykle wchodził do cel podopiecznych bez zapowiedzi, jednak o tak późnej godzinie i w obliczu

sprawy, jaką miał przekazać świątobliwemu mnichowi, wolał się trzymać dworskiej etykiety.

– Wejdz. – Usłyszał głęboki, mroczny głos.

Uchylił drzwi. Przed jego oczami zamajaczył rząd wiszących na ścianie pejczy, szpicrut i harpunów. Na ziemi leżały zwoje lin, na których widok zakłopotany Kumar przełknął ślinę. Z sufitu zwisały grube łańcuchy zakończone hakami. Splamione zakrzepłą krwią, niemrawo się kołysały. Światło świec ustawionych na okiennym parapecie wydobywało z modlitewnych akcesoriów pokutnika demoniczne cienie.

Kumar wszedł do celi i po prawej stronie dojrzał Szagrata. Mnich stał zwrócony tyłem do gościa, trzymając w ręku pejcz okazałych rozmiarów. Był ubrany tylko w bawełniane spodnie. Jego plecy naznaczone były zwisającymi kawałkami zaschniętej skóry i świeżymi śladami po uderzeniach rzemieniem.

– Prosiłem, żebyś pukał umówionym syg... – urwał w pół słowa, gdy się odwrócił i zauważył, że ma do czynienia z bogobojem.

Szagrata miał długie, czarne włosy, starannie zaczesane do tyłu, orli nos i kościste, wydatne kości policzkowe. Był wysoki i szczupły. W nikłej poświacie świec, pośród tych wszystkich pejczy i kajdanów, mógł sprawiać wrażenie upiora nie z tego świata. Mógł, jednak zachowywał się zgoła odmiennie. Pejcz wypadł mu z ręki, a warga samoistnie poczęła drgać w takt wymawianej litery.

– K-k-k... – niczym Jodyg próbował wydukać bez powodzenia jakieś słowo.

W porę jednak się opamiętał i zdając sobie sprawę, że to nie przynosi zamierzonego efektu, zaniechał gadania. Zakłopotany, przełknął tylko ślinę i pytająco spojrzął na trzymany przez Kumara damski pantofel.

Bogobój nie rozumiał zmieszania malującego się na twarzy mnicha. Nie zdążył nawet przeprosić za późne najście, kiedy do celi wtargnął Bobisz.

Korpulentny zakonnik, cichy, spokojny z natury. Zawsze stał na uboczu, nie wadził innym mnichom, a zawsze służył pomocą czy radą.

Trzymał antałek wina i zwinięty dywanik z jagnięcej skóry. Delikatny, miły w dotyku.

Kumar mimowolnie rozdziawił usta, jakby chciał o coś zapytać. Ale że udawał ślepcę, musiał ostrożnie dobierać słowa. Ubiegł go Bobisz.

– Sza... Szagracie! – wydukał, nie przestając wpatrywać się w przerażoną twarz znamienitego pokutnika klasztoru. – Jak prosiłeś... Yyy, jak prosiłeś... Przynoszę ci wino mszalne, byś mógł nim oblewać poświęcone bogom rany.

– A dywanik? – wypalił bez namysłu Kumar.

– A dywanik? – powtórzył za nim Szagrat, wybałuszając ze strachu oczy.

– A dywanik... Właśnie, hę... Dywanik to... Bo on... jest mój. Chciałem... chciałem ci pokazać, że zamierzam iść w twe ślady! Od dziś zamierzam spać tylko na nim, bez siennika!

Kumar, zaskoczony postanowieniem Bobisza, skierował wzrok na Szagrata. Był ciekaw jego reakcji. Znamienity asceta jakby na nowo nabrał pewności siebie. Wysokie czoło wygładziło się, a usta zacisnęły w wąską kreskę. Popatrzył na Bobisza, któremu nadal drżały ręce, a spojrzenie miał wyraźnie rozbiegane.

Kumarowi coś nie pasowało w tej historii, ale nie był do końca pewien co.

– Jestem dumny z twojej decyzji, Bobiszu – rzekł w końcu pełnym namaszczenia głosem.

– T-tak. W-właśnie. – Mnich uklonił się nisko. – Więc, ten, no, dobranoc.

– Dobranoc, Bobiszu. – Bogobój zamknął drzwi za początkującym ascetą i usiadł na skraju siennika. Westchnął ciężko, próbując zebrać rozproszone myśli. Nie drapało go w gardle, ale mimo to zaczął kasłać. Pomyślał, że

w dobrym tonie będzie pokazać się ascecie z jakąś przewlekłą, dokuczliwą chorobą.

– Czy ty odzyskałeś wzrok, panie? – bez ogródek zapytał Szagrat.

– Nie – zachrypiał przez podrażnione kaszlem gardło speszony Kumar. – Dlaczego?

– Wybacz mi pytanie. Po prostu przez chwilę miałem takie wrażenie, jakby... Poza tym zakonnicy mówią... Niektórzy powątpiewają...

– Wiesz, synu – przerwał mu Kumar przesadnie unizonym tonem – wyroki boskie są nieodgadnione. To prawda, ostatnimi czasy czuję, jakbym z rzadka miał przebłyski... Ale to nieważne. Nie o tym chyba będziemy rozmawiać. Mam dla ciebie ważne zadanie... A wiedz, że powierza ci je sam Perun.

Szagrat podszedł do Kumara, jak gdyby w obawie, że czegoś nie dosłyszy, że jakieś słowo mu umknie.

– Z klasztoru uciekła dziewczka, którą musisz natychmiast sprowadzić z powrotem.

– Co ona tutaj robiła?

– Oj, co robiła... Zesłał ją Perun. Ważne, że teraz poszła do Nogradu, do wojmiła grodu.

– Do Alforda? – niedowierzająco spytał mnich.

– Tak – przytaknął. – Trudno mi ocenić, o jakiej porze dnia uciekła, ale jeśli zastaniesz ją w grodzie, będziesz musiał dziewczynę porwać i przywieźć do klasztoru.

– Porwać? – spytał podejrzliwie były żołnierz. – Cóż takiego zrobiła?

– Niech to cię nie trapi. Możliwe, że różne głupstwa będzie ci opowiadać. Nie słuchaj baby. W ogóle najlepiej zaknebluj, spętaj i przywieź. O nic jej nie pytaj. I uwierz, że miałem widzenie, jak wstępujesz między bramy Perunowe, by zasiąść pośród świętych.

Szagradowi zaświeciły się oczy. Przyklęknął przed bogobojem i ucałował go w rękę.

– Zrobię, jak każesz, panie. Jak ona wygląda?

– No cóż. Hm... – zamyślił się Kumar. – Jak większość tych, no, kobiet. Wąska w pasie, niska, no taka drobna raczej, przy czym na piersi obficie rozkrzewiona... Hm... Ma rude włosy i...

– Mam problem z kolorami, bogoboju – z zakłopotaniem przerwał mu Szagrat.

– Jak można mieć problem z kolorami? – zdziwił się Kumar.

– Można – westchnął z goryczą w głosie pokutnik. – Ufam, że to z woli wszechwładnych bogów.

– No tak, naturalnie. Wyroki Perunowe są niezbadane – zgodził się bogobój. – W każdym razie pierza na głowie ma co niemiara. Taka puchata może ci się u góry wydawać. Cóż jeszcze powiedzieć... Ma na imię Aliwia...

– Zgaduję, że to jej pantofel – wszedł mu w słowo Szagrat, widząc wyraźne problemy z opisem poszukiwanej.

– A tak, właśnie. Weź cizemkę i w razie czego przymierz dziewczoi.

Kumar wręczył bucik zakonnikowi i ufny w powodzenie misji, wyszedł z komnaty.



początku Lemosz myślał, że cały świat się wali. Widział, jak konie potykają się o wykopany na trakcie dół, a wóz gwałtownie przechyla się na bok. Pochwycił Kolika i wtulił go we własną pierś, by uchronić syna przed niechybnym upadkiem. Czekał na nieuniknione, popatrzył w niebo, czy to sam Perun nie trzęsie posadami ziemi. Na twarzy kupca strach mieszał się ze zdumieniem. Nie spostrzegł płonących piorunów, którymi boska siła gromiłaby ludzi. Nie spostrzegł nawet krwistych chmur, obwieszczających zbliżającą się zagładę. Uchwycił za to na rozgwieżdżonym nieboskłonie trójkę mężczyzn, którzy spadali wprost na jego wóz. Do uszu Lemosza dochodziły ich krzyki, jęki i niezrozumiałe nawoływania, a to wszystko zlewało się z przeraźliwym rżeniem koni. Trójka osobników z hukiem runęła na wóz, łamiąc szkielet pokrycia, ale Lemosz nie śledził już ich wzrokiem. Wypadł z kozła i trzymając syna, runął na ziemię. Obolały, podniósł głowę.

– Nic ci nie jest? – spytał chłopaka.

– W porządku, tato – odpowiedział dzieciak, gramoląc się z ziemi. – A tobie?

– Chyba... Chyba jestem cały. – Lemosz szybko doszedł do siebie. Spojrzał na miejsce wypadku. Domyślał się, że to zasadzka. W końcu nie bez powodu ktoś wykopał tu dziurę. Zastanawiał się jednak, kto spadł z drzewa. Czy to byli bandyci? Jeśli tak, jaki mieli cel, zlatując bez zabezpieczeń z takiej wysokości?

Konie zarżały, urwały się z zaprzęgu i uciekły w leśną gęstwinę. Ze zniszczonego wozu zaczęły dochodzić wyraźne odgłosy szamotaniny.

– Masz, narwańcu, i jeszcze raz! – krzyknął ktoś spod płachty.

– Co tam się dzieje, do stu piorunów?! – spytał Lemosz, podnosząc się z ziemi.

– Dobilem dziada! – Usłyszał spod nakrycia. – Szefie, już po nim!

– Kto tam jest? – dopytywał się Lemosz.

– Ja jestem Berbeto. – Usłyszał zdyszany głos. – A ten tutaj to...

– Zamknij tę paplającą gębę – zacharczał drugi nieznajomy. – Spójrz lepiej, co mam tutaj.

– Ależ szefie, tak teraz?

– Zabieraj te łapy! Tutaj!

– Sakwa!

Lemosz, przeczuwając najgorsze, objął Kolika.

– Weźcie, co chcecie – krzyknął w kierunku pobojuwiska. – Tylko nie róbcie nam krzywdy.

– Auć! – Usłyszał głośny wrzask zmieszany z pochlipywaniem. – Wyjąłeś go zbyt szybko!

Kupiec zrobił wielkie oczy i odruchowo zasłonił uszy chłopaka. Zwiedził kawał świata i był przyzwyczajony do nieobyczajnych zachowań ludzi. Bezwstydnicy kręcili się wszędzie, czy to w ciemnych zaułkach miast, czy w leśnej kniei. Lemosz nie chciał, by syn w tak młodym wieku był świadkiem sprośnych zabaw leśnych zboreźników.

– Patrz, jaką mam teraz dziurę! – krzyknął przez łyżę jeden z nieznajomych.

Lemosz zrobił krok do tyłu, potem kolejny. Już się zastanawiał, czy w krzaki uciekać, czy syna w lesie chować, kiedy w świetle księżyca spostrzegł zakrwawiony sztylet, którym ktoś z impetem przebił się przez płachtę. Zaraz potem wyskoczył spod niej rzezimieszek.

– Nic ci nie zrobimy, więc się nie obawiaj! – krzyknął głosem stłumionym przez niedbale założoną chustę.

– Mam dziurę w brzuchu! – ryknął ktoś spomiędzy resztek roztrzaskanego wozu.

– Już ci pomagam, szefie – powiedział przejęty opryszek. – Pozwól, że wezmę cię na ręce.

– W tej chwili zanieś mnie do Kumara! – płakał ranny bandyta.

– Do Kumara? – spytał zaskoczony rozbójnik.

– Do Kumara? – powtórzył Lemosz.

– Do Kumara! – jęknął ranny. – I to migiem.

– Ale po co? – nie dawał za wygraną wspólnik bandyty.

– Wyjaśnię ci po drodze.

Lemosz spostrzegł, jak rozbójnik w pośpiechu związał rzemykiem długie blond włosy, po czym, wyraźnie podekscytowany, wziął rannego na ręce.

– A więc do świątyni? – rzekł podniecony.

– Ale nie jak młódkę do ożenku, idioto!

– To jak? – spytał z wyraźnym żalem w głosie długowłosa.

– Jak wór owsa!

Lemosz z rozdziawionymi ustami patrzył, jak bandyta z prawdziwym trudem przekłada swojego szefa przez ramię i znika w leśnej gęstwinie.

– Dlaczego oni idą do wujka, tatku? – spytał po chwili chłopak.

Lemosz zamyślił się i podkręcił czarny wąs. Dlaczego zbójnik chciał iść do Kumara? Jaki miał w tym interes? Czy atak był dziełem przypadku, czy może był zaplanowany i miał na celu właśnie jego? Kupiec miał złe przeczucia. Zastanawiał się, czy Kumar maczał paluchy w tym rabunku. W końcu po Nogradzie rozeszła się wieść, że miał w planach rozdawać na nabożeństwach płacidła. Skąd miałyby je brać? Wszak od dawna skarżył się na pustki w skarbcu. Jednak, z drugiej strony, czy zdobyłby się na grabież przy gościńcu? Lemosz splunął na pobocze i odrzucił ten nedorzeczny pomysł. Perun namawiał do szanowania bliźniego, a kradzież potępiał i surowo karał. Bogobój nigdy nie złamałby nauk Perunowych. Był zdolny

do wielu dziwactw: głodował w imię Peruna, odmawiał kąpiel, składał przysięgę milczenia, ale z pewnością nie posunąłby się do rabunku.

– Nie wiem, synku – odpowiedział wreszcie. – Ale przeczuwam, że wujek Kumar udzieli nam kilku odpowiedzi.

Lemosz dziękował bogom za to, że bandyci pozostawili ich przy życiu. Co prawda ukradli sakwę płacideł, ale i tak była to niewielka strata w porównaniu z kosztownościami, które trzymał w domu. Podszedł do przewróconego wozu. Jedno z kół było złamane, podwozie roztrzaskane, narzuta potargana, a bagaże i zapasy żywności rozrzucone po całej okolicy. Kupiec podniósł fragment plandeki i, przestraszony, odskoczył. Na ziemi, pod zwałami materiału, leżał martwy mężczyzna.

– Ktoś tam jest, tatku? – spytał wystraszony chłopak.

– Nie podchodź! – krzyknął Lemosz w stronę synka. Przytomnie chwycił za płachtę i gwałtownie pociągnął ją w swoim kierunku. Martwy bandyta zsunął się z materiału i z cichym tąpnięciem wpadł do wilczego dołu.

– Czy... czy on nie żyje? – szepnął mały rudzielec.

– Nie zawracaj sobie tym głowy, Koliku – rzekł ojciec, zbierając z gościńca porozrzucane dobra.

Chłopak podszedł do wilczego dołu, chciał zobaczyć bandytę.

– Tatku! – krzyknął po chwili. – Tutaj jest ich więcej.

– Co ty opowiadasz? – Lemosz podbiegł i zamarł na widok trzech upchanych ciał. – Cóż tu się stało?

– Czy... czy oni nie żyją?

– Nie wiem, synku, ale wyglądają mi na bandziorów.

– Co z nimi zrobimy?

– Nic. Tacy ludzie nie zasługują na współczucie. – Lemosz wrócił do zbierania rzeczy. – Chodź, trzeba coś zrobić z tym bałaganem.

– Wujek Kumar pewnie nie uwierzy, jak mu opowiemy o tym, co się stało – stwierdził chłopak.

– Wujek Kumar ma w kudłatym nosie rozboje na gościńcach. Jemu w głowie tylko Perun i pełna świątynia.

– Pewnie tak – rzekł zamyślony Koli. – Takiemu bogobojowi to chyba dobrze.

– Co masz na myśli? – Ojciec odwrócił się do chłopaka.

– No, siedzi sobie w klasztorze, po nocach jeździć nie musi...

– No, widzisz, synku – wszedł mu w słowo kupiec – ten napad to kolejny przykład na to, że zawód kupca jest niebezpieczny.

– Jak tak teraz nad tym myślę – powiedział syn, zerkając na trzymaną w rękę zabawkę wojownika. – To tacy drogoni też mają niebezpieczne życie.

– A czemuż to?

Chłopakowi rumieńce wyszły na policzki na myśl o zbrojnych drogonach. Zawsze lubił się przyglądać, jak z mieczem przy boku doglądają porządku na gościńcach.

– No bo... – zaczął nieśmiało, jakby w obawie, czy nie urazi ojca. – Bo oni zajmują się takimi zbirami.

– A widzisz ich gdzieś tutaj?! – wzburzył się Lemosz, machając gwałtownie skórzanymi bryczesami, dopiero co podniesionymi z ziemi.

– No nie – wymamrotał chłopiec.

– Właśnie! Bo grzeją tyłki po karczmach, albo wlepiają mandaty srającym koniom w miastach. Człowiek płaci myto, miesiąc w miesiąc pięć płacideł. Kupiec jeszcze dodatkowe dwa za czynienie kolein swoimi powozami. I co mamy w zamian?

– Naprawiają...

– I tak powiesz coś głupiego, więc nie sil czerepu. Nic nie mamy w zamian! Byle łazęga może sobie dół wykopać, ograbić nas, a nawet i zabić!

– Kary są za to! – wzburzył się chłopczyk.

– Ba! – zachnął się Lemosz. – Czterdzieści płacideł i sześć niedziel w lochu. Pobyt trzech niedziel w karczmie tego obwiesia Bydosza kosztowałby mnie tyle samo.

– No, ale z karczmy to mógłbyś, tatku, wychodzić.

– Warunki ma jednak podobne. Zresztą, o czym tutaj dyskutować? Pomóż mi zebrać te rzeczy z drogi.

Chłopak podniósł koszyk i zaczął wrzucać do niego porozrzucane warzywa.

– Idziemy do miasta czy do wujka Kumara? – spytał.

Ojciec z początku wahał się, czy nie wracać, by donieść Gramiszowi o przestępstwie. Do miasta było nawet bliżej, ale chęć widzenia się z córką była silniejsza.

– Pójdziemy do klasztoru – rzekł, odkładając stertę ubrań na pobocze. – Wcześniej jednak musimy to wszystko popakować. Im więcej ze sobą weźmiemy, tym mniej stracimy. Jak znam życie, przyleżą jacyś grabieżcy lub, co gorsza, borowe dziady i wszystko splądrują.

Lemosz rozciął plandekę, ułożył w jej fragmentach ubrania razem żywnością i obwiązał wszystko w opasłe tobołki. Lżejszy założył Kolikowi na plecy, a sam dodatkowo wziął kosz warzyw i belę tkanin, którą woził ze sobą w celach reklamowych.

Podróż nocą nie należała do przyjemnych, ale Kolik był dzielny, nie dawał po sobie poznać, by bał się dzikiego zwierza czy kolejnych rozbójników. Lemosz był z niego dumny. Dziękował w duchu bogom za tak udane dzieci. I choć Kolik nie wydawał się zbyt rozgarnięty, a Aliwia zbyt roztropna, to kupiec mógł powiedzieć, że sprzyja mu wyjątkowe szczęście,

że ma takich potomków. Lemosz nie pokładał zbyt wielkiej wiary w Perunie, a na bogobojnych morałach zdarzyło mu się być może ze dwa razy, jednak znowu złapał się na tym, że błaga w duchu właśnie bogów o to, by Aliwia nie była na niego zła.

Co jakiś czas z głębi lasu dało się słyszeć wycie wilków i skrzek leśnych ptaków. Kolik nic nie mówił, ale rzucał ojcu spojrzenia pełne obawy.

– To daleko stąd – rzekł w końcu Lemosz.

– Wiem, tatku. Nie boję się.

Z czasem podróżnym zaczęły ciężać niesione na plecach bagaże, stopy paliły od niewygodnych cizem, a chłód nocy namawiał, by przystanąć i rozpaść ognisko. Lemosz obawiał się wszakże, że nocleg w tej części kniei będzie bezpieczny. Po Nogradzie krążyły plotki o borowych dziadach, zwanych również leśniakami, którzy mieli zamieszkiwać pobliskie lasy i chronić przyrodę przed ludźmi. Powiadano, że byli barbarzyńcami pozbawionymi uczuć, znali magię i potrafili zabić każdego, kto stanie im na drodze, ale prawda była taka, że nikt nigdy nie zginął z ręki borowego dziada, a od dawien dawna nikt żadnego nawet nie widział. Mimo wszystko Lemosz wolał nie ryzykować.

– Może odpoczniemy? – nieśmiało zapytał Kolik.

– Dobrze, ale tutaj, na poboczu.

Wędrowcy ułożyli tobołki na ziemi i przysiedli na nich. Ojciec urwał po kawałku chleba z bochna.

– Masz, jedz.

Kolik z chęcią wziął pieczywo, ale niemal natychmiast poderwał się na równe nogi i wbiegł na gościniec.

– Wóz jedzie, tatku! – krzyknął podekscytowany.

Lemosz podszedł do syna i próbował dosłyszeć cokolwiek.

– Rzeczywiście!

Do wędrowców zbliżała się dwukółka z zamontowaną klatką do przewozu zwierząt. Na koźle siedział zakonnik i smagał batem czarnego konia. Powóz zwolnił przed Lemoszem i Kolikiem tak, że mogli dostrzec orli nos mnicha i wydatne kości policzkowe. Na jego todże spostrzegli symbol Peruna.

– Witaj, mnichu – krzyknął kupiec i uniósł rękę w geście powitania.

Twarz zakonnika nie zdradzała najmniejszych emocji. Widać było, że dokładnie przygląda się dwójce podróżników i tobołkom ułożonym na poboczu.

– Wpadliśmy w zasadzkę – pożalił się Lemosz.

Zakonnik odwrócił od nich głowę i uderzył batem konia.

– Jesteś głuchy? – zdenerwował się kupiec, widząc obojętną postawę mnicha. – Napadli nas...

Lemosz urwał w pół słowa, gdyż powóz go minął. Kupca zdumiało zachowanie zakonnika. Dobre maniere nakazywały nieść pomoc potrzebującym na gościńcu. Sługa Peruna tym bardziej powinien poczuć się w obowiązku zaoferowania wsparcia. Lemosz długo się zastanawiał, dlaczego zakonnik zachował się tak dziwnie, ale ponad wszystko rozmyślał, jaką to pilną sprawę mógł mieć Kumar, że wysłał swojego człowieka w podróż do Nogradu właśnie teraz, w środku nocy.



entak przyłożył twarz do drzwi. Wyraźnie czegoś nasłuchiwał. Melmir stał obok i nerwowo patrzył wokół, czy przypadkiem ktoś ich nie widzi.– Pospiesz się, Lentaku – jęknął przestraszony.

– Ćśśś. Otwieranie zamków to żmudna i precyzyjna robota – wyniośle rzekł łysy rzezimieszek. – Na pośpiech nie ma tutaj miejsca.

Upewniwszy się, że w domu nikt się nie kręci, włożył wytrych do dziurki od klucza i po chwili w pełnym skupieniu pociągnął za klamkę. Drzwi stanęły otworem. Czarodziej postąpił nieroztropnie i pierwszy wszedł do środka, jakby w obawie, by nikt go nie spostrzegł stojącego przed domem. Do uszu Lentaka doszedł ledwie słyszalny dźwięk zwalnianej zapadki w progu drzwi. Już wiedział, że to była pułapka, którą bezmyślnie uaktywnił głupi czarodziej. Na podjęcie decyzji złodziej miał chwilę równą mgnieniu oka. Zachował zimną krew i zareagował natychmiast. Skoczył i wierząc, że zdoła w locie pochwycić Melmira, rzucił się w jego kierunku. Złapał czarodzieja za kołnierz, pchnął go gwałtownie do przodu, a sam wylądował w niskim przysiadzie dwa sążnie dalej. Zwolniony mechanizm uaktywnił skrytą w mroku kuszę, która wystrzeliła bełt prosto w kierunku otwartych drzwi. Melmir leżał na ziemi i płakał, a Lentak przeszedł w szpagat i pochylił głowę. Bełt śmignął nad opryszkami, mimo to Lentak czuł, że grot utkwiał mu w gardle. Staruszek zaczął się krztusić. Melmir, zamiast pomóc kamratowi, klaskał z werwą i gratulował złodziejowi ponadprzeciętnych umiejętności. Lentak krzyknął w końcu z całych sił, uchylił powiekę, potem drugą i zorientował się, że leży na swoim sienniku, a z ust wystaje mu kłos słomy.

– Krew by zalała – zaklął pod nosem. Wstał ociężale, przetarł zaspane oczy i rozmasował ścierpięty kark. Podeszedł do okna. Na nieboskłonie pośród mrowia gwiazd dostojnie lśnił srebrzysty sierp. Lentaka irytowały

takie ckiwe widoki. Zmełł w ustach przekleństwo i popatrzył na ustawioną na szafce klepsydrę. Czasu nie zostało wiele. Musiał się spieszyć.

Przywdział obcisłe, ciemne getry i lgnącą do ciała bluzę koloru spranej czerni. Podniósł z podłogi małą torbę i zarzucił ją na plecy. Coś chrupnęło przy lewej łopatce. W grymasie bólu skrzywił twarz, jednak szybko wyprostował się i przeczekał atak promieniującego bólu. Spojrzał przeciągle w lustro, oceniając swoją pajęczą sylwetkę. Napinając nogi i wysuwając przed siebie stopy, ubrane w coś na kształt baetek, jął podziwiać rzeźbę uwydatnionych mięśni, upstrzonych w większości gęstymi żyłakami i śladami po dawno już zwalczonym trądzie.

Założył złodziejską maskę, przesłaniającą połowę twarzy, i szczerze się uśmiechnął, ukazując niechlubne braki w uzębieniu.

– Ech, będzie jak dawniej, Melmirze... Jak dawniej – wyszeptał do zwierciadła, po czym chyłkiem wymknął się z pokoju.

Ciszę nocną przerwał jedynie odgłos naciskanej klamki... I zgrzyt otwieranych drzwi... I tupot stóp na schodach... I rzęsisty kaszel przy drzwiach kamieniczki.

W świetle księżyca mknął ciemną alejką. Dziękował bogom, że nie wyrzucił złodziejskiego odzienia. Dobrze przeczuwał, że na coś mu się jeszcze przyda. Czuł się teraz niczym duch bądź przenikliwy mrok w formie cicho-ciemnej łuny, która prze naprzód pod nosem niczego nieświadomych mieszkańców Nogradu. Lentak czuł, że zlewa się z otoczeniem... i po prawdzie nawet zaczął się martwić, czy Melmir w ogóle go spostrzeże.

Nagle, pewny, że coś usłyszał, przystanął przy chatce z szyldem „Wróżby pozytywne”. Łypnął okiem zza winkla i dostrzegł dwóch kasztelańskich strażników. Siedzieli na skrzyniach i grali w kości, zażyłe przy tym komentując przebieg rywalizacji. Było ciemno, toteż Lentak zdawał sobie sprawę, że mógłby zaryzykować i przejść drugą stroną ulicy. Wolał jednak nie sprawdzać czujności zbrojnych. Mógł oczywiście wycofać się i iść

okrężną drogą, ale wtedy na pewno by się spóźnił. Postanowił działać jak prawdziwy zawodowiec. Podniósł z ziemi niewielki kamyczek i rzucił nim daleko w głąb uliczki. Wierzył, że strażników zainteresuje niepokojący dźwięk, dochodzący z ciemnej alejki. Powinni tam pobiec, dając wolną drogę złodziejaskowi. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Strażnicy nadal dyskutowali ściszymi głosami i co rusz rzucali kośćmi. Lentak wziął większy kamyczek i jeszcze raz rzucił. Mężczyźni zdawali się bez reszty pochłonięci grą.

– Psubraty, zamiast pilnować okolicy, grają w kościaka – zajadle wycedził przez ściśnięte usta. Zaczął rozglądać się za czymś większym. Jego chytry wzrok zatrzymał się na doniczce, która stała na parapecie.

– Jak to ich nie wyrwie z otepiałej gry – szepnął pod nosem – to pewnie mają problem ze słuchem.

Wziął zamach i cisnął ceramicznym naczyniem. Dziadek nie miał tyle siły, co przed laty, do tego donica nie była lekka, toteż przeleciała dwa, może trzy sążnie i z hukiem rozbiła się na środku drogi. Łypnął okiem jeszcze raz zza winkla i zaskoczony spostrzegł, że strażnicy nadal żywo dyskutowali. Przeszło mu przez myśl, że muszą być odurzeni lub zaczarowani. Nie miał wyboru. Postanowił zaryzykować i przejść przez ulicę pod osłoną nocy. W końcu jego konspiratorskie odzienie powinno stanowić jedność z ciemnym otoczeniem.

– Kości mi się zastały. – Usłyszał głos jednego ze strażników.

– Chodź, przejdziemy się po okolicy – odpowiedział drugi. – Patrol dobrze nam zrobi.

Gdy Lentak złowił uchem zbliżające się w jego kierunku kroki zbrojnych, zamarł z przerażenia. Nie miał gdzie uciekać, toteż przywarł plecami do ściany i wciągając brzuch, prosił bogów, by tamci go nie spostrzegli.

– Dobry wieczór, panie Lentaku. – Usłyszał jednego ze strażników.

– Ekhm, ten tego. Dobry wieczór.

– Nie za późna pora na spacer? – spytał drugi przez ramię.

– Tak, no cóż... Mam problemy ze snem.

Szczyściem strażnicy nawet na niego nie spojrzeli. Przeszli powolnym krokiem przez uliczkę i zniknęli pomiędzy domami. Lentak westchnął głośno i migiem pospieszył w umówione miejsce. Po pewnym czasie stanął przy stercie beczek i czekał, kryjąc przy tym chęć wyrównania oddechu.

– Pssst... Lentaku... Pssst! Lentaku... Lentaku, głuchy dziadzie! – Dobiegło go z oddali.

– Cśśś, słyszę cię, Melmirze. Gdzie jesteś? – zapytał, konspiracyjnie bacząc na wszystko wokół.

– Tutaj, w zaułku.

– To podejdz, do kroćset! Po coś tam polazł? Tu się umówiliśmy, przy beczkach.

Z atramentowej ciemności wyłoniła się sylwetka.

– Tutaj się umówiliśmy, staruchu – powtórzył dosadnie Lentak, wskazując palcem czubki swych baletek. – Już nasz koncept bruździsz?!

– Idę, idę – rzekł z niechęcią w głosie czarodziej, wychodząc z alejki.

Na widok zbliżającego się towarzysza Lentak aż zadrzał.

– Coś ty przywdział na grzbiet swój cherlawy?! – ryknął z nerwów tak, że aż mu w płucach zarzęziło. Na wyłysiałym łbie wylazła żyła, jawnie dowodząc nadmiaru ciśnienia. Staruszek wsparł się o beczkę. – Na wszystkich bogów, do łaźni zmierzasz? W kapciach tu przylazłeś, jełopie? W bonzurce?

– To szlafrok, Lentaku. Nie drzyj się tak. – Emerytowany czarodziej poprawił pasek, przewiązując się mocniej w pasie. Czując zakłopotanie, strzepnął z ramienia kosmyk długich, siwych włosów.

– Do czarta, jak mamy okraść Lemosza z dobytku, jak organy chodu miętosisz w kapciach, a zapadłe ciało we frotowej bonzurce?! – wysyczał kompan, trzęsąc nerwowo bezzębną szczęką. Czuł, że wpada w histerię, ale machinalnie wyciszył się, gdy złodziejska maska opadła mu z czoła, zasłaniając oczy.

– To szlafrok.

– Jeszcze masz czelność się stawiać, ty wynędzniały magu?! – wyjęczał staruszek, poprawiając konspiratorskie przebranie. – Powiesz mi, do jasnego Świergota, dokąd idziesz? Bo chyba nie tam, gdzie ja!

– Uspokój nerwy. Ciśnienie ci skacze. Jeszcze raz się uniesiesz – Melmir palcem wskazał na żyłę – a coś ci tu pęknie. To magiczny szlafrok i magiczne kapcie.

– Magiczne... To ja jestem smokiem.

– Szlafrok ochroni mnie przed każdym ciosem miecza bądź sztyletu – Melmir z dumą w głosie schował dłonie w spranych rękawach szlafroka. – Kapcie natomiast zezwolą mi na bezdech.

– I ja mam dać wiarę, że posiadasz takie cacka?! – Lentak prawie podskoczył w złości. – Tyś nigdy nie miał różdżki błyskawic. Ba! Kamyka z magią nigdyś nie widział...

– Zdziwiłbyś się – obruszył się Melmir.

– Melmirze, przyznaj, Szajga za to odpowiada? – zapytał przyjaciel, tupiąc stopą rytmicznie o kamienny bruk uliczki.

– Eee, gdzie tam!

– Nie kłam. – Podparł się pod boki, przewiercając kamrata badawczym wzrokiem. Stopa w ciżemce jeszcze głośniej tuptała, wzbijając przy tym obłoczki kurzu.

– Nie kłamię! Przestań mnie strofować! To, żeś sam ubrany w złachany kaleson, spod którego prześwitują żyłaki, ropienie, czyraki i pozostała

zgraja syfów szkaradnych, nie znaczy, że kostium masz lepiej przystosowany do zuchwałej misji.

– Nie znaczy? Nie znaczy?! Według mnie kaleson i koszulinę mam wzorcowo dobrane, barwą, krojem i rodzajem! Jak przystało na rzezimieszka wysokiej klasy! A co do moich schorzeń skórnych, zwyrodnień kostnych i zaburzeń...

– Dobra, dobra, niechaj ci będzie – przerwał mu czarodziej, bezradnie rozkładając ręce. – Może i wyglądem odbiegam od schematu złodzieja, ale, do kroćset, rozważ, że nikt ma nas nie widzieć.

– W rzeczy samej – stwierdził po namyśle opryszek. – Ale aż dziw bierze, żeś szlafmocy nie przybrał.

– Przestaniesz?!

– Już przestaję... Masz pod tym przynajmniej majtki, czarodzieju wszechwładny?

– Wystawiasz na próbę moje wątle zdrowie! – krzyknął rozeźlony Melmir. – Mam, a chcesz sprawdzić?

– Tak tylko pytam... Nie powiesz mi chyba, że twe gacie nie mają jakiejś skrytej magii? A nuż chronią przed ogniem... bądź jakim innym srogim żywiołem.

– Coś mi się zdaje, że z podbitym okiem przyjdzie ci dalej...

– Zamkniecie mordy, plugawe pomioty?! – przez otwarte okno przeciwległej kamieniczki wydarł się nagle jakiś mężczyzna. – Z paniem koguta dwa miecze mam wykuć, a wy, staruchy, paplacie pod oknem?! Majtki czy kalesony tego dziada po prawej gównu mnie obchodzą! Wypierdalać mi stąd, moczydruty, w trymiga, bo niuchać wam przyjdzie zelówki mych kapci! Coś tam szepnął pod nosem, kudłaty?

– Nic – odparł speszony czarodziej, wlepiając wzrok w czubki swoich kapci.

– Zdaje się, że zdawkowo bąknąłeś jadaczką! Mylę się?!

– Może go zagadaj, Melmirze – wyszeptał cichcem włamywacz. – A ja wejść po tej ścianie i ukradkiem ciachnę psubrata.

– Daj spokój, Lentaku, on już śniadanie zdąży zjeść, a ty dalej będziesz wspinał się po ścianie...

– Co tam pytlujecie, stare pierniki?!

– Morda! Zamknąć gęby, do stu piorunów! – krzyknął kolejny mężczyzna z trzeciego okna po prawej. – Tutaj ludzie chcą spać!

– Yyy, to może my pójdziemy... – wtrącił Lentak uprzejmie. – Więc, panowie, spokojnej nocy życzymy...

– Nie krzycz na mnie, padalcu! – wrzasnął kowal do sąsiada z drugiego okna. – To te bęcwały robią cały raban!

– W tyłku mam, co robią! Wezwę straż, jak pysków nie stulicie!

Melmir z Lentakiem cichcem wyszli z zaułka.

– Mnie?! Strażą?!

– Ciszajta! – ryknął ktoś jakby zza grobu.

– A któż tak paję rozdziawia, do czarta?! – Kowal wychylił się tak, że prawie wypadł.

– Długi czas zamierzacie skrzeczeć rufami?! – powtórzył się ryk, tym razem ciut lżejszy, już rozpoznawalny, damski.

– Co? – zapytał ten z trzeciego okna po prawej. – To ty, szpetna babo? Wychył paszczękę, dzieci zawołam!

– Wcielona poruta jakże w używie mizdrzycie się, szelmy! – Babsko z ramieniem grubym jak kłęb rodnej klaczy wyjęło głowę przez lufcik.

– Co?! – kowala aż przytknęło.

– Dudlać nie myślę, a pużytki wam pogrulam i kanciozem kielce zrujnuję!

– Co?! Ramkon, kowalu, pojmujesz, co ten alochton woła?

– A kysz! – Kowal gwałtownie zamachał rękami. – Wracaj, poczwaro, pod swój stary piernat. Za młodu dość siem potworów nawidział. I przestań mi cedzić przez ząb osobliwe słowa! – dodał z całych sił. – Bo mam dziwne czucie, że mnie obrażasz!

– Nie drażnij mnie szczupą, niemyty capie, bo ci kluka...

– Zamknij się w końcu! – ryknął kowal, z powodzeniem zagłuszając dziwną mowę sąsiadki. – Zaraz, zaraz. A gdzie te staruchy? – wysapał po chwili.

Melmir z Lentakiem przebiegli parkową alejkę, cichcem minęli dworek Gramisza i dobiegli do posesji Lemosza. Kupiec, jako jedyny z mieszczan, posiadał wokół swej siedziby solidne, murowane ogrodzenie. Nawet sam kasztelan otoczył swój dom tylko lichym płotkiem, sięgającym raptem do kolan. Jasne było więc, że za tym murem mieszka ktoś naprawdę majątny. Brama wejściowa znajdowała się naprzeciw dworku kasztelana, więc dziadkowie postanowili wziąć szturmem posesję od tyłu, przez murek. Melmir był przekonany, że magia okaże mu się w tym przypadku niezbędną. Lentak wydawał się bardziej wysportowany i choć czarodziej nigdy by tego otwarcie nie przyznał, wiedział, że złodziej mógłby sam sobie poradzić, wspinając się po nierównościach ogrodzenia.

Melmir nie chciał pomocy przyjaciela. Był czarodziejem i czuł się w obowiązku przypomnieć Lentakowi, co to miano tak naprawdę oznacza. Z księgą byłoby mu łatwiej – w końcu wystarczyła najmniejsza pomyłka przy geście czy wypowiedanej formule, by czar zmienił swoje znaczenie, a w konsekwencji nawet i zabił wypowiedającego. Magia była nieprzewidywalna i niebezpieczna. Musiał więc skupić się i bez reszty oddać mocy danej mu przez bogów.

Uspokoił oddech i strzepnął dłońmi, jakby chciał się z nich pozbyć doskwierających trosk i kłopotów.

– Halasza mahana, kamana – syknął w zapamiętaniu.

Momentalnie poczuł, że czar się powiódł. Po plecach przeszedł mu przyjemny dreszcz, w koniuszkach palców wyczuł mrowienie, a na końcu języka pojawił się słodki, piżmowy posmak magii. Choć było to pierwsze rzucone dziś zaklęcie, Melmir już czuł zmęczenie. Liczył na to, że tej nocy nie będzie musiał zbyt dużo czarować.

Przyłgnął dłońmi do muru i zaczął się wspinać niczym pająk. Był dumny z siebie, że zapamiętał całą formułę. Z drugiej strony, ciężko byłoby ją zapomnieć, skoro umiejętność chodzenia po ścianach niezliczoną ilość razy pozwalała mu unikać warząchwi małżonki.

– Ciesz się moją umiejętnością, magu – wyszeptał sędziwy łotrzyk. – Ale racz jeszcze na mnie rzucić zaklęcie.

– Na kiego zbója? Czyś nie włamywacz? – odparł mag w pozie mało dostojnej, udowadniając, że nosi dziś gacie. – Bochen codzienny to chyba dla ciebie. Murku nie przejdiesz?

– Utrapienie z tobą, siwy gamoni! A przejdę, przejdę!

Minęła dłuższa chwila, kiedy to ciszę nocy przerwał lament złodzieja.

– Au! Au! Czekał, czekał... Nie dotykaj!

– Z wolna, Lentaku, rusz nogą.

– Nie mogę... Boli!

– Rozumiem... Hm ... Daj rękę.

– Ruszyć nie mogę... Że też musiało mnie w krzyżu strzelić... Auuu, auuu! Akurat na szczycie murku. Cholera...

– A spróbuj z lekka się obrócić. Jak przestaniesz obleśnie łyaskać powietrzem w niebo, to wtedy...

– Melmirze! – przerwał mu rozeźlony kompan. – Do jasnego Świergota! Dostyc... Auuu... Dostyc tego! Nie widzisz, kanalio, że cierpię męki?! – Dziadek, zwieszony z murku jak szmata przez sznurek, jął grozić pięściami.

– Niech ci pomór twarz całą pokryję... Auuu, nogi u dupy samej niech gniją. Dżuma, syfilis! Zaklęcia łamadze żal było rzucić. Czaruj mi teraz!

No, szybko! Zrób, bym był na dole! Na ziemi zwyczajnie! Tylko nic nie spieprz... Znany mi jesteś z fatalnych pomyłek.

– Cicho już bądź. Skupić się muszę... Niechaj pomyślę.

– Dalibóg, na to nigdy za późno. Nie lubię jednak, gdy przy mnie to czynisz.

Melmir wyszeptał parę zawitych słów. Coś poruszyło dziadem zwieszonym na murku. Spojrzeli na siebie i wtem...

– Melmirze! Melmirze! Coś mnie ku niebu ciągnie! Aaa!

– Przestań sprzeciwiać się mej magicznej woli! – zajadle wycedził towarzysz. – Lewitować mi masz, nikczemna kanalio!

Mag zacisnął pięść, jak gdyby pragnął w niej zawrzeć kompana.

– Ale ja nie chcę... Latać się boję... Aaa!

– Chwilowo gównu mnie to obchodzi! Czar wymówiłem! – Melmir gwałtownym ruchem zdjął kapeć i zaczął nim grozić. – Lentaku! Do stu piorunów! Zlatuj w tej chwili!

– Wiesz co? Już mnie nawet w krzyżu nie boli! – wystękał Lentak, trzymał się cegły na szczycie ogrodzenia.

Spocony mag starał się wzrokiem ściągnąć kamrata na ziemię. Lentak tymczasem, napięty jak struna, nadal wytrwale trzymał się murku.

– Złaż, powiadam! – przez zęby wycedził czarodziej w szlafroku.

– Już mnie nie boli, poważnie – wyjęczał zziajany dziadek. – Zbędna fatyga. Sam zejdem.

– Do stu grzmotów piekielnych! Przysięgam, jak stoję, zabiję! Ze skóry obedrę i zabiję!

Magiczna siła w końcu wzięła górę nad opierającym się ze wszystkich sił staruszką. Lentak puścił się ogrodzenia i powoli zaczął wznosić się ku niebu. Z początku jego lot zdawał się miarowy, bezpieczny, uważnie kontrolowany umysłem Melmira. Z czasem jednak coś szarpnęło

bezzębnym dziadkiem i nadało mu niebezpiecznego pędu. W chaotycznym locie Lentak okrążył dach kupca, zrobił kilka piruetów, niezgrabnych obrotów i nagle zatrzymał się. Na ziemi dało się słyszeć westchnienie ulgi. Trwało to jednak ułamek chwili, bowiem w tym momencie dziadyga z krzykiem na ustach wystrzelił jak z katapulty w kierunku gwiazd i zniknął. Przerażony Melmir popatrzył w ciemny nieboskłon, ale po przyjacielu nie było ani śladu.

– Lentaku? – spytał z przestraczem w głosie, jakby kolega schował się gdzieś za krzakiem. Odpowiedziała mu głucha cisza.

Czarodziej podrapał się po głowie, powtarzając pod nosem słowa zaklęcia. Nie był pewny, czy właściwie wymówił zaklęcie. Dłonie mu drżały, a łomoczące serce chciało wypaść z piersi. Minął czas przewlekłej zdrowaśki, a Lentaka nadal nie było widać. Melmir już myślał, czy lecieć za nim czy wołać o pomoc, kiedy wprost z nieba dobiegł rozdzierający świst. Czarodziej zmrużył oczy, próbując dostrzec kształt przyjaciela. Kościste ciało rozbójnika niespodziewanie szybko zbliżało się w kierunku maga. Melmir przytomnie wyszeptał magiczne słowo i w ostatniej chwili wyhamował upadek towarzysza. Lentak wylądował na trawie w pozycji siedzącej. Lot musiał odbić się na psychice staruszka, bowiem ten, pokryty kryształkami lodu, trząsł się z zimna i nieobecny wzrokiem wpatrywał w dal.

– Lentaku? – nieśmiało zaczął czarodziej. – Lentaczku?

– Nigdy więcej tego nie rób – powoli wycedził emerytowany złodziej.

– Kiedy ja tylko... – urwał, widząc płonące kotły Świergota w spojrzeniu kamrata.

Lentak szybko tajał.

– Nigdy więcej tego nie rób – powtórzył złodziej, gramoląc się z ziemi.

– Wybacz, ale sam chciałeś...

– Nie, nie. Nic nie mów. Po prostu ograbmy tego obwiesia.

Skradali się wybrukowaną ścieżką. Zdradzając pełne zawodowstwo w fachu włamywacza, starali się poruszać bezszelestnie i niezauważalnie. Melmir rozkaszał się, łapiąc zapewne jakieś przeziębienie, Lentak natomiast sapał i dyszał po niedawnych fruujących wożach.

– Mam nadzieję, że Lemosz naprawdę wyjechał na ten turnus – szepnął Melmir do idącego za nim kompana.

– Z pewnością – ten odpowiedział zdecydowanie. – Wystarczy spojrzeć na okna. Wszystkie świece pogażone.

– Nie pomyślałeś, że to przez późną porę? – spytał Melmir, odwracając się do złodzieja.

– Pomyślałem o...

– Lentaku... – wszedł mu w słowo Melmir.

– Nie przerywaj, jak mówię... I czemuś zwolnił kroku?

– Bo-bo-bo.

– Jakie znowu „bobo”?

Melmir zatrzymał się i wpatrywał w dwa rottweilery, idące w ślad za Lentakiem. Psy z sierścią czarną jak noc bezksiężycowa, pokazały kły, długie i ostre.

– Lentaku – szepnął ponownie.

– No co? Mam coś na sobie?

Psy poczęły warczeć.

– Uspokójże się! Gapisz się na mnie jak na nieboszczyka! No czemu wargą ruszasz, Melmirze? Co rzec chciałbyś? Gadaj w końcu!

Psy zaszczekały donośnie.

Lentak zastygł w bezruchu niczym monolit.

– Melmirze? – zwrócił się do kumpla po cichu.

– Tak, Lentaku? – piskliwie odezwał się czarodziej.

– Czy za mną stoi pies?

– Tak, Lentaku.

– Wygląda groźnie?

– Dwa są. – Czarodziejowi pot pociekł z czoła. – Kapie im z ryjów śluz obrzydliwy... Sierść jeżą.

Psy znowu szczeknęły.

– I kły srogo szczerzą – dodał, przełykając ślinę.

– Czyli jest groźnie – rzeczowo stwierdził złodziej, któremu nawet powieka nie drgnęła.

– Rzekłbym: śmiertelnie groźnie.

– Wyjmę sztylecik – powiedział Lentak, powoli sięgając dłonią za kaftan.

Pies zawarczał.

– On chyba nie chce, abyś to robił.

Lentak zastygł. Palcami prawie łechtął rękojeść broni.

– Chwyć tylko troszeczkę pewniej – pocieszył się na głos.

Pies szczeknął głośniej.

– On chyba naprawdę namawia cię, abyś zaniechał tego, co czynisz.

Dziadek nie usłuchał i sięgnął po sztylet. Zbyt późno. Pies doskoczył, wbijając pazury w kościste plecy starca. Tamten wziął zamach, na oślep tnąc nożem. Ostrze zraniło nie psa, a Melmira. Siknęło posoką. Siwy czarodziej chwycił się za ramię. Krzyknął i odskoczył w bok. Nie zdążył nawet przyjrzeć się ranie, kiedy dostrzegł, że drugi pies biegnie prosto na niego. W umyśle począł wertować zaklęcia. Już miał na końcu języka słowa, ale bał się, by z przekleństwem któregoś nie zmieszać. Gdy pies wyskoczył ku niemu, krzyknął wreszcie tajemne słowa. Rottweiler zdążył go przewrócić, jednak z zębisk już nie skorzystał. Magiczna siła zaczęła targać wnętrzościami zwierza. Zaskowyczał z bólu i gwałtownie wierzgnął łbem. Począł się powiększać, przytłaczając swą masą siwego czarodzieja. Melmir zrozumiał, że coś wyrzekł niewłaściwie. W panice zaczął

przypominać sobie stronice magicznej księgi. Tracił oddech pod cielskiem bestii, do tego ciężko było ułożyć dłoń w pożądanym geście, ale spróbował. Wystękał dwa słowa i w mig się zorientował, że znów źle coś uczynił. „Nie jest dobrze” – pomyślał, widząc płonący taboret, który ze świstem spadał z gwieździstego nieba.

Drugi rottweiler zawzięcie tarosił leżącego na ziemi Lentaka. Z pyska zwierza kapła ślina na łysinę starca. Dziadkowi znowu coś chrupało w łopatce. Rozbójnik napiął mięśnie ramion, przemilczał ból i jeszcze raz sztyletem pociągnął. Pies cicho zakwilił. Lentak, nie zastanawiając się ani chwili dłużej, powtórnie zadał cios. I jeszcze raz. Gdy poczuł juchę na ręce, rzucił z siebie truchło i wstał zziajany. Dostrzegł, że rottweiler, który chwilę temu doskoczył do Melmira, przewyższał rozmiarami krawosadzkiego rumaka. Lentak myślał, że oba psy były jednakowej wielkości, ale widocznie coś mu się przewidziało. Z uznaniem pokiwał głową, słysząc zajadłe przekleństwa kolegi. Nie czekając dłużej, postanowił pomóc kamratowi. Ścisnął w bezzębnej szczęce sztylet, by tak uzbrojony wykonać skok na grzbiet potwora, lecz broń wypadła mu z ust. Nie zdążył jej podnieść, kiedy z nieba runął płonący taboret, śmiertelnie raniąc monstrualne zwierzę.

– Melmirze? – spytał zdjęty trwogą złodziejaszek.

Spod czarnego cielska, które tliło się jeszcze nikłym płomieniem, wystawały tylko kapcie kompana.

– Melmirze? – powtórzył. – Nic ci nie jest?

Czarodziej nie bez trudu wyczołgał się spod martwego potwora. Wstał skołowany, strzepnął przybrudzony szlafrok, wygładził włosy i uświadamiając sobie, co właśnie przeżył, wydarł się do przyjaciela:

- Jest mi, jest! Sztyletem żeś mnie ciachnął, bałwanie! Spójrz, jaka rana!
- Podstawił Lentakowi pod nos krwawiącą rękę i przecięty rękaw szlafroka.
- Czy przypadkiem twój ubiór nie miał być magiczny? Ochronny jakiś...

– Przestań już.

– Miał chronić przed mieczem bądź sztyletem. Jakoś tak mówiłeś... idioto skończony!

– Cśśś, nie krzycz. – Mag przykucnął i wzdrygnął się. – Już mi przechodzi... Patrz, prawie nie krwawi.

– A ja uwierzyłem w te magiczne pierdoły! Ty durniu jeden! Czemuś nie powiedział, że to sprawka Szajgi?! Ten szlafrok cały i zasrane kapcie!

– No, cicho już, cicho. Wyczuła, chimera, że w nocy wybieram się z tobą. Szafę mi zamknęła i iść zakazała... Dobrze, że głęboko zasnęła, bo wtedy cichcem się...

Lentak ruchem ręki uciszył kompana.

– Przez szacunek dla ciebie – rzekł zażenowany – nie skomentuję tego.

– Mówię ci, Lentaku. Ta baba to istny czart przyzwany jakimś potężnym zaklęciem. Pomyśli o tym, o czym ja dopiero za chwilę... Ech, w ogóle szkoda gadać, w poprzednim wcieleniu musiałem być ogromnym grzesznikiem.

– W następnym będziesz prawil, że strasznym idiotą.

– Co?

– Nic, Melmirze. – Starzec machnął ręką. – Chodź, w skarbcu Lemosza odbijmy sobie te wszystkie cierpienia.

Dom kupca był okazały, piętrowy, zbudowany z kamieni niesionych przez rzekę. U wejścia tkwiły dwa wymyślne filary podtrzymujące zgrabny balkonik.

Dziadek poprawił złodziejską maskę i pochylił się nad zamkiem od drzwi.

– Cholera – zaklął pod nosem. – Zamki, psubraty, już inne rychtują. To nie to, co dawniej, poczciwy Melmirze. Solidnie zastygły metal z otworem szerokim na knykcia rosłego młokosa... Zapadka, zębatka, dwie śruby, sprężyna... Ach, to były czasy.

Starzec, nie przestając dłubać szpikulcem w zapadce, wyjął z ukrytej kieszonki obciążki i sprawnie pracując obiema rękami, napierał z lekka na solidne drzwi z dębu.

– Ani drgną, cholery – wystękał. – Takie te dziurki teraz robią małe... Klamki nawet jakieś takie... Przyświeć mi tutaj, Melmirze, jaką kulką światła.

Odpowiedziała mu głucha cisza.

– Melmirze, do cholery! Przyświeć mi tu... Melmirze?... – Lentak rozejrzał się. – Melmirze?! Gdzieś...

– Tutaj jestem – wysapał czarodziej, wychodząc zza krzaka. – Po wodę poszedłem.

– Przestań się pałętać i chodź przyświecić mi trochę.

– Dobrze, że studnia była w pobliżu. Prawiem zapomniał, że czas na znachorski specyfik.

Lentak z irytacją popatrzył na maga.

– Medykamenty z zalecenia Trewiasza. Mam je brać sześć razy na...

– Niezmiernie niepokoi mnie i ciekawi stan twojego zdrowia, Melmirze – przerwał mu z rozdrażnieniem w głosie złodziej. – Ale błagam, pomóż mi teraz przy zamku.

– Co mam robić?

– Stwórz światło jakieś. Klamki nie widzę, a co dopiero dziurki.

Czarodziej z zakłopotaniem przełknął ślinę. Bał się, że nie pamięta czaru rozświetlającego. Wolał jednak zaryzykować niż dać kamratowi pożywkę do drwini urągania. Podumał chwilę, po głowie się podrapał i stawiając wszystko na jedną kartę, wyciągnął dłoń przed siebie, licząc, że uda się nad nią stworzyć jaśniejący ognek.

– Selen hadasa. – Po dwóch krótkich słowach istny jupiter grzmotnął z księżycą. Potężna jasność skąpała zgarbionych dziadków.

– Żeś chyba kapkę przesadził! – wściekle wysyczał złodziej, oświetlony jasnością na łeb bijącą królewski halogen portu Gelmeta.

– He – bąknął zdębiały czarodziej. – Że ja tak potrafię?

Mrużąc powieki, spojrzął w niebo, skąd wystrzelił promień. Potem popatrzył na własne palce i znowu na promień.

– Wyłącz to łajno! – Chudy w opasce podskoczył ze złości. – Wyłącz w tej chwili! Za morzem widzą pewnikiem tę łunę! Zgaś to cholerstwo, bo umrę ze stresu!

Melmir, jak w transie, dalej spoglądał to na palce, to na promień, to znowu na palce.

– Melmirze, otrząśnij się w końcu! Zrób coś!

– Tak, tak, Lentaku. – Czarodziej szybko wypowiedział kolejne zaklęcie, potem kolejne i jeszcze jedno. Słowo jakieś poprawił, dodał sylabę, dwa gesty odjął. Po szybkiej zdrowaśce łuna zanikła, za to przy drzwiach pojawił się mały ognik.

Lentak i mag popatrzyli na odrzwia, na zamek, na siebie, jeszcze raz na odrzwia. Złodziejowi jakby uszy opadły, a Melmirowi szczęka trząść się poczęła.

Pierwszy nie wytrzymał mag, ale starając się zachować spokój i opanowanie, zaczął powoli dobierać słowa.

– Lentaku, powiedz mi, mój drogi. Czyś ty zwyczajnie niezdolny jest myśleć? Czemu nie mówisz, że wraz z włosami twój łeb stracił coś jeszcze? Czy ja zgwałciłem, do kurwy nędzy, rodzinę bogów, żem pokarany chimera Szajgą i bezmózgim Lentakiem? Wpychasz szpikulec w skrzynkę na listy? To niby żart jakiś?! Figiel?

Lentak nic nie rzekł. W głowie mu huczało, a w oczach czuł napływające łzy świętego oburzenia.

Melmir natomiast, po rzuceniu okiem na otwartą skrzynkę na listy, zamarł w bezruchu. Uczucie wzburzenia i irytacji ulotniło się w jednej

chwili, a zastąpiła je gorejąca, niepohamowana euforia. Jak piorunem trzaśnięty chwycił ramię złodzieja, bo czuł, że zaraz się przewróci.

– Nie wierzę – powiedział w końcu na głos i sięgnął drżącą dłonią do otwartej skrzyneczki. – Nie wierzę!

– Co się stało, Melmirze? – spytał zaniepokojony Lentak.

– Gazeta – wyjęczał mag, wyjmując prasę ze skrzynki.

– No widzę. Gazeta. Czy jasność z księżycy skrzywdziła ci ciemność?

– Spójrz na nagłówek...

– No, co z nim? „Kurier Krawosadzki” adresowany do kupca Lemosza.

– Wiary dać nie mogę...

– Czekaj. – Lentak przeniósł wzrok niżej. – Są tu napisane numery lotka... Nie chcesz chyba mi rzec...

– Właśnie chcę, Lentaku – rzekł Melmir z rosnącym podnieceniem w głosie. Trzęsącą się ręką wyjął z kieszeni szlafroka papierek. Jął czytać i porównywać z tekstem w gazecie.

– Czy te numery...

– Tak! – krzyknął Melmir. – Tak! Tak! Tak! Wygrałem! Wyyygraaaaleem!

– Melmirze! Jesteśmy bogaci! – Rzezimieszek podskoczył tak raźnie, że znowu w krzyżu coś mu chrupnęło.

Mag, dumnie dzierżąc gazetę, wybiegł przed dom Lemosza.

– Chodź, Lentaku! Nie będziemy okradać mieszczuchów, kiedy sakwy mamy pełne!

Dziadkowie sprintem przebiegli ogród. Uskrzydleni wizją bogactwa, w mig przeleźli przez mur i pobiegli wybrukowaną ścieżką w kierunku centrum miasta.

Melmir z hukiem otworzył drzwi domu, wraz z przyjacielem przekroczył próg i krzyknął z przedsionka:

– Wstawaj, Szajgo! Jesteśmy...

Z pokoju sypialnianego wyskoczyła tęga babina. Wcale nie była zaspana. Na sobie miała nocną koszulę, a na siwej głowie tuzin pozwijanych wałków. Z tą osobliwą fryzurą i z gromami błyskającymi z oczu wyglądała jak sługus mrocznego Świergota.

– Ty kłamco! Ty szubrawcu jeden! – ryknęła z wściekłością w głosie. – Ty obwiesiu! Z tym pętakiem się łajdaczysz?! Ja ci...

– Serce, kochanie... Pamiętaj, żeś po...

– Te puste łby poobijam!

– Pozwól, że wytłumaczę. – Melmir pokazał w uśmiechu rząd zębów, po czym gwałtownie zamachał gazetką. – Bo widzę, żeś nie spała, gołąbku.

– Zawrzyj tę szelmowską, starą, głupią paję! – Szajga podniosła oparty o ścianę pogrzebacz. – Prosiłam! Błagałam! – Powoli zbliżała się do dwójki dziadków.

– Cichaj, kobieto! – wykrzyczał cherlawy Lentak zza pleców kamrata. – Mówisz do bogaczy! – Pomachał kościstą piąstką nad ramieniem maga.

– Pewnie kogoś...

– Cichaj, powiadam! – ponownie udzielił się przyjaciel Melmira.

– Dziękuję, Lentaku, za czynny udział w kłótni – wysyczał Melmir. – Ale to ja stoję z frontu, patrząc na pogrzebacz.

– Po pierwsze, wywal tego dziada, Melmirze, bo...

– Szajgo... – spróbował wtrącić mąż.

– ...bo zabiję was obu...

– Wygrałem w lotka! – ryknął czarodziej, widząc, że małżonka robi już zamach.

– Co?! – Zmieszana kobieta wstrzymała rękę.

– Wygrałem w lotka! Spójrz, tu mam gazetę z wynikami.

Szajga wzrokiem otaksowała męża, gazetę, potem znowu męża.

– Melmirze, powiedz mi, kiedy wyniki zostaną podane na placu?

– No pojutrze – rzekł z dumą w głosie.

– Dobrze, a czemu ta gazeta ogłasza je już dziś? Pomyśl. Nie musisz się spieszyć.

Sprinterem dedukcji okazał się Lentak.

– To ja już pójdę – szepnął i uczynił krok ku drzwiom wyjściowym.

– Ta gazeta jest sprzed tygodnia? – zapytał Melmir, wolniej łącząc fakty.

Szajga pewnie chwyciła pogrzebacz. Lentak nie czekał na rozwój wydarzeń i chyżo wybiegł z mieszkania.

– Melmirze, chodu! – ryknął, ile sił w płucach.

Babina wyskoczyła za parą staruszków. Nie zdążyła krzyknąć, kiedy ciszę nocną zagłuszył huk otwieranego okna. Mieszkający naprzeciwko młynarz wystawił łeb koloru dojrzałej wiśni.

– Zamkniecie mordy, plugawe pomioty?! – krzyknął rozwścieczony. – Jak można spać przy takim jazgocie?! Czy chcecie jutro kupić bochen chleba?!

– Przestań się drzeć, pijany psubracie! – wydarł się zaspany i wściekły kolejny sąsiad.

– Nie podnoś na mnie głosu, hultaju!

– Morda! Straż zaraz wezwę! – wrzasnął ktoś inny.

Szajga nie zwracała uwagi na sąsiedzkie kłótnie. Dostrzegła, jak zziązani dziadkowie wbiegli w uliczkę targową, więc migiem pospieszyła za nimi. Spostrzegła Melmira, kiedy mijał fontannę. Ściągnęła kaptur, wzięła zamach i z nienawiścią w oczach cisnęła nim z całej siły. Chybiła o pół łokcia. Ściągnęła drugiego i migiem powtórzyła rzut. Trafiała małżonka w plecy. Ten jednak, przerażony nie na żarty, dalej dotrzymywał tempa Lentakowi. Szajga obiecała sobie nie przepuścić tego krnąbrnym staruchom. Pewnie ścisnęła w dłoni pogrzebacz i nie bacząc na niedogodności, bosy rzuciła się za nimi w pogoń. W świetle księżyca

można było tylko dostrzec błysk pogrzebacza i wałki, spadające z długich, falistych, siwych włosów kobiety.



Alford przez cały dzień się zamartwiał. Dlaczego Aliwia nie przyjechała? Wszak liścik wyraźnie mówił, że ukochana pojawi się w południe. Już rano odwołał prawie wszystkie korepetycje, rezygnując nawet z szermierki i konnej jazdy. Uczestniczył jedynie w rzucie oszczepem, bo bawił go widok wieśniaka biegającego z tarczą na plecach. Rozkojarzony, zaniechał nawet i tego zajęcia. Gdy płomień Sanosa chylił się ze szczytu nieba, nerwowym krokiem przemierzał swoją komnatę. Nie skosztował nawet obiadu, coraz bardziej przeżywając nieobecność Aliwii.

W czasie, gdy słońce kryło się za horyzontem, powiedział sobie dosyć. Postanowił wybrać się do klasztoru bogoboja i żądać widzenia z Aliwią. Alford był człowiekiem czynu, więc od razu przeszedł do działania. Zdając sobie sprawę, że staranną toaletę czynił już w południe, postanowił na chybcika przygotować się na widzenie z ukochaną.

Zagotował w kociołku wrzątek i przelał go do balii z zimną wodą. Wsypał garść płatków róż, by ciało nabrało ładnego zapachu, oraz kilka łydąg rumianku dla ukojenia nerwów. Odczekał chwilę, aby woda przeszła wonią ziół, rozebrał się, zostawiając na piersi tylko wisiorek – podarek od Aliwii – i wszedł do kadzi. Sięgnął po jeden z kociołków, które stały w rzędzie nieopodal. Ujął z niego dwie słuszne garści rybiego łoju zmieszanego z popiołem i wtarł go w swoje ciało. Kwas garbarski z kolejnego garnca wylał na siebie i nie szczędząc się ni trochę, zaczął okładać plecy, pierś i kończyny wierzbową witką. Czując, że potraktował się nazbyt energicznie, zanurkował, by obolałe ciało ukoił rumianek. Zdając sobie sprawę, że nie ma czasu na przyjemności, szparko sięgnął po kolejny kocioł. Wyjął z niego kłaczę mydlnicy, przełamał na pół i jął nim pocierać bujną blond czuprynę. Nagle poderwał się na równe nogi i przeklinając w duchu swoją bezmyślność, wyskoczył z balii jak poparzony. Sięgnął do

szuflady po kamienny móżdziej, wsypał do niego garść obranych kasztanów, dodał ługu, płatki rozmarynu i zaczął wszystko ucierać. Zdyszany, wskoczył na powrót do wody, a przygotowaną masę uważnie nałożył na włosy. Opłukał się, uważając, by roztwór nie napłynął do ust, wszak miesiąc temu tydzień przez to wymiotował, ani na głowę, by nie odbarwił się pszeniczny kolor włosów. Na koniec wtarł pod pachy wyłowione z wody płatki kwiatów.

Wyszedł z balii, wytarł się lnianą chustą i podbiegł do niewielkiej etażerki. Prędko sięgnął po szkatułę i licząc się z brakiem czasu, wsypał na siennik stos puzderek i flakoników. Sięgnął po biel ołowiową, by nieco rozjaśnić cerę, następnie wywarem z kory dębowej nadał błysk krzaczastym brwiom, sokiem z buraków ożywił kolor policzków, a oczy zakropił atropiną z wilczej jagody. W mig się zreflektował, iż zamiast tej ostatniej ingrediencji użył wywar z łoju i nagietka, ale było za późno – pół Nogradu zostało przeszyte zwierzęcym rykiem boleści wojmiła. Darł się tak niemożebnie, że krzyk rodzącej dwa domy dalej Moniszki, córki piekarza, wydawał się przy tym zwykłym pochlipywaniem.

Zdając sobie sprawę, że wszystko to robi z myślą o Aliwii, zagryzł wargi i choć oczu nie mógł otworzyć, kontynuował pielęgnacyjne zabiegi. Do ust wsypał słuszną garść sody, zalał ją płukanką z szaławii i po krótkiej zdrowaśce ją patykiem tarmosić uzębienie. Włożył do ubytku w zębie kawałek czosnku, ufając w jego bakteriobójcze właściwości, spryskał ciało rumieniem i skierował się w stronę wyjścia.

Szedł po omacku, wierząc, że ból oczu zaraz przejdzie i choć czuł metaliczny posmak krwi na ustach, to był przekonany, że to tylko zajad.

W połowie schodów poczuł chłód, który w nad wyraz przyjemny sposób smagał jego ciało. Zorientował się, że jest nagi, jednak nie zdążył zrobić nawet kroku, kiedy doszedł do niego obcy, piskliwy wrzask.

– Przestań się drzeć! – Usłyszał głos ojca. – To tylko mój syn! Wyraźnie spotkało go coś przykrego.

– Ta-tata? – jęknął Alford.

– Kto ci głębę obił, synku? – czule zapytał Gramisz. – I dlaczego nie jesteś ubrany? Gościa mamy. Nie wypada przecie nago paradować.

Alford jak z procy wystrzelił do swojego pokoju. Przywdział skórzane spodnie i białą koszulę, która momentalnie została przyozdobiona plamami krwi kapiącej z oczu. Następnie założył wysokie buty i ostatni krzyk mody – kolczugę krawosadzką ze ściągaczem w pasie.

Po omacku uchylił kufer i wyjął z niego sztylet, miecz oraz kuszę z bełtami. Ojciec zawsze przypominał, aby nie nosić broni naładowanej, jednak wojmił wiedział, że lepiej być przygotowanym. Wszak jechał walczyć o swoją wybrankę. A liczyć musiał się z tym, że może mu stanąć na drodze szwadron zakonników Kumara. Ułożył bełt w łożu, korbą naciągnął łuczysko i tak przygotowaną kuszę założył na plecy. Zdenerwowany szybkim upływem czasu, naprędce sprawdził zapięcie pasa od miecza, po czym wyszedł z komnaty.

Wrócił się znowu, po omacku doszedł do stołu, na którym stał masywny kandelabr i zdmuchnął świece, mając w pamięci wieczne biadolenie ojca na oburzające wydatki za światło. Poczul nikły zapach spalenizny, jednak zaaferowany myślą o ratowaniu ukochanej chyżo dobiegł do schodów.

Podróż dopiero miała się zacząć, a Alford już popatrzył śmierci w oczy, źle oceniając wysokość stopni. Postawił stopę nazbyt daleko, w efekcie czego niemal natychmiast jego podbródek spotkał się z poręczą schodów. Jęknął z bólu, jednak ten natychmiast zdał się mniej istotny w obliczu faktu, że w gdryce wojownika utknął kawałek czosnku z ubytku w zębie. Przyduszony nie na żarty wojmił przeokoziółkował pełne cztery stopnie i cudem unikając ostrza własnego miecza, uderzył czołem w okienny parapet. Szczęście w nieszczęściu, że cios ten zgasił płomień na jego grzywce oraz wybił czosnek z grdyki. Zdawało się nawet, że Alford dostał od bogów chwilę wytchnienia, bowiem jał się gibać to w jedną stronę, to w drugą. Ostatecznie potwierdził słuszność oceny miernej, którą dostał

z balansu szermierza, i przy wtórze zwalnianej cięciwy kuszy runął na twardą, dębową podłogę.

Pomimo groźnego upadku wstał chyżo. Chciał sprawdzić rynsztunek, czy wszystko jest na swoim miejscu, jednak ktoś tak niemiłosierne darł gębę, że ciężko było nawet zebrać myśli.

– Oj, przestań się mazgać. – Usłyszał głos ojca, przebijający się ponad wrzawą. – Przecie grot ledwie zagłębił ci się w plecach!

Wojmił starał się nie zwracać uwagi na otoczenie, choć słyszał krzyki nieznanego nieszczęśnika, do tego ojciec biadolił coś niezrozumiale o pomocy przy pantomimie. Alford, nie bacząc na nic, wybiegł z domu, szczęśliwie trafiając w wyjście. Po drodze potraktował go srodze płotek grodzący zasadzone kwiaty, sznurek na pranie i niewłaściwie położone grabie. Układając w myślach plan uduszenia pacholka, dopadł drzwi stajennych.

– Na rany Peruna! – Usłyszał krzyk stajennego. – Cóż ci się, panie, stało?!

– Nie czas na dyskusje, Oszunie – wysapał Alford, ledwie łapiąc oddech. – Siodłaj mi rumaka. Najlepiej Rubina, bo przede mną długa i forsowna przeprawa.

– Ale przecież z tym trzeba do znachora! – krzyknął stajenny, zobaczywszy w pełnym świetle oblicze Alforda.

– Siodłaj, powiadam. Już mi przechodzi!

Po krótkiej chwili wojmił wskoczył na konia. Rubin był jego ulubionym rumakiem. Przejechał na nim dwieście mil z okładem. Na samym owsie, bez żadnych domieszek. W Nogradzie trudno było o lepszego wierzchowca.

– Pomóż mi wyjechać ze stajni – poprosił, nie tracąc ni krzty dumy w głosie.

– Służę. Ale zezwól, panie, poczekać chwilę, a ja przyniosę ci szmatkę nasączoną tymiankiem. Pomaga ponoć na podrażnione oczy.

Alford nie chciał tracić ani chwili dłużej. Chwycił za uzdę i ruszył z kopyta. Miał w pamięci układ ulic, więc migiem skierował się do bramy grodu. Uzda zdawała się jakby przykrótka, więc pochylił się, klnąc w duchu na bezmyślność Oszuna. Koń poważnie dusił się i podejrzliwie charczał, wojmił nie chciał jednak zawracać. Obiecał sobie, że gdy tylko upewni się, iż z Aliwią wszystko w porządku, każe wybatożyć stajennego za złe wypełnianie obowiązków.

Pewny, że miasto zostawił daleko za sobą, szturchnął rumaka ostrogami, by zaczął kłusować. Co prawda koń nadal charczał, lecz wojmił wierzył, że postój za dwie, trzy zdrowaśki ożywi zwierzę. Pochylił się jeszcze głębiej nad szyją konia, chcąc skosztować szumu wiatru, ale ten wydawał się bardzo słaby. Wiedział, że trakt biegnie po łagodnym łuku, a że sam koń na pewno nie skręci w knieję, powinien więc, z pomocą Peruna, zajechać do klasztoru jeszcze przed świtaniem. Po dłuższej chwili zadał sobie pytanie, dlaczego tak naprawdę nie czuł ruchu powietrza. Wszak wiatr powinien smagać po twarzy i torsie. Już sobie wmawiał, że pewnie wieje siarczyście w plecy, niwelując tym samym przewiew od frontu, kiedy to stwierdził, że i z siodłem działo się coś dziwnego. „Nie podskakuje, nie podryguje – rzeczowo analizował Alford. – No i dlaczegoż, u czarta, koń tak się dusi?”. Z zamyślenia wyrwał go nieśmiały głos stajennego:

– Panie?

– Tak? – spieszył się Alford.

– Dusisz konia.

– Naturalnie... Przygotowuję go przed ciężką przeprawą.

– Rozumiem... Pozwól, że odwinę mu lejce z gardła.

– Pozwalam.

Oszun popuścił uprząż, po czym odwiązał ją od belki.

– Proszę to wziąć. Szmataka tymianku, jak obiecałem, ukoji ból i trochę pomoże.

– No cóż, nie prosiłem o nią, ale dziękuję. – Alford wziął małą chustkę i przetarł oblicze. Na efekt nie musiał długo czekać. Oczy co prawda nadal płonęły żarem, ale zdołał dostrzec, jakby przez mgłę, gwiazdzone niebo i domostwa Nogradu.

Pocieszony względnym komfortem widzenia, pociągnął uzdę konia. W szybkim tempie wyjechał z miasta i przeszedł w galop, kierując się do ukochanej. Na niebie majaczył rogal księżyca, wraz z rozsypanymi gwiazdami rozjaśniając trakt. Po krótkim czasie wojmił zdał sobie sprawę, że jest jednak nazbyt późno. Zdecydował się zatem jechać skrótami i ryzykując spotkanie z borowym dziadem, skierował rumaka w Krawosadzki Las. Droga była nierówna i zarośnięta, ale młodzieniec wiedział, że po trzech–czterech klepsydrach powinien być już na miejscu. Nocną porą nietrudno było jednak zboczyć z kursu. W dodatku nadal nie widział wyraźnie, toteż zwolnił, bacznie lustrując otoczenie. Musiało być już po szczycie nocy, kiedy wjechał na niewielką polanę. Ucieszył się, bowiem wiedział, że takowa istotnie znajduje się na leśnej ścieżce. Polanę przecinała rzeka, która swe źródło miała w Gromiszowych Górach, potem biegła na zachód od Nogradu, kluczyła Krawosadzki Lasem, by opływając klasztor Kumara, zmierzać daleko na północ. Alford ucieszył się na jej widok, bo wystarczyło teraz jechać wzdłuż nurtu, by szybko dotrzeć do siedziby bogoboja. Wiedział, że już niedaleko do ukochanej.

Ni stąd, ni zowąd dostrzegł w oddali stado saren, a było ich bez mała tuzin. Pewny, że ma przywidzenia, przetarł oczy. Zwierzęta nadal tam stały.

W Alfordzie odezwał się duch myśliwego. Co prawda utrudnieniem była chwilowa dolegliwość wzrokowa, jednak grzechem śmiertelnym byłoby choć jednego strzału nie oddać. „Celność w takich właśnie chwilach się ćwiczy” – pomyślał wojmił. I mając w pamięci słowa korepetytora: „Chcesz trafić zwierza, celuj w środek stada”, przygotował się do przeprowadzenia ataku.

Alford bardzo lubił łowiectwo, chociaż rzadko kiedy udawało mu się cokolwiek upolować. Niby miał na koncie kilka zajęcy i małego lisa, ale trudno było mu się pochwalić większym trofeum. Co prawda dwie wiosny temu zdołał trafić rączego rumaka, ale że było to zwierzę, na którym sam wówczas siedział, nie obnosił się wątpliwym sukcesem pośród innych łowców.

W pierwszej kolejności wyrównał oddech. Cichaczem ściągnął z pleców kuszę, sprawdził ułożenie bełtu i zdając sobie sprawę, że nikt go nie widzi, przełożył jedną nogę przez siodło. Wierzył, że w damskiej pozycji łatwiej mu będzie oddać strzał z grzbietu rumaka.

Nagle usłyszał niepokojący, świszczący dźwięk. Dochodził chyba znad rzeki. Skupiony młodzieniec błyskawicznie odwrócił się w tamtym kierunku i wycelował kuszą w nieznane. Sarny postawiły uszy i również wyczekująco popatrzyły w stronę wody. W rzece nikogo jednak nie było. Wojmił wzruszył ramionami i z powrotem zwrócił się ku stadu. Serce mu zamarło, gdy spostrzegł, że w łożu kuszy brakuje bełtu. Poczł się dziwnie. Dreszcze przebiegły po całym ciele, podbrzusze zapiekło, jakby ktoś przyłożył do niego rozpalony płomień. Do tego ręce niemiłosiernie zadrżały. Mocno wstrząsnął głową, przeczuwając, że w grę musi wchodzić magia. Nie pozwolił, by opanował go strach, nałożył kolejny bełt, wycelował w pośpiechu i oddał strzał. Świst grotu przeciął nocną ciszę. Ku niedowierzaniu samego Alforda pocisk wbił się w bok jednego ze zwierząt. Wszystkie się rozpierzchły, lecz trafiona sarna padła na ziemię. Dumny wojmił z powrotem założył kuszę na plecy i podjechał do martwego zwierza. Zeskoczył z siodła i przyjrzał się zdobyczy. To był jelen. Leżał w kałuży krwi, która nieprzerwanie sączyła się z podbrzusza. Alford obejrzał niezbyt rozłożyste poroże. Wiedział, że byłaby to pamiątka i niezbitý dowód potwierdzający jego opowieść. Kiedy schylił się, by ocenić wielkość poroża, z zamyślenia wyrwał go zachrypnięty głos:

– Nawet go nie dotykaj, morderco!

Alford obrócił się. Kilka kroków dalej stał sędziwy mąż. Wojmił wysilił zmęczony wzrok i dostrzegł, że przybysz ubrany jest w szatę koloru ciemnej kory drzewa. Dłonie chował w szerokich rękawach, a na głowę narzucony miał kaptur. Alford od razu domyślił się, że to borowy dziad. Co prawda nigdy takiego nie spotkał, ale nasłuchiwał się o nich wystarczająco dużo. Chowali się po lasach i głosili, że przyroda jest bogiem. Jeśli wierzyć miejscowym bajaranom, najbardziej dawali ludziom w kość za czasów dziadka Gramisza. Gdy ten karczował lasy, by uczynić trakt łatwiej przejezdnym, ponoć bez opamiętania czynili zamieszki i burdy. Wydawało się oczywistym, że byli zmorą i utrapieniem dla nogradzkiego grodu, a może i całego królestwa.

– Odejdź i głowy mi nie zawracaj, dziadku borowy – wycedził przez zęby Alford.

– Wcześniej chciałbym udzielić ci nauk – uprzejmie rzekł sędziwy dziadyga – byś na przyszłość dwa razy pomyślał, nim z broni skorzystasz.

– Oszczędź wysiłków i nie gwałć mnie słowem – zdenerwował się wojmił. – Nikomu krzywdy nie wyrządziłem.

– Przecież chwilę temu ustrześliłeś sarnę.

– W rzeczy samej, chwalić mnie powinienes.

– Młody panie! – Dziadek wymierzył palec w Alforda. – Nie godzi się strzelać do zwierza, skoro...

– Widzę, że zmuszonym cię o coś poprosić – wszedł mu w słowo wojmił.

– A czynność tę, zdaj sobie sprawę, musiałem ostatnio wykonać dobrych siedemnaście lat temu. – Toć, paniczu, na kredyt parę zim klepałeś!

– Nie drybluj mnie błędną rachubą, dziadu! – krzyknął młodzieniec w złości. – Trzy lata wtedy liczyłem. W grodzie nikt mnie wtedy nie przewinał, bo mamci się zmarło i przyszło mi prosić...

Starzec uciszył młodego wojownika gestem ręki.

– Zgaduję, że sprawy nikt się nie podjął – zaczął uprzejmie. – Wydalina ostała się w gaciach i oparami rzutuje po dziś dzień na twój pomysłupek, jak i obyczajność, którymi, miarkuję, grzeszysz niczym duchowni z klasztoru Peruna pierzynowymi igraszkami.

– Przecie oni w celibacie – stwierdził zmieszany Alford.

– Pomyślże chwilę, capie kudłaty. Uciechy nawet nie dasz staremu z wykwintnej obrazy?

– Nazwałeś mnie capem? – Alford wsparł dłoń na rękojeści miecza.

– Może – odparł staruszek. – Tu na polanie straszny rezonans. Ja sam ledwie słyszę. Zmierzam jednak do rzeczy. Zabiłeś jelenia.

– Powtarzasz się.

– Muszę. Po wyglądzie mi ciebie osądzać, tudzież wymawiając każdy wyraz powoli, próbuję się przebić przez mgławicę wspomnianych wcześniej oparów, co zaćmiewają twój czerep. Chcę ci klarownie objaśnić, żeś źle dziś uczynił.

– Znów mam wrażenie, jakbyś mnie obraził – rzekł wojmił, drapiąc się po głowie. – W jakimś dziwnym narzeczu przemawiasz.

– Mniejsza o mowę. Istotą problemu jest fakt, że nie czujesz winy po tym morderstwie.

– Ten znowu swoje. To matka twa była? Chcesz, bym w grodzie opowiedział o tym spotkaniu? Papcia mojego to knieja i jego zwierzęta, a skoro i ty tu mieszkasz i zdobisz mu ściółkę, to i ty jego. Pojmujesz?

– Widzę, że grzecznością nic tu nie wskóram...

– Dlaczego w ogóle ja z tobą gadam? – przerwał mu nie na żarty rozdrażniony młodzian. – Spieszno mi, więc padnij na kolana i cwałuj pod świętą sosnę bądź do bram Perunowych i dziękuj, że Alford z Nogradu oszczędził ci życie.

Wojmił pochylił się nad leżącym jeleniem.

– Jam stary, a tyś głupi! – krzyknął starzec. – Przysięgam na wszystko, że jeśli go tkniesz, zapcham ci gębę torfem i szyszkami.

– Dość tego, pierdzielu! – wydarł się Alford, czując, jak krew się w nim gotuje. Dobył miecza i zmierzył wściekłym wzrokiem pyskatego starucha. – Pojmij, zem wyszkolony w walce i o łeb cię zaraz skrócę!

– Nie śliń się, chłopcze, bo kolczugi twej szkoda – ojcowskim tonem poradził staruszek, chowając dłonie w szerokie rękawy.

– Zabiję! Przysięgam, jakem waleczny!

– Uf, to jużem spokojny.

– Trzy lata temu pierwszy łeb z karku strąciłem! – krzyknął Alford, odrzucając włosy do tyłu, by piękną falą opadły na barczyste plecy.

– I kim był ten nieszczęśnik? Sarną? Królikiem?

– Myśl, co chcesz! – zachnął się Alford, unosząc miecz w kierunku nieba. – Zaraz doświadczysz grozy mojej stali!

– Mieczyk zaiste ładnie wykuty, damski model jelca, główńia smukła niczym kibić.

– Dość tego, leśniaku! – Wojmił ruszył z mieczem na starca.

– Plecy prosto! – wydarł się dziadek tonem szkoleniowca. – Jak pracuje nadgarstek, bęcwale?!

Wojmił instynktownie wyprostował się, dłonią pewniej ucisnął rękojeść broni.

– Tak lepiej – pochwalił młodego wojownika leśny człowiek. – Chód krzyżowy! Zaskoczyć mnie musisz... I nie podnoś główńi!

– Zamknij się wreszcie! – nie wytrzymał Alford, będąc już dwa susy przed dziadkiem. – Zamknij się, słyszysz?! Jak mam ci łeb strącić?

– Mam nie przeszkadzać? A zwykle ktoś trzyma i knebluje twych oponentów?

– Po prostu się zamknij! – wycharczał młokos, plując wokoło.

– Twoja kolczuga.

– Co z nią?

– Opluta śliną.

– Nie zdzierzę – wycedził przez zęby wojmił. – Nie zdzierzę... Ja przecież... Ja, kurw... No po prostu...

– Zaciąłeś się, chłopcze? Atakuj wreszcie... Plecy prosto!

Wojmiłowi puściły nerwy i z szaleńczym krzykiem rzucił się na leśniaka. Klingą machnął na oślep. Dziadek się cofnął. Młodzieniec machnął raz jeszcze, używając zwołu kręconego. Ostrze przecięło powietrze o długość palca przed twarzą staruszka. Ten nie zwlekał dłużej. Szepnął kilka słów, zieleń jakimś rzucił i jak na komendę pnącze zaczęło oplatać wojmiła. Alford próbował przeciwstawić się magicznym gałęziom. Machał mieczem na wszystkie strony, jednak zduszony gęstwina, runął na ziemię. Spętany, nie mógł się ruszyć, do tego przejmujący ból podbrzusza znowu o sobie przypomniął. Wojmił chciał krzyczeć, ale czuł, że nie ma na to siły. Tracił przytomność. Wpółzywy, zdążył zauważyć gorejący płomień, który wystrzelił w jego kierunku borowy dziadek. W chwilę potem otoczyła go ciemność.



taruszkowie biegli niczym jurne młokosy. Płuca niemal im rozsadzało, a kości trzeszczały niczym suche gałęzie, jednak myśl o pogrzebaczku w tęgiej ręce Szajgi dodawała im nadludzkiej sprawności fizycznej. Mimo wszystko po dłuższym czasie kluczenia uliczkami wyraźnie zmęczony czarodziej zwolnił kroku.

– Poczekaj na mnie! – krzyknął zdyszany.

– Poczekam przy bramach Świergota, gdy dorwie mnie twoje babsko! – syknął rzezimieszek, przebijając chudymi jak trzcina nogami.

– Kiedy ja już nie dam rady – sapnął za nim czarodziej.

– Daj z siebie wszystko i bierz ze mnie przykład! – krzyknął przez ramię złodziej.

Po chwili jednak i Lentak poczuł palący ból w klatce piersiowej. Wbiegł w parkową alejkę i wsparł się o drzewo dębu.

– Cóż za bieg – rzekł, z trudem łapiąc oddech. – Dobrze, że robiłem dziś pompki.

Melmir ostatkiem sił podszedł do złodzieja i ciężko usiadł na trawie.

– Jestem skończony – westchnął, chowając spoconą twarz w dłonie.

– Odwagi, druhu – pocieszył go Lentak.

– Odwagi?! – Melmir ze złością popatrzył na towarzysza. – Przecież ja już jestem martwy!

– Gdzie tam. Wrócisz do niej za dzień czy dwa. W małżeństwie... – Lentak nie wytrzymał spojrzenia kamrata. – No, może tydzień? Rozumiem. No cóż.

– Wyobraź sobie, że Szajga to nie jedyny problem. Pewnikiem jak mnie dzisiaj nie złapie, to napisze do swojej mamci. A ona, uwierz na słowo, jest za pan brat z samym Świergotem.

– To ona jeszcze włóczy się po tym padole? Na wiatry Witrosa! – wzburzył się przyjaciel. – Powinna już być solidnie trącona dwukółką czasu!

– No to wyobraź sobie, że ta francowata dwukółka jeszcze jej nie rozjechała – oznajmił Melmir z ubolewaniem.

– Jest niebezpieczna?

– Jędza mnie szantażuje od dnia zaślubin. Niby babina, ale słyszałem, że łamie podkowy.

– Czyli jest groźna.

– Też mi pocieszenie.

Melmir, nagle ożywiony, wstał z ziemi.

– Muszę uciekać za mury miasta – wypalił podniecony. – Wyjadę od razu. Za granicami księstwa będę za pięć dni. Potem przez morze. Zejdzie gdzieś z tydzień. Do Rygani dopłynę. Tam zmienię wygląd.

– Czemu nie płeć od razu?

Melmir zamyślił się, a oczy zapłonęły mu nadzieją.

– Tak, racja – stwierdził po namyśle. – Kamuflaż doskonały. – Uniósł palec wskazujący i jął nim podrygiwać w takt obmyślanego naprędce planu. – Wytrzymam z rok. Może dwa. Gdy sprawa ucichnie...

– Och, przestań bzdurzyć – przerwał mu Lentak. – I jak chcesz przeżyć? Co będziesz robił? Gdzie się podziejiesz?

– Słyszałem o pewnym wojowniku z Habsani. Rozwalał ponoć skrzynie i beczki. Rupieci rzekomo znajdował w nich od groma. Sprzedawał je i, jak wieść niesie, dorobił się niewyobrażalnej fortuny.

Lentak kłapnął bezzębną szczęką.

– I ty wierzysz w te karczemne bajeczki? – spytał, zdumiony naiwnością kompana.

– Muszę w coś wierzyć – zawył bezradnie Melmir. – Jestem w takich tarapatach, że...

– Ale jakich tarapatach? – wszedł mu w słowo zirytowany złodziej. – Weź kilka wdechów i uspokój schorowane serce. Rozjątrzona babina zaraz wróci do domu. Pozłości się na nas, a jutro już będzie cię tęsknie wypatrywać. Mamci też nie naśle na ciebie.

– Lentaku, ty nie znasz tej obmierzłej baby.

– Bo ja ci tyle razy powtarzałem! – zdenerwował się łysy staruszek. – Nigdy nie noś magicznego artefaktu silniejszego od siebie...

– Wiem, wiem. Ani się nie żęń z babą większą od siebie – dokończył czarodziej.

– To czemu nie słuchałeś mądrych słów kawalera?!

– Cóż mogłem począć, jak serce wybrało?

– Coś musiało wybrać, skoro we łbie próżnia.

– Przestań na mnie naskakiwać i powiedz lepiej, jaki masz plan! Bo tak po prawdzie... – Melmir wymierzył oskarżycielsko palec w kompana – ...to przez ciebie jestem teraz w niebezpieczeństwie!

– Przeze mnie?! – Lentak był tak wzburzony, że z nerwów opadła mu na nos konspiracyjna opaska. Migiem ją poprawił i wskazał ruchem ręki gazetę wystającą z kieszeni szlafroka. – Ja jej tym machałem przed nosem?! To ty, imbecyłu...

– Tu nie chodzi o lotka! – Czarodziejowi aż oczy zapłonęły z wściekłości. – Ty wymyśliłeś ten rabunek i ty teraz mnie z tego wyciągnij!

– Czekaj, czekaj – próbował uspokoić wzburzonego kompana Lentak. – Nerwy na nic się tutaj nie zdadzą. A jakbyś tak czar jakiś rzucił?

– Nic mi do głowy nie przychodzi – rzekł z rezygnacją w głosie Melmir. – W ogóle czuję, że magia już bardzo mnie osłabiła. Bałbym się nawet wyczarować kwiatka.

– Właśnie – podekscytował się Lentak. – Kupmy jej kwiaty!

Czarodziej popatrzył na kompana z niedowierzaniem.

– Dużo kwiatów! – krzyknął, siląc się na uzewnętrznienie udawanej euforii.

– Przestań, proszę cię. Chyba tylko po to, by mi je na kurhanie złożyć.

– No cóż. – Rzezimieszek podrapał się po łysej głowie. – Szajga na pewno wróciła już do domu – stwierdził rzeczowo. – W tym momencie może i lepiej nie rozdrażniać jej naszą obecnością.

– Co ty nie powiesz.

– Niedługo ranek. Przeczekajmy ze trzy klepsydry – zaproponował. – A z pianiem koguta wyślemy do niej kogoś, kto ułagodzi jej nerwy.

– Ale kogo? – spytał przygnębiony towarzysz. – Zdajesz sobie sprawę, że posłaniec może to przypłacić życiem? Opowiadałem ci, jaką Szajga ma warząchew?

– Tak, tak, słyszałem. – Lentak się zamyślił. – To musi być ktoś pewny, wygadany. Ktoś, kto poznał kawał świata i z niejednego pieca chleb jadł. Ktoś, kto... Może Wasog? – wypalił podekscytowany.

– Eee, no nie wiem. Ona to raczej nie przepada za tym pijakiem.

– Ależ czemu od razu pijakiem – rzekł zraniony do żywego staruszek. – Człowiek sumienny, zasłużony medalista. Niech idzie do niej. Ba, dla podkreślenia wagi jego słów, poprosimy, by wziął ze sobą order i trofea. Na pewno wstawi się za nami.

– No sam nie wiem. Jemu w dodatku z gęby tak jakoś nieufnie...

– Padnij, Melmirze, padnij! – wskoczył mu w słowo poruszony kompan. – Twoje babsko! – Palcem wskazał w kierunku zabudowań. – Tam, przy beczkach.

– Bogowie, jużem martwy – wyjęczał Melmir, kryjąc się w pośpiechu za drzewem.

Lentak padł jak długi na trawę i podczołgał się na skraj wzniesienia. Mrużąc z wściekłości oczy, jął relacjonować palące wydarzenia:

– Z pogrzebaczem niemota łązi. Szepnij jeno słowo, a ja ją od tyłu cichaczem...

– Cichaczem to ty wiesz, co se możesz – syknął przez zęby czarodziej. – A i przy tym działaniu zalecałbym ostrożność. Wziąłem na kark to brzemię i mam zamiar nadal je dźwigać... Choć może jeszcze nie dzisiaj.

– Twoja wola. Ale przyznać trzeba, że wytrzymała bydlę. Czwarta litania mija, a ta nadal łązi z tym żelaznym ustrojstwem. Czym ty ją karmisz?

– Eee tam. Sama sobie posiłki rychtuje.

– No, babsko masz bitne – rzekł z podziwem Lentak. – W łozu też taka krewka? Bo może to tłumaczyłoby twój ożenek z nią.

– A co cię to obchodzi, stary wszeteczniku?! – huknął zza drzewa czarodziej.

Wystraszony Lentak momentalnie pochylił głowę.

– Nie drzyj się, durniu. Twoja szantrapa patrzy tutaj.

– Na wyleniałe pachy Świergota – zaklął nie na żarty długowłose dziadek. – Faktycznie, idzie.

– W nogi! – ryknął Lentak, po czym, nie czekając nawet na odzew, zerwał się do ucieczki.

W ślad za nim poszedł czarodziej. Słyszeli złorzeczenia babiny, ale nie bacząc na nic, migiem przebiegli przez park i na powrót utonęli w uliczkach Nogradu. Dziadkowie jakby złapali drugi oddech, bo czasy osiągnęli porównywalne z królewskimi kurierami.

Zdyszani, dobiegli do placu. Nerwowo zaczęli rozglądać się po okolicy. Gdzie uciekać, u kogo szukać ratunku?

Zdecydowali się wbiec w najciemniejszą alejkę. Kluczyli pomiędzy rozstawionymi furmankami i rozwieszonymi sznurami z praniem. Oboje

zadawali sobie w duchu pytanie, czy Szajga biegnie za nimi, jednak żaden nie miał odwagi się odwrócić.

Lentak przytomnie odbił w prawo. Melmir w ślad za nim. Dobrze jeszcze rozpędu nie nabrali na nowym odcinku, kiedy czarodziej potknął się i padł jak długi. Brukowana uliczka srodze potraktowała jego kościste ciało. Krzywiąc się z bólu, spojrzął za siebie i dostrzegł leżącą na środku drogi rozbitą doniczkę. Przeklął w myślach służby porządkowe i zaczął gramolić się z ziemi. Czuł uporczywy ból w kolanach, szczękę mu rozsadało, a płuca pękały z zadyszki. Pomimo to zebrał się w sobie i wstał ociężale. Musiał dogonić łysego starucha. Wszak to już była sprawa honoru. Zdawało mu się, że pamięta dobrze zakłęcie głębszego oddechu. Co prawda czuł zmęczenie, ale gotów był podjąć ryzyko. Skrzyżował w pośpiechu palce, przykucnął nieco i szepnął pod nosem pokrętne słowo. Od razu zdał sobie sprawę, że wyraz wymówił niewyraźnie. Nie zdążył doświadczyć konsekwencji omyłkowo wypowiedzianego zaklęcia, kiedy jego uwagę przykuł leżący na bruku ząb. Do oczu Melmira napłynęły łzy, a serce prawie rozpadło się z żalu. Uświadomił sobie, że musiał go sobie wybić, gdy upadł na ziemię. Wtem poczuł, że w piersi zachodzą zmiany. Niepokojące zmiany. Przerażony spostrzegł jak z frontu nabiera kobiecych, krągłych kształtów. W histerii chwycił się za głowę. Nie wiedział, jak długo zakłęcie będzie działać. Gdy czar wymawiał, myślał, by oddechu starczyło przynajmniej do świtu. Już miał wszystkiego serdecznie dosyć, chciał wycić i targać w szale włosy, gdy oczami wyobraźni ujrzał stalowy pogrzebacz małżonki. Panika wzięła górę. Nie bacząc na zgubionego kapcia ani obfite piersi, pospieszył z trudem przed siebie.

Lentak nie oglądał się na przyjaciela. Przekonany, że tamten dotrzymuje mu kroku, przebierał kościstymi nogami i szukał ratunku w mijanych gospodarstwach. Co jakiś czas sprawdzał drzwi domostw, jednak jak na złość nogradczycy zamykali je bardzo sumiennie.

W oddali dostrzegł wóz solidnej konstrukcji. Drewniane obicia wzmocnione były stalą i nitami. Co prawda wóz stał przy posiadłości samego Gramisza, stróża porządku całego grodu, jednak nikogo w pobliżu nie było, a drzwi do wozu były uchylone, jakby zapraszały do wnętrza.

– Melmirze, za mną! – krzyknął, po czym, nie zastanawiając się ni chwili dłużej, wskoczył do środka.

Drzwi zamknęły się za nim, ale dziadek nawet tym się nie przejął. Wiedział, że w każdej chwili będzie mógł skorzystać ze swych mistrzowskich wytrychów. Problemem, który go strapił o wiele bardziej, była nieobecność czarodzieja. Lentak przyłgnął do małego otworu w drzwiczkach i zaczął rozglądać się za przyjacielem.

– Gdzież polazł ten obwieś kudłaty? – mruknął pod nosem z wściekłością.

Lentak był dumny ze znalezionej kryjówki – pod nosem samego Gramisza. Szajga mogłaby ich szukać w nieskończoność, a i tak nigdy by nie wpadła na ten chytry fortel. Cóż jednak z tego, skoro Melmir zaginał. Rzezimieszek próbował wypatrzeć go pośród ciemnych alejek.

– Gdzie on się podziewa? – zastanawiał się na głos.

Wreszcie, ku radości Lentaka, Melmir wyszedł z uliczki. Słaniał się na nogach. Miał rozczochrane włosy, brudny szlafrok i...

– Cycki? – jęknął na głos skołowany staruszek. – Łachudra jednak wymyślił sobie kamuflaż.

Nagle uwagę leciwego złodzieja przykuł wóz, który niespodziewanie wyjechał z przeciwnej uliczki. Lentak dostrzegł, że woźnica ubrany był w togę z jaskrawym emblematem samego Peruna. Mnich podjechał do długowłosego czarodzieja, chyżo zeskoczył z kozła i ni stąd, ni zowąd zarzucił na niego drelichowy worek.

– Po cóż ten gałgan spowiedź zamawiał! – syknął Lentak przez szparę w bezzębnych ustach.

W tym momencie spostrzegł, że czarodziej wyraźnie się opiera. Krzyczał, ale w istocie seplenił tak niewyraźnie, że ciężko było cokolwiek usłyszeć. Wtem kapłan Peruna zdzielił Melmira w łeb i nieprzytomnego wrzucił do wozu. Rozzłoszczony Lentak wsparł się całym ciężarem na drzwiach wozu, jednak te ani drgnęły. Przyszło mu tylko obserwować, jak mnich zamyka drzwiczki furmanki i po chwili niknie w mroku nogradzkiej ulicy.

– O co tu chodzi? – głośno pomyślał przejęty staruszek.

Wiedział, że Szajga nie mogła tak szybko wezwać posiłków. Poza tym, co mieli do tego mnisi bogoboja? Po co porywać niedołężnego starucha? I czemuż, do diaska, urosły mu cycki? Lentak zdał sobie sprawę, że nic nie wymyśli, a odpowiedzi powinien szukać w klasztorze samego Kumara.

W pośpiechu obmyślił plan. Ukradnie rączego rumaka, wszak przed laty był wyborowym jeźdźcem, i uda się w pościg za tajemniczym mnichem. W pierwszej kolejności będzie musiał jednak wyjść z tej przeklętej klatki. Na szczęście, poza imponującymi zdolnościami jeździeckimi, potrafił otworzyć każdy zamek. Zdjął z ramienia torbę i wysypał na podłogę złodziejskie instrumentarium. Wziął do ręki uniwersalny wytrych, wygodnie usiadł i... zamarł. Zdjęty przerażeniem spostrzegł, że drzwiczki nie mają zamka. Spanikowany, zaczął uważnie przyglądać się całej konstrukcji. Było ciemno, jednak pomagając sobie opuszkami palców, powinien już dawno natrafić na jakiegokolwiek zamknięcie. Nie było jednak żadnej kłódki, zasuwki czy choćby nawet głupiego rygla. W końcu, po dłuższym czasie żmudnych poszukiwań, padł wycieńczony na podłogę i zasnął. Nawet rzenie koni i wyraźne podskakiwanie wozu na wybojach nie przebudziło starego rozbójnika.



Gramisz tępo wpatrywał się w martwą pszczołę, która leżała na drewnianym blacie stołu. Obśliniona, poobgryzana, nie miała prawa przeżyć. Przeniósł wzrok na Jodyga. Siedział na krześle i wspierając głowę o kominek, ciężko chrapał. Raz po raz wstrząsały nim nerwowe drgawki, a ręce konwulsyjnie podrygiwały, jakby próbowały od kogoś się odpędzić. Z początku Gramisz miał wrażenie, że i ten chłopak nie ma prawa przeżyć. Na szczęście jego stan się poprawił.

Zakonnik miał wybite dwa zęby, podbite oko i posiniaczoną szczękę. Z poparzonej piersi już nie ulatniał się dym, a ranione bełtem plecy były zabandażowane i w końcu przestały krwawić. Wizerunek cierpiętника wydawał się tym bardziej godny ubolewania, że jego twarz była nienaturalnie spuchnięta od ukłuc pszczelim żądłem.

„Najważniejsze, że metoda poskutkowała” – rozmyślał Gramisz, wpatrując się w udręczone ciało chłopaka. Kasztelan wiedział, że włożenie pszczoły w usta jąkały zawsze skutkuje. Żałował nawet, że skorzystał z niej tak późno. Kasztelan był dumny z odwagi tego młodzieńca. W duchu życzył sobie więcej tak przykładnych obywateli, oddanych sprawie i honorowych, którzy nie bacząc na krzywdy ani niedogodności, starają się ze wszystkich sił donieść o przestępstwie.

„Kumar winny” – te dwa słowa Jodyg zdołał wykrzyknąć dzięki ingerencji owada. Wniosek był prosty. Jakiegoś wykroczenia dopuścił się sam Kumar.

Z początku Gramisz złorzeczył na Alforda, który pojechał nie wiadomo dokąd. W istocie właśnie na wojmile spoczywał obowiązek pilnowania porządku. To on powinien dbać o wizerunek zarządcy w segmencie naruszeń prawa. I choć Gramisz wierzył, że Alford kiedyś w końcu dorośnie i na poważnie zainteresuje się sprawami miasta, przeczuwał, że może to i lepiej, iż sprawą bogoboja zajmie się osobiście.

Kasztelan był uprzedzony do Kumara. Pierwszy raz miał z nim na pieńku przeszło sześć wiosen temu, kiedy to po całym Nogradzie zakonnik rozwiesił pergaminy nawołujące do wysłuchiwania bogobojnych morałów. Służby porządkowe okrążyły tydzień sprzątały krzykliwe afisze szalonego kaznodziei. Rok później doszło do poważniejszego wykroczenia. Kumar pobił do nieprzytomności czarodzieja, który publicznie bluźnił i przeklinał Peruna za dar czarowania. Ostatecznie oskarżenie, z niewiadomych przyczyn, zostało wycofane, a bogobój uniknął lochu. Po tym incydencie zakonnik jakby się uspokoił, ale pogłoski o osobliwych praktykach Kumara bez przerwy docierały do nogradzkiego włodarza. Głodzenie się w imię Peruna, przysięga milczenia czy ostatnio – rozdawanie płacideł. Nikt o zdrowych zmysłach nie czyni takich dziwactw. Nawet w imię najświętszych bogów.

Tak naprawdę, Gramisz nieraz już zastanawiał się, skąd w Kumarze zrodziła się taka zaciętość w szerzeniu wiary. Miał ciężkie przeżycia, w końcu jako dziecko był świadkiem spłonięcia matki we własnej chacie, ale czy to mogło wpłynąć aż w takim stopniu na postawę Kumara? Dlaczego bez reszty oddał się bogom? Wszak jego matka traktowała nauki Peruna podobnie jak większość mieszczan – z powściągliwością. Gdy w Nogradzie, w miejscu dzisiejszego ratusza, stała przed laty świątynia, owszem, uczęszczała z dziećmi na nabożeństwa, ale wybiórczo, bez żadnych znamion fanatyzmu. Tym bardziej postępowanie bogoboja było dla Gramisza niezrozumiałe.

Kasztelan wyjrzał przez okno. Brakowało jeszcze przewlekłej litanii, by na niebie zapłonęła boska pochodnia Sanosa. Był zmęczony i myślał, czy się nie położyć, ale przetarł oczy i ociężale wstał od stołu.

W końcu młody zakonnik doniósł mu o przestępstwie. Gramisz chciał być wzorowym zarządcą i wiedział, że nie było co zwlekać. Trzeba udać się do bogoboja i wybadać sprawę.

Kasztelan strzepnął z czarnej brody resztki kaszy i podszedł do szafy. Wyjmując podróżne odzienie, zaczął rozmyślać nad karą dla bogoboja. W końcu w Nogradzie rzadko kiedy działo się coś szczególnego, nie mówiąc już o jakichkolwiek przestępstwach, których ostatnimi czasy było jak na lekarstwo. Lochy stały puste, kat podpisywał tylko umowę o dzieło, a strażników dzielnicowych kasztelan zwalniał ostatnio nagminnie. Przewinienie bogoboja mogło się okazać czymś poważniejszym. Gramisz już zacierał ręce na myśl o aresztowaniu. W końcu był człowiekiem czynu. Przed laty dowodził oddziałami ojca. Wówczas jedna wojna toczyła się po drugiej. Przywykł do działania, a panujący od lat marazm i wszechobecna monotonia nużyły go okrutnie. Cieszył się, że w końcu coś się dzieje.

„Kto wie, może Kumar zasztyletował jakiegoś zakonnika?” – rozmyślał. A może bogobój okaże się obłąkanym zabójcą, który w podłodze swojej komnaty trzyma poćwiartowane ciała ofiar? Ani chybi, Kumara czekałoby wówczas ścięcie... A Gramisza odznaczenie medalem stróża porządku. Kto wie, może i doczekałby się pochwał od samego króla? Kasztelan machnął ręką na te pobożne życzenia. Wolał odegnać płonne myśli o laurach za wzorcowe rządy. Musiał trzeźwo działać. Nie było czasu na fantazjowanie. Wciągnął na grzbiet koszulę, włożył spodnie i usiadł na drewnianym pieńku, by wzuć skórzane buty. Czuł w kościach pięćdziesiąt wiosen żywota. Nie poruszał się już jak przed laty. Duży brzuch przeszkadzał mu przy skłonach, a rozedma płuc, której nabawił się, wdychając za młodu duże ilości dymu z łożowych pochodni, wywoływała uciążliwą zadyszkę.

Znowu wpatrzył się w okno, a jego głowę zaprzątnęły obawy, jak też mógłby podjąć króla w swym mizernym dworku. I choć przyłapał się na tym, że co chwila błądzi gdzieś myślami, zamiast rwać się do działania jak przed laty, dał się ponieść wątpliwościom tyczącym samego monarchy. Wszak był to dystyngowany jegomość. Nie wypadało przed takim postawić na stole glinianej michy z kaszanką. Gdyby Gramisz zainwestował w nowy dębowy stół, a kucharzowi zlecił upieczenie dzika, z pewnością zrobiłby na

władcy lepsze wrażenie. Kto wie, jakie łaski spłynęłyby wówczas na Nograd, choć z drugiej strony król cieszył się sławą koszmarne sknery. Nie na darmo poddani nazywali go Bębniem – samwszak nieraz z obłudą wykręcał się, że jego skarbiec jest pusty jak ten dudniący instrument. Niemniej jednak właściwie ugoszczony, mógłby wspomóc prężnie rozwijające się miasteczko. Gramiszowi marzył się gród z monitoringiem. Specjalnie tresowane papugi, rozstawione na słupach po mieście, robiłyby raban, gdyby tylko dostrzegły jakieś przewinienie. Wtedy dopiero mógłby się szczycić wzorową miejsciną. Kasztelan nieraz zastanawiał się, czy ludzie aby nie bali się zgłaszać wojmiłowi kradzieży oraz ewentualnych rozbojów. Może byli szantażowani przez jakieś zorganizowane szajki? A to wszystko pod sem nieświadomego włodarza. Bez wątplenia ochronny system papug rozwiąłby raz na zawsze wątpliwości zarządcy.

Gramisz przytomnie sobie uświadomił, że nie będzie żadnego monitoringu ani medali, jeśli nie aresztuje bogoboja Kumara. Spojrzał na swoje zakurzone buty i przetarte tu i ówdzie spodnie. Skoro przed nim aresztowanie ważnej osoby i zbliżająca się ponad wszelką wątpliwość chwała zdecydował zmienić odzienie. Uchylił kufer stojący przy szafie i wyjął ceremonialny ubiór. Ostatnio miał go na sobie przeszło dwadzieścia lat temu, kiedy księżę krawosadzki nadał osadzie miano grodu.

Kreacja i dziś wspaniale wyglądała. Bordowy kaftan z granatowymi obszyciami miał bufoniaste naramienniki, które podkreślały budowę potężnych ramion kasztelana. Spodnie, utrzymane w podobnej barwie, były wąskie przy łydkach i miały wplecione jelito w obszycie paska. Jak się okazało, dziś Gramisz dziękował za ten ciągły flak w pasie, bo gdyby spodnie miały guziki, w życiu by ich teraz nie zapiął. Sapiąc nie na żarty, sięgnął po kaftan. Gdy go zakładał, kłął w myślach na dodatkową micę kaszy, którą zjadł chwilę temu. Ostatecznie udało mu się jednak zapiąć kaftan po samą szyję. Co prawda haftki były napięte na obłym brzuszysku do granic możliwości, a jelito w pasie spodni skrzypiało przy każdym

ruchu, mimo to Gramisz czuł, że wygląda dostojnie. Z niekłamaną trudnością schylił się po bordowe cholewki. Obszyte błyszczącą nicią niejednego dandysa by oczarowały. Założył je, zaciskając z boleści zęby. Poprzysiągł sobie, że postara się jak najmniej chodzić, a najlepiej będzie przemawiał z siedziska wozu.

Z dna kufra wyjął kapelusz, zwieńczenie stroju nobliwego możnowładcy. Nakrycie głowy było niewielkie, bordowe, z ledwie zauważalnym rondem. Marszczony materiał dodawał lekkości nakryciu, a bujne pawie pióro, wyrastające z boku, nadawało wysublimowanej gracji. Tak wystrojony, minął chrapiącego zakonnika, wyszedł z domu i skierował się w stronę stajen. Spodnie nieco piły w kroku, buty uciskały, a kaftan przeszkadzał w swobodnym oddechu. Nie bacząc jednak na niedogodności, dziarsko kroczył przed siebie, chwiejąc się przy tym na boki. Cieszył się w głębi serca, że wreszcie skorzysta z więziennego wozu. Pojazd zbyt długo stał niewykorzystany na podwórzu. Kasztelan chwilę myślał, czy zabrać jakiegoś zbrojnego, ale stwierdził, że to mogłoby umniejszyć jego zasługi. Wolał, aby nikt nie miał wątpliwości co do jego odwagi i sprawnie przeprowadzonego aresztowania.

Zatrzymał się przed zamkniętymi podwojami przybudówki i zaczął walić w nie pięściami. Oddychał przy tym miarowo, bo czuł, że przy większym wysiłku haftka na brzuchu mogłaby pęknąć.

Po krótkiej chwili w progu stanął zaspany Oszun.

– Nie sędzę, by kasztelan był zainteresowany wynajęciem błazna – rzekł, przeciągle przy tym ziewając.

– Co? – nie dosłyszał Gramisz.

– Nie sędzę, by... Bogowie! – zreflektował się stajenny. – Pa... panie, cóż się stało? Król do nas jedzie?

– Prawie – rzekł z dumą w głosie Gramisz. – Zaprzęgaj wóz więzienny.

– Ten z podwórza? – spytał sługa z niepewnością w głosie.

– Oczywiście, że ten z podwórza – zirytował się kasztelan. – Mamy jakiś inny?

– No nie.

– Więc uwijaj się, ale migiem! Jadę aresztować bogoboja.

Stajenny, słysząc służbowy ton kasztelana, nawet nie myślał pytać, czym zawinił zwierzchnik klasztoru. Znikł w stajni i zaczął przygotowywać konie do wyprawy.

Kasztelan wrócił z powrotem do domu. Żał mu było budzić mnicha, bo chłopak wiele wycierpiał, ale Gramisz potrzebował go w roli świadka i oskarżyciela. Wszak nadal nie wiedział, jakiego przestępstwa dopuścił się Kumar. Wszedł do izby i szturchnął chłopaka w ramię. Zakonnik dalej chrapał w najlepsze.

– Wstawaj, synu! – ryknął.

Mnich otworzył oczy i natychmiast schował twarz w dłonie. Dostrzegając jednak promieniujące oblicze z aureolą przybraną w pióra, pokłonił się i czekał na sąd ostateczny.

– Och, dajże spokój. To ja! Tyle że wystrojony.

– Pa-pa-pa.

– Cicho, cicho. Obaj wiemy, że ci to nie wychodzi.

Zakonnik, jakby zląkniony, nie wiedział, czy czekać na rozwój wydarzeń, czy może ratować się ucieczką.

– Wstań... No, nie bój się. Jedziemy do klasztoru.

Ku zdziwieniu Gramisza na obitej gębie mnicha można było dostrzec ulgę i niepojętą radość.

Pozostawił bez komentarza spostrzeżenie, licząc się z tym, że może nawet i to będzie musiał wykorzystać przy śledztwie. Obiecał sobie, że okaże się niezwykle czujny i nic nie umknie jego uwadze.

Świtało, gdy wyjeżdżali z Nogradu. Kasztelan czuł narastającą radość na myśl o aresztowaniu dekady. Co chwila wyobrażał sobie, jak oskarżycielskim gestem wskaże złoczyńcę. Jak wrzuci go do więziennego wozu i z dumnie wypiętą piersią wjedzie przez bramę grodu. Błogie rozmyślenia przerywało mu tylko uporczywe burczenie wydobywające się z wnętrza pojazdu. Złorzeczył, bo konstrukcja nowa, dziesięciu lat jeszcze nie miała, a już wydawała dźwięki, jakby w jej wnętrzu chrapał wymęczony życiem staruch.



Alford długo czekał na ten pocałunek. Serce dudniło w jego piersi jak oszalałe, a krew wrzała z pożądania. Usta Aliwii były miękkie, wilgotne, a jej smukły język, niby w nieśmiałym geście, powoli wsuwał się między gorejące z żądry wargi Alforda.

Wojmił, tracąc kontrolę nad swymi emocjami, zaczął wzdychać i jęczeć. Wszak czuł, jakby zmysły pieściła mu sama namacalna boskość.

– Kocham cię – szepnął rozmarzony pomiędzy całusami.

Aliwia zarżała.

Przywarł jeszcze mocniej do ust dziewczyny. Uradowany, że pobudził w ukochanej zwierzęce instynkty, chwycił ją za policzki i pełen ekstatycznego uniesienia, zaborczo zaczął spijać soki miłości z jej ust i języka. Przyjemne w dotyku chrapy Aliwii i apetyczny smak owsa odurzyły wojmiła. Był w transie, ale pragnąc dostrzec to zjawiskowe piękno, by kosztować go wszystkimi zmysłami, powoli otworzył oczy.

Wzrok nadal miał mętny, mało wyraźny, ale wystarczająco dobry, by uświadomić sobie, że przyjemności dzielił z własnym rumakiem. Po tej konstatacji długo się wydzierał, płosząc z pobliskiej kniei wszystkie zwierzęta.

Próbował wstać, ale czując uciążliwy ucisk w brzuchu, natychmiast upadł na ziemię. Usiadł i zauważył, że podbrzusze ma obłożone leczniczym mchem. W pasie był dodatkowo przewiązany pnączem, które trzymało cały osobliwy opatrunek. Uchylił kępę mchu i dostrzegł przez dziurawy kaftan ranę. Niewielki otwór, rozszarpany na kształt grotu strzały, raził czarnym, osmolonym kolorem. Nie krwawił. Nieopodal w trawie leżały kusza i zakrwawiony bełt. Wojmił starał się myśleć analitycznie. Ornatus zawsze powtarzał, że tylko takie rozumowanie może prowadzić do jasnych i przejrzystych wniosków. Lotka bełtu była znajoma, barwa drzewca też jakby z jego zbrojowni...

„Kto, u licha, włamał się do magazynu z arsenałem Nogradu? – Alford zadał sobie w duchu pytanie. – A co ważniejsze, kto do niego strzelił kradzionym pociskiem? I kiedy? Czyżby sam dziad borowy ranił go bełtem? Mało mu było rzucać czarami? Czy w barbarzyńskim szale chciał jeszcze dobić śmiertelnie rannego?”.

Alford wiedział, że leśniaki cieszyły się złą sławą, ale ciężko mu było wyobrazić sobie tak bestialskie praktyki. Zaczął się w końcu zastanawiać, kto go uratował, kto go opatrzył? Alforda męczyło wiele pytań. Niestety, nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi.

Powoli wstał. Ból był do zniesienia, toteż zachowując absolutną czujność, młodzieniec zrobił kilka kroków. Pomny wczorajszej walki z niebezpiecznym magiem przygotowany był na najgorsze. Przybierając groźną minę, która tak naprawdę dla potencjalnego obserwatora wyrażałaby grymas tęsknoty za rozumem, zlustrował okoliczny las. Musiał być ranek, bo słońce jeszcze nie wychyliło się ponad konarów drzew. Oczy zdecydowanie mniej bolały, ale nadal wszystko zdawało się zamglone. Nie bacząc na niedogodności, dokładnie obserwował każdy krzew i drzewo. Nikogo nie było. Co gorsza, nie dostrzegł nawet zabitej sarny. Zezłościł się, myśląc, że zabrał ją francowaty leśniak, by teraz zajadać się pieczonym mięsiwem. Wsparł dłoń na rękojeści miecza i podszedł do miejsca, gdzie jeszcze niedawno leżało martwe zwierzę. Zdziwiony dostrzegł, że na leśnym poszyciu nie było nawet śladu krwi. Jak to możliwe? Pamiętał doskonale, że w świetle księżyca widać tam było słusznych rozmiarów kałużę posoki. W końcu pełen ceber juchy wypłynął z zabitej sarny.

Czy jest możliwe, by jej nie ustrzelił? Czy to wszystko mogło być dziełem jego wyobraźni? Alford odrzucił ten pomysł – w końcu korepetytorzy bez ustanku powtarzali mu, że nie ma jej ani trochę. Poza tym pamiętał doskonale pyskówkę z borowym dziadem o zabitego zwierza.

– Tu musi być magia – szepnął bojaźliwie. – Potężna magia.

Jeszcze raz powiódł zamglonym wzrokiem po okolicy, ale nikogo nie dostrzegł. Nie chciał zostawać na polanie. Tym bardziej, że spieszno mu było do ukochanej. Martwił się, że pewnie całą noc przesiedziała w zimnym lochu Kumara. Zapewne nie spuszczał z niej oka i nie miała jak uciec. Wojmił obiecał sobie, że wynagrodzi jej te cierpienia, a bogoboja, jak i Lemosza, zrugą za takie traktowanie dziewczyny.

Czuł, że rana zagoiła się niespodziewanie szybko, toteż odwiązał z pasa pnącze, a kępę mchu rzucił w stronę lasu. Nadal czuł w podbrzuszu tępy ból, ale nie na tyle uciążliwy, by młodzian nie mógł chodzić. Podszedł do rzeczki z zamiarem obmycia twarzy. Oręż pobrzękiwał cicho przy jego boku. Uspokoił go, wspierając dłoń na rękojeści broni.

Przykucnął na kamienistym brzegu, a przez myśl mu przeszło, że jak opowie w karczmie o wczorajszej walce, to nikt mu nie uwierzy.

Niebezpieczna knieja, wokół hordy wygłodniałych wilków... Czy saren, nieważne... Istotne, że na środku polany tylko on i borowy dziadek. Opowieść powinna porwać tłumy.

Z uznaniem dla samego siebie pokiwał głową i pochylił ku wodzie. Rękojeść miecza ugodziła go w bok tak mocno, że rana w brzuchu rozboleła ze zdwojoną siłą. Rozzłoszczony własną nieuwagą, szarpnął pasem miecza, strzepnął zwijającą się u pasa kolczugę i... zamarł. Spozrzegł, że z łańcuszka na szyi oderwał się ozdobny, szlachetny kamyk i wpadł z chlupotem do wody.

– Mój opal – jęknął wojownik i powiódł wzrokiem po lustrze wody.

Porwany przez nurt strumienia kamyk opadł na dno niecały sążeń od brzegu. Alford z wściekłości zagryzł górną wargę. Wisiorek dostał od ukochanej Aliwii. Wiedział, że prędzej tu zemrze, aniżeli odejdzie, nie odzyskawszy bezcennej ozdoby.

Nie zwlekając ni chwili, wygiął się do przodu i wspierając nogami o kamienisty brzeg, zaczął przeszukiwać ręką dno rzeki.

– Jeszcze troszkę – stęknął naprężony niczym łączyśko łuku.

Po chwili koszula wyszła wojmiłowi ze spodni, a cienka kolczuga opadła na szyję, zbierając się przy karku w niewygodne fałdy. Co gorsza, naszyjnik zawinął się ciasno na gardle i począł dusić nieszczęśnika.

– Ech, do kroćset, co u licha?! – wycharczał, nie na żarty przerażony.

Stawiając wszystko na jedną kartę, wyprężył się jeszcze bardziej. Wysięk opłacił się, bowiem koniuszkiem palca wyczuł wielościenny kształt kamienia.

– Mam cię! – krzyknął podekscytowany.

Tymczasem złotawego koloru kosmyk opadł z jego głowy i, śledzony zatrwożonym wzrokiem wojmiła, do połowy zanurzył się w wodzie. Naniesiony dnia poprzedniego krem pod wpływem wody zabarwił pasemko włosów na zielono. Wojownika krew załała. W myślach ryknął wiązką przekleństw, której nie powstydziliby się najtwardszy piechur wojsk legendarnego Krawosa.

Niedługo, zdjęty ponurą obawą o kamień, o włosy, a nawet o własne życie, zaczął się głowić, cóż począć dalej. Pochwycić bezcenny opał? Zdawał sobie sprawę, że aby go wyjąć, musiałyby się jeszcze bardziej pochylić nad wodą, a tym samym zaryzykować zamoczeniem wszystkich włosów. Może powinien gwałtownym szarpnięciem głowy odrzucić kosmyk, by na powrót opadł na barczyste plecy? To znowu mogło się wiązać z mocniejszym zaciśnięciem na szyi fałdy kolczugi i łańcuszka.

– A to przecież mogłoby mnie zabić – wycharczał do siebie poważnym tonem.

Może powinien bardziej unieść zad, tułów i głowę, co pozwoliłoby na równoczesne pochwylenie kamienia i wyjęcie pasemka włosów z rzeki? „Ale czy wtedy cały nie wpadnę do wody?” – zadał sobie w duchu trudne pytanie.

Alford chciał uchodzić za prawdziwego mężczyznę, toteż decyzje zawsze podejmował szybko i pewnie. Nie inaczej było i tym razem. Zdecydował się na wykonanie wszystkich czynności naraz.

Uniósł pośladki do góry, przez co czubek głowni miecza znowu go ukłuł. Ból spowodował, że machinalnie szarpnął głową do tyłu. Kosmyk włosów zgrabnie wyleciał z wody i ułożył się na ramieniu, by zaraz potem opaść do wody i pociągnąć za sobą całą resztę wypielęgowanych włosów. Łańcuszek jeszcze ciaśniej owinął się wokół szyi. Wojmił wybałuszył oczy, dusząc się tak bardzo, że nie był w stanie nawet zakląć pod nosem. Gdy chwycił kamień, spróbował okłamać nieznane mu prawo fizyki, ale daremnie – nie będąc w stanie przeciwdziałać sile grawitacji, całym ciężarem runął w kipiela.

Woda mierzyła raptem łokieć głębokości, toteż upadek miał swoje konsekwencje dla oblicza Alforda. Twarz, na której widok niejedna niewiasta mdlała, zaryła w kamienie, żwir wpakował się w usta, a krem sprowadzany z dalekiego wschodu przybrał na włosach barwę zieloną.

Przez chwilę wojmiłowi wydawało się, że na polanie słychać było histeryczne rżenie jego konia, Rubina, jednak gdy tylko wojak wyskoczył z wody, wierzchowiec stał niewzruszony.

Alford nawet zacisnął pięści i próbował uchwycić spojrzenie rumaka, jednak zwierzę, wyraźnie niezainteresowane losami pana, zaczęło skubać trawę. Wojmił ochłonął. Uświadomił sobie, że dziura w brzuchu, przemoczone odzienie czy zniszczona fryzura nie mogą przeszkodzić w odnalezieniu ukochanej Aliwii. Z trudem wgramolił się na grzbiet Rubina i pędem pojechał w kierunku klasztoru Peruna.

Kumar nie spał tej nocy. Wiercił się niespokojnie na pryczy, a jego myśli co chwila wędrowały do Aliwii i Rotupala. Nie wiedział, czym losem bardziej się martwić. Wierzył w umjętności Szagrata, więc pocieszał się, że zakonnik, były żołnierz, powinien sobie poradzić ze zleconym zadaniem i wkrótce przywieźć dziewczkę. Ale co, jeśli dziewczyna nie doszła do miasta? Co, jeśli po drodze spotkało ją jakieś nieszczęście? Lemosz by mu tego nigdy nie wybaczył. Nawet gdyby Kumar obiecał zorganizowanie najpiękniejszego pogrzebu z wszelkimi możliwymi honorami.

Nie mniej zamartwiał się o Rotupala. Zastanawiał się, czy przez przypadek rozbójnik nie wygadał się przed swoimi kamratami o przebiegłym planie. W końcu mógł się trafić jakiś bandyta, który o wszystkim doniósł władzom Nogradu. Mimo wszystko Kumarowi wydawało się, że gdyby tak było, już dawno miałyby na karku straż kasztelana. Bogobojowi przyszło też do głowy, że może, dziwnym trafem, akurat przez cały wczorajszy dzień nikt nie jechał gościńcem. Jeśli tak było, Rotupal faktycznie nie miałyby po co przyjeżdżać do klasztoru, bo i nie miałyby z czym.

Na domiar złego jego myśli zaprzętał Jodyg. Kaznodzieja był przekonany, że chłopak uciekł ze świątyni. Zastanawiał się tylko, dlaczego tak nagle. W końcu gołowąs nie dawał po sobie poznać, by chciał opuścić klasztor. Owszem, był niechętnie nastawiony do bogoboja i rodziny bogów, ale żeby tak nagle, bez konkretnego powodu uciekać? Kumar obiecał sobie, że podczas wieczerzy mianuje nowego asystenta, a Jodyga rytualnie przeklnie z ambony.

Gdy przez okna wpadły pierwsze promienie słońca, Kumar wstał z siennika. Chciał na moment zapomnieć o trapiących go problemach, toteż padł na kamienną posadzkę i oddał się głębokiej modlitwie. Niestety,

pacierze tylko pogorszyły samopoczucie zakonnika. Kłopoty z Aliwią i Rotupalem niby zeszły na dalszy plan, jednak gorejący żal w sercu pogłębiły myśli o parafianach. Tak bardzo pragnął, aby niewierni dojrzeliby dobro płynące z boskich nakazów. Świat byłby o wiele piękniejszy, gdyby ludzie się kochali, szanowali, respektowali magię, a myśleli tylko o tym, co rzekło im się z ambony. Czy królowie i inni włodarze byli aż tak ślepi na to, co działo się dokoła? Jak będzie wyglądał świat, w którym każdy wioskowy głupek będzie umiał czytać książki i wyrażać własne opinie? Jak będzie wyglądał świat, w którym wszyscy będą myśleć tylko o sobie? Ba, gdyby ludzie znali Perunowe nauki, z pewnością przed laty nie staliby jak zaczarowani, podczas gdy jego matka płonęła w drewnianej chacie. Znalazłby się śmiałek, który rzuciłby się jej na ratunek. Kumar odegnał bolesne wspomnienia. Ociężale zebrał się z podłogi i poprzysiągł w duchu, że nie zmarnuje tego dnia na rozterki.

Zamierzał dotrzymać danej sobie wczoraj obietnicy i odprężyć się przy wędkowaniu. Minęło wiele dni, od kiedy po raz ostatni pozwolił sobie na tę wspaniałą formę relaksu. Demonstracja ślepoty niosła ze sobą poważne wyrzeczenia, ale w tej chwili nie obchodziło go już, jak zareagują mnisi na nagłe odzyskanie wzroku. W końcu jemu też należało się coś od życia. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, wziął wędkę i wyszedł z komnaty. Zszedł dziarsko po schodach, bez słowa przeszedł modlitewną komnatę i odprowadzany wzrokiem zdumionych mnichów wyszedł na dziedziniec. Słyszał szepty zakonników, widział, że ukradkiem wskazują go palcem, lecz nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Minął Dyrnę i Bobisza, którzy zamiatali podwórze, przeszedł przez szeroko otwartą bramę monasteru i przystanął na moście. W nadziei, że zaraz ukoi skołatane nerwy, zarzucił wędkę i wsparł się o drewnianą poręcz.

Panował upał. Od niepamiętnych czasów słońce nie jarzyło się na niebie z taką mocą jak teraz. Materiał togi oblepiał spocone ciało Kumara, kołnierz wrzynał się w szyję, a pled na ramionach ciążył jak chomąto.

Duchota dawała bogobojowi się we znaki, a nieruchomy spławik tylko pogłębiał jego depresję.

– Już pełną litanię stoję tu, boziu – jęknął w stronę spławika.

Ten poruszał się tak samo ochoczo jak gwóźdź wbity w deskę.

– Przynajmniej wynagrodź mi te cierpienia jakąś dorodną rybką – rzekł błagalnym tonem w kierunku nieba.

Jeszcze miesiąc temu Kumar mógł bez ustanku wpatrywać się w unoszący się na wodzie korek, ale teraz, przez te wszystkie troski, nawet wędkowanie wyraźnie go irytowało. Zaciśnął zęby i szybko wymówił pod nosem świętą jutrzeńkę do Wodowali. Wierzył, że bogowie wesprą go w tej ciężkiej chwili.

Czuł, jak krople potu spływają mu po karku, policzkach i czole. Przetarł rękawem spocone oblicze, wsparł wędkę o poręcz i zaczął odmierzać kroki na drewnianym moście. Przez otwarte wierzeje klasztoru dostrzegał, że dwójka mnichów, krzątająca się z miotłami, co rusz zerka na niego. Kumar nie przejął się ich zatrwożonymi minami, tym bardziej że kątem oka dostrzegł, jak spławik niknie pod lustrem wody. Doskoczył do wędki, jednak wtedy zrozumiał, że umysł spłatał mu figła.

– No, bierz wreszcie – syknął w stronę wody.

Przy klasztorze rzeka była mętna, ciężko więc było wypatrzyć jakąkolwiek rybę, ale bogobój wiedział, że zawsze było ich tutaj pod dostatkiem.

– Zdając się na moc pana Wodowali, stwórcy twego! – Zakonnik zaciśnął pięści. – Zaklinam cię! Nadziej się na ten franco... boży haczyk!

Cisza i bezruch.

– Niech to Świergot! – Rozeźlony, machnął ręką i kopnął urojone zło odpowiedzialne za niefart.

Zrobił kilka głębokich wdechów. Przeniósł wzburzony wzrok ze spławika na trakt. Gościniec ciągnął się łagodnym pogórzem pomiędzy

drzewami. W oddali można było dostrzec zmierzający w kierunku świątyni wóz, ciągnięty przez dwa konie. Bogobój z powrotem oddał się obserwacji spławika, szybko jednak uświadomił sobie, co przed chwilą widział. Gwałtownie uniósł głowę, by jeszcze raz przyjrzeć się podróżnikowi.

– Tak – powiedział po chwili. – To niewątpliwie Szagrat. Wreszcie jakieś dobre wieści.

Zakonnik szybko dojechał do bogoboja. Zatrzymał się przed mostem i zszedł z siedziska. Usta miał ułożone w grymasie wiecznego niezadowolenia, policzki ściągnięte, a czoło zmarszczone w gniewie. Przeszył Kumara przenikliwym wzrokiem, następnie zatrzymał spojrzenie na wędce.

– Już lepiej z moim wzrokiem – rzekł bogobój, widząc pytającą minę zakonnika.

Szagrat skłonił się, oddając tym samym hołd mocy bogów i bez słowa poszedł na tyły wozu.

– Rozumiem, że ją złapałeś? – spytał podniecony Kumar.

– Oczywiście – chłodno odpowiedział Szagrat. Jednym ruchem ręki wyjął drewniany skobel i zamasyście otworzył drzwi klatki. Stał z boku i nie kryjąc chęci na wysłuchanie pochwał, mierzył Kumara jakby cieplejszym spojrzeniem.

„Prawdziwy zawodowiec” – pomyślał bogobój. Podeszedł do Szagrata i pochylił się w głąb wozu. Na podłodze dostrzegł leżącego starucha w szlafroku. Był zakneblowany i związany liną. Jego szeroko otwarte oczy wyrażały strach zmieszany ze zdumieniem. Mina bogoboja wyrażała dokładnie to samo.

Przeor odwrócił się i popatrzył na Szagrata.

– Bezwstydnicą biegła półnaga po Nogradzie – rzekł z dumą w głosie zakonnik.

– Słucham? – spytał zbity z pantałyku bogobój.

– Mówię, że – Szagrat ruchem dłoni zakreślił przy piersi kółka – półnaga biegała po Nogradzie.

– Szagracie – rzekł kaznodzieja, siląc się na spokój i opanowanie. – Postaram ci się zadać to pytanie w prostych słowach: co to jest?

– Co?

– No to. – Wskazał palcem we wnętrze wozu.

– No... Ta dziewczka, panie. – Zakonnik wyraźnie tracił pewność siebie.

– Ten staruch? – wzburzył się bogobój.

Szagrat popatrzył do pojazdu i osłupiał.

– Ale... – wydukał. – Ale... Poczekaj, panie. Może to jakaś sztuczka! – Wyjął z kieszeni pantofelek, by wcisnąć go na stopę spętanego starca.

– Co ty robisz?!

– No, po prostu można rzec, że prawie pasuje – stęknął Szagrat, siłując się z obuwiem. – Pazury ma tylko nieco za długie. A te piersi, to może ...

– Przestań! – krzyknął bogobój. – Przestań w tej chwili. Nie widzisz, durniu, że nawet ten drugi kapeć jest inny?!

– Przecież w modzie jest teraz mieć nogawice w dwojakich kolorach, to może i kapcie...

– Przestań! – zagłuszył go bogobój.

– No ale: zmierzwiłone, długie włosy, tak jak mówiłeś, smukła kibić... – ratował się zakonnik. – Poza tym, Perun mi świadkiem, że tu były piersi!

– To jakiś stary pierdziel, bęcwale! Gdzieś ty był? Kogoś mi przywiózł?!

Kumar uniósł zaciśnięte pięści w kierunku nieba, już miał o ratunek prosić samego Peruna, kiedy zastygł w zupełnym bezruchu. Jego uwagę przykuł mężczyzna, który ni stąd, ni zowąd wyszedł z pobliskiej kniei. Był ubrany w zielony kaftan i skórzane spodnie. Stawiał ciężkie kroki, a przez ramię miał przerzucone ciało człowieka.

– Ki Świergot... – zaklął pod nosem bogobój.

– Kumarze... Kumarze... – głośno zawył nieznajomy, przewieszony przez ramię towarzysza.

Kaznodzieja w mig zorientował się, że niesiony nieszczęśnik to sam Rotupal. Przeczuwając najgorsze, wyszedł przybyłym na spotkanie.

– Jestem Berbeto – przedstawił się mężczyzna w zielonym kaftanie. – I niezmiernie mi miło...

– Zamknij paję – jęknął Rotupal. – I postaw mnie na ziemi.

Rzezimieszek z wielkim trudem postawił towarzysza na nogi. Bogobój wzdrygnął się na widok zakrwawionej piersi Rotupala.

– Jesteś ranny! – krzyknął pełen trwogi.

– To nic poważnego, panie – stęknął Rotupal, potrząsając przed Kumarem sakwą płacideł.

Bogobój nie zwrócił jednak na nią uwagi. Przerazony, myślał tylko, jak pomóc poważnie ranionemu nieszczęśnikowi.

– Ty... ty musisz do znachora – rzekł w końcu.

– Nie martw się, bogoboju. – Rotupal wysilił się na uśmiech. – Nie z takich opresji wychodziłem ca... – nie kończąc zdania, upadł, rozsypując na trawie płacidła.

– Panie! – ryknął Berbeto, doskakując do wodza. Potrząsnął nim, drżącą dłonią przetarł spocone oblicze, dziwiąc się, że cera dowódcy przestała być śniada. Rotupal nie dawał znaku życia.

Kumar stał jak sparaliżowany i czuł, że powoli ogarnia go ciemność. Było mu duszno. Słyszał za plecami nawoływania Szagrata, jednak nie potrafił zrozumieć ani słowa. Dochodziły go również lamentsy rozbójnika, rzenie koni, jakieś piski i rzucane groźby. Wszystko to jednak niosło się słabym pogłosem, jakby spod ziemi. Na wpół przytomny Kumar poza dojmującą czernią widział tylko martwe zwłoki swojego parafianina. I nie mógł oderwać od nich wzroku.

Do bogoboja podbiegł Szagrat i szturchnął go w plecy.

– Co... co? – spytał Kumar jak w pijackim amoku.

Zakonnik coś krzyczał, ale bogobój niczego nie potrafił zrozumieć. Przeszywał wzrokiem leżącego Rotupala, jakby chciał go w ten sposób uleczyć, na nowo ożywić.

– Panie! – Gdzieś z oddali doszedł bogoboja krzyk Szagrata. – Panie!

Kumar uniósł wreszcie głowę i spostrzegł, że mnich nakazuje mu gestem, by ten się odwrócił.

Usłuchał i zobaczył, jak przez mgłę, klasztor i mostek. Przy wozie stał zbrojny.

– Na złamanie karku przygalopował wzdłuż rzeki! – rozległ się stłumiony głos Szagrata.

– Co? – spytał bogobój.

– Tam, przy wozie!

Kumar otrząsnął się, przetarł oczy i ze zdumienia szeroko otworzył usta.

– Alford? – jęknął, nie wierząc w to, co widzi.

Przy wozie stał na wskroś przemoczony mężczyzna w zakrwawionej koszuli. Miał zielone włosy i głośno płakał. Widać było, że jest ranny w podbrzusze.

– Co tu się dzieje, panie? – wzdrygnął się Szagrat. – Mamy jakąś wojnę?

– Sam nie wiem... Czekał, czekał.

Oszołomiony Kumar spostrzegł, że wojmił pada przy powozie na kolana i lamentując na pełne gardło, tuli wystającą nogę starucha.

– Barbarzyńcy! – darł się wniebogłosy, głaszcząc owłosioną stopę przybraną w damski pantofelek.

Przejęty Kumar chwycił się za brodę. Już myślał, by ją wyrwać i w akcie desperacji zdeptać, kiedy dostrzegł wspinającą się po skarpie dziewczynę. Przekonany, że właśnie przeżywa zawał, jęknął jedynie:

– Aliwia!

Bratanica z trudem wyszła z fosy. Brudna i posiniaczona, otaksowała zagubionym wzrokiem zebranych. Spojrzenie zatrzymała na lamentującym wojmile i pobiegła do niego, ile sił w nogach.

– Alfordzie! – krzyknęła.

– Kochanie, to ty? – spytał oszołomiony. – Czemuż twój pantofelek jest tutaj?

– Och, tak się bałam! – Aliwia wpadła w ramiona wojmiła.

– To nie dzieje się naprawdę – pisnął do siebie bogobój. Niepewnie zrobił krok w kierunku zakochanych, potem kolejny. Przez otwarte bramy klasztoru widział dwójkę zakonników wspartych na miotłach. Za nimi siedziała cała brać zakonna na przyniesionych ławach. Każdy trzymał w ręku michę z podsmażanymi grysikowymi grudami. Porażeni wydarzeniami, które właśnie miały miejsce, gapili się bez słowa na zebranych. Peksza chyba przyjmował zakłady.

Zakłopotany bogobój przełknął ślinę. Obejrzał się za siebie w nadziei, że ktoś go pocieszy, poklepie po plecach i podpowie, co robić, co mówić. Jednak jedyne, co przyszło mu ujrzyć, to widok Lemosza.

Kumar czuł, że to ponad jego siły. Upadł na kolana. Tymczasem brat rzucił na ziemię tobołki, zostawił w tyle synka i zaczął biec. Pochylił głowę i niczym krawosadzki byk z każdym krokiem nabierał prędkości. Już słyhać było jego złorzeczenia, już widać było spod sumiastych wąsów wykrzywione w złości usta.

– Coś zrobił Aliwii, kanalio?! – ryknął.

– Tatku? – pisnęła za plecami bogoboja dziewczyna.

– Czemu ma pokaleczone ręce?! – krzyknął Lemosz.

Jednakże Kumar znowu stracił kontakt z rzeczywistością i nie potrafił wydukać ani słowa. Otaczała go ciemna pustka, a krzyki i nawoływania zlewały się w jeden niezrozumiały bełkot. Po chwili poczuł, że Lemosz

chwyta go za szaty, popycha, złorzeczy na pełne gardło. Bogobój był jednak zbyt otepiały, by zdawać sobie w pełni sprawę z tego, co się dzieje.

Kręciło mu się w głowie, czuł przejmujący ból w sercu i mimo starań, nie mógł złapać oddechu. Umysł mu szeptał, że umiera. Chciał wstać, ale nie był w stanie nawet się poruszyć. Próbował odwrócić głowę, lecz jakaś obca siła nie pozwalała.

Ciałem zakonnika targnął nagły skurcz. Poczuł, że spada w niezgłębioną otchłań mroku. Aż nagle przejmująca chłodem głębia chwyciła go w swoje objęcia.

Zaczął się dusić. Słyszał głuchy, dudniący pogłos. Chciał krzyknąć, ale usta wypełniły się wodą. W końcu desperacko poderwał się z ziemi, gwałtownie machnął rękami i zdołał zachłysnąć się świeżym powietrzem. Otworzył oczy. Zobaczył, że woda sięga mu do szyi. Odetchnął z ulgą, bo zdał sobie sprawę, że to nie złowieszcza komnata Świergota ani pokój bawialny Peruna. Po prostu siedział w rzece. Usłyszał dochodzące z mostu krzyki i lamenty.

– Tatku, to nie wujek – pisnęła Aliwia. – Uciekałam podziemiami, bo chciałam się spotkać z Alfordem!

– Zabroniłem ci się widywać z tym świergotnikiem! – krzyknął wzburzony Lemosz. – Co ci wuj zrobił, że tak wyglądasz?

– Już ci mówiłam, że znalazłam podziemny tunel w komnacie.

– Jak mogłaś postąpić tak nieodpowiedzialnie?! A ty – krzyknął w kierunku Alforda – zabieraj od niej łapy!

Wojmił usłuchał. Nigdy wcześniej nie widział tak wzburzonego kupca. Lemosz podszedł na skraj skarpy i wbił w Kumara przeszywający wzrok.

– Co u ciebie robią te dwa bandziory?! – krzyknął. – I dlaczego na trawie pod twoją świątynią leżą rozsypane moje płacidła?!

Bogobój szukał odpowiedzi na te pytania, ale wiedział, że brat nie zrozumie woli bogów. W życiu Lemosz kierował się tylko płacidłami. Cóż

go obchodził Perun czy dobro wiernych wyznawców?

– I jak mogłeś dopuścić do tego – Lemosz podparł się pod boki – by moja córeczka całą noc przespała pod mostem?

Kumar rozdziawił usta, już miał coś rzec, ale zdał sobie sprawę, że i tak to nic nie da. Podparł się rękami, by wstać, i nagle zrobił wielkie oczy. Dłońmi wyczuł osobliwe dno, jak gdyby zasypane płaskimi kamykami o jednakowym kształcie. Przy klasztorze rzeka była zamulona, tym bardziej się dziwił, skąd tu tyle kamieni. W dodatku tak bardzo do siebie podobnych. Zgarnął dłonią słuszną garść zagadkowego mułu i wstał, by lepiej się mu przyjrzeć.

Na dłoni bogoboja widniał kopczyk pradawnych monet. Miedziane płacidła z grawerunkiem wojownika lśniły słabą poświatą. Kumar widział już gdzieś ten wizerunek. Gniewny grymas twarzy, krzyżujące usta... Sięgnął pamięcią i przypomniał sobie o niejakiem Krawosie, bezwzględnym królu, który żył przed wiekami. Zakonnik wiedział, że ten okrutnik miał wiele portretów. Wśród tych, które Kumar miał okazję oglądać, był również ten z monety. Z zamyślenia wyrwał go krzyk Lemosza:

– Co... co to jest?

Bogobój nic nie odpowiedział. Ponownie zanurzył ręce w wodzie i znowu wyjął garść płacidel. Podniecony, zrobił kilka kroków w kierunku mostu, sięgnął dna i tak jak wcześniej wyłowił garść monet.

– Dzięki ci, Perunie! – krzyknął w stronę nieba.

– Czy... czy to są płacidła? – spytał podekscytowany Lemosz.

Bogobój jednak nie zwracał na niego uwagi. Rozmyślał, jakim cudem monety znalazły się w rzece. Przecież nieraz zakonnicy czerpali stąd wodę. On sam wielokrotnie brodził w nurcie, gdy haczyk od wędkę zaczepiał się o dno. Z pewnością spostrzegłby zatopiony skarb.

Schował garść płacidel do kieszeni, jakby w obawie, że zaraz znikną. Uskrzydłony wizją wzbogacenia wiernych, zaczął się wspinać po skarpie.

– Czy... czy wzrok mnie nie mylił? – spytał stojący na zboczu skołowany Lemosz. – Tam były monety?

– Lepiej pomóż mi wyjść – stęknął kaznodzieja.

Brat, nie zastanawiając się ani chwili, podbiegł do Kumara i podał mu rękę.

Gdy bogobój wyszedł z koryta rzeki, zauważył, że wszyscy poza Lemoszem wpatrują się w odległy punkt na gościńcu. Powiódł wzrokiem w ślad za ich spojrzeniami i zamarł.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał Lemosz, pochłonięty tajemniczym znaleziskiem. – To były płacidła? Powiedz coś w końcu, a nie stój jak wryty!

Przemoczony Kumar stał jednak niewzruszony i tępo wpatrywał się w dal. Pytania kotłowały się w jego głowie.

– Wzrok odzyskałeś? – dopytywał się brat. – Ja zaraz oszaleję. Pokaż w tej chwili, co masz w kieszeni!

– To kasztelan, panie – obwieścił na głos Szagrat.

Lemosz migiem odwrócił się od Kumara i również powiódł wzrokiem po gościńcu. Gramisz jechał więziennym wozem. Na koźle siedział jakiś zakonnik.

Oplakujący swojego wodza rzezimieszek również przyglądał się zarządcy, ale tylko przez chwilę. Wstał szparko z klęczek i przytomnie zerwał się do ucieczki. Wszak dopiero co brał udział w rabunku, zabił nawet człowieka, a drugi umierał na jego rękach. Nie chciał ryzykować konfrontacji ze strażą.

– Jodyg! – Bogobój zgrzytnął zębami.

– Tata? – zdziwił się Alford.

– Cóż to za zlot zorganizowałeś, bracie? – zapytał Lemosz, podkreślając sumiastego wąsa. – Kto jeszcze się pojawi?

– Jodyg! – wściekle powtórzył zakonnik.

Powóz zjechał z gościńca i zatrzymał się przy rzece, obok Kumara. Gramisz przeszył wzrokiem mokrego bogoboja, kolejno popatrzył na Lemosza, Aliwię i rannego Alforda.

– Dlaczego ci krwawią bebechy, synku? – spytał.

Wojmił gestem ręki zbagatelizował ranę. Gramisz z podziwem dla męstwa pierworodnego pokiwał głową. Przeniósł wzrok na zakonnika, który stał przy wozie. Zdawało mu się, że pod plandeką ktoś leży, ale nagle jego uwagę przykuły zwłoki na trawie.

– Liczyłem tutaj na jakieś śledztwo – rzekł tubalnym głosem władarz Nogradu i podparł się pod boki. – Ale, jak widzę, podane mam wszystko na tacy.

Bogobój nie zwracał najmniejszej uwagi na kasztelana. Wpatrywał się bez ustanku w młodego zakonnika i zastanawiał, co też gołowąs robił w Nogradzie. Na widok spuchniętej twarzy i zabandażowanej piersi mnicha złość ustąpiła miejsca przejmującemu współczuciu.

– Co ci się stało, chłopcze? – spytał przejęty bogobój.

Chłopak zszedł ociężale z kozła, dobiegł do Kumara i padł na kolana.

– Pa-pa-pa – wydukał przez łyzy, obściskując kaznodzieję w pasie.

Gramisz, czując, że traci publikę, chrząknął donośnie, poczęstował Kumara serdecznym uśmiechem i krzyknął:

– Pozwól, że zaproszę cię do swojego pałacu – rzekł, chwytając wajchę wystającą przy siedzisku.

Stalowe drzwi wozu momentalnie uchyliły się, jednak Kumar nawet nie drgnął.

– Bogoboju! – ryknął wyprowadzony z równowagi kasztelan. – Czy jesteś winny zabójstwa tego nieszczęśnika? – Wskazał palcem leżące zwłoki.

Kumar się wzdrygnął. Rotupał był jego wiernym parafianinem. Słuchał bogobojnych morałów, żył – przynajmniej ostatnimi czasy – wedle praw

Perunowych... A teraz bogowie zabrali go do swych komnat. Bogobój wiedział, że przyczynił się do jego śmierci. Rozumiał dobrze, że gdyby nie plan zapełnienia świątyni wiernymi, Rotupał nadal by chodził pośród żywych. Zakonnik popatrzył na zaniepokojonego Lemosza, przeniósł wzrok na Szagrata, potem na zebranych przy dziedzińcu mnichów. Dojmującą ciszę przerywał tylko cichy nurt rzeczki i chrupanie grysikowych grudek w zębach zakonników. Czy miał ich zawieść? Czy w takiej chwili powinien się przyznać: „Tak, wysłałem tego biedaka po śmierć?”. Czy teraz, gdy czekał na całe gromady wiernych, powinien wyznać, do czego się posunął? Co byłoby dalej? Kto przekonywałby ludzi, że magia jest dobra? Któż by przestrzegał ich przed zgubną nauką? Kto mógłby nauczać ich praw Perunowych? Bogobój doskonale zdawał sobie sprawę, że tylko on był w stanie podołać tym wyzwaniom. Żaden z mnichów nie był gotowy na to, by zasiąść na klasztornej tronie. Przynajmniej na razie.

– Bogoboju! – powtórzył Gramisz. – Czy...

– Oczywiście, że nie! – wszedł mu w słowo Kumar.

– Chcesz rzec, że nic nie wiesz o śmierci tego oto tutaj mężczyzny? – nie dawał za wygraną Gramisz.

Kumar dodał sobie otuchy, przesypując między palcami trzymane w kieszeni miedziane monety. Tak naprawdę zdał sobie sprawę, że mając takie bogactwo, miałby pewność, że nikt nie zdoła mu zagrozić ani przeszkodzić. A Gramisz był bezbożnikiem. Nie chodził do świątyni. Wszak taką zgubną duszę łatwo przekupić. „Ba – rozmyślał dalej bogobój – dzięki takiej górze płacideł mogę się stać równy królom całego świata”.

– Czy wiesz coś...

– Wiem tyle – przerwał mu zakonnik – że szedł do klasztoru, ale nie doszedł.

– A dlaczego nie doszedł? – Gramisz świdrował wzrokiem zakonnika. Zdmuchnął sprzed nosa przeszkadzające pawie piórko.

– Bo umarł – zirytował się zakonnik.

Gramisz poprawił się na siedzisku, a cały powóz donośnie zaskrzypiał. Kasztelan wciągnął pokaźne brzuszysko, pogładził smolistą brodę i zadał kolejne pytanie, mając nadzieję, że syn przysłuchuje się, jakimi metodami posługuje się profesjonalista:

– Dlaczego w tamtym wozie trzymasz spętanego dziadka?

– Ten grzesznik prosił o surową pokutę.

Gramisz powoli tracił cierpliwość.

– I pewnie mi powiesz, że nic nie wiesz o wykopie pełnym trupów, który mijiałem, jadąc do ciebie.

– Sam wpadłem do niego! – wypalił Lemosz. – Straciłem wóz i dwa konie! Dobytek...

– Zajmiemy się i tą sprawą – uciął kasztelan, po czym wyczekująco popatrzył na bogoboja.

– Nic nie wiem o żadnym wykopie – odpowiedział znużony Kumar. Brzęk monet w kieszeni wyraźnie go pocieszał. Nie opędzi się od wiernych.

– Wiedz, że ten oto chłystek – Gramisz wskazał na klęczącego przy zakonniku jąkałę – wyznał mi, że jesteś winny.

– Coś ty mu naopowiadał, Jodygu? – przeor spytał zapłakanego chłopaka.

– Ni-ni... – ten wybełkotał.

– Ten smarkacz – krzyknął zdenerwowany nie na żarty kasztelan – rzekł mi, że jesteś winny!

– Istotnie, zadłużyłem się nieco – beczelnie skłamał zakonnik – ale zapewniam, że...

– Ani słowa więcej! – uniósł się Gramisz. Myślał, że sprawę załatwi z powozu, ale bogobój okazał się godnym przeciwnikiem.

Zeskoczył z kozła, by twarzą w twarz stanąć z przestępcą. Nieszczęściem haftki kaftana pękły, uwydatniając wielkie brzuszysko, spodnie zaś strzeliły w pasie i migiem opadły po same kostki. Włodarz Nogradu pokraśniał ze złości.

– Oj, zadbam o to, byś posiedział w lochu – syknął, zdmuchując pawie piórko przed nosa. – Zrzucę ci na łeb wszystkie moje straże! – krzyknął, podciągając spodnie.

Na te słowa bogobój struchlał. Kręcący się po świątyni zbrojni mogliby wystraszyć parafian.

– Może jakoś dojdziemy do porozumienia? – spytał zaniepokojony, pokazując Gramiszowi garść wyłowionych monet.

– Bracie, nie działaj pochopnie! – wypalił stojący z tyłu Lemosz.

Kasztelan pochylił się, zerknął na dłoń kaznodziei, następnie popatrzył w jego oczy i znowu na rękę.

– Co mam z tym zrobić? – zapytał w końcu, skonfundowany.

– No, za kłopot dostojnego włodarza – nieśmiało zaczął bogobój. – W ogóle za fatywę przybycia i wszystkie doznane przeze mnie przykrości... Może kuferek... takich kosztowności?

– Żartujesz, prawda?

– Bynajmniej. Takich monet mam pod dostatkiem.

– No i cóż z tego? Te płacidła były w obrocie kilkaset lat temu. A za mojego pradziada była denominacja.

– Deno... co? – zapytał Kumar, czując, że zaczyna mu się kręcić w głowie.

– Denominacja. Tysiąc do jednego.

– Tysiąc do... To znaczy?

– To znaczy, że za tysiąc takich zebranych rupieci mógłbyś teraz kupić jednego kartofla. Choć i tak nie jestem pewien, czyby ci starczyło.

Kumar twardo usiadł na ziemi. Nie wiedział, czy przeklinać świat i złorzeczyć na bogów, czy może targać sobie brodę i lamentować wniebogłosy. W efekcie nic nie zrobił poza wpatrywaniem się w otwartą bramę monasteru. Robił to w tej chwili zresztą każdy z zebranych. A patrzyli z przerażeniem w oczach. Strachu nie wzbudzili dopingujący przeora zakonnicy, a przedziwna istota, ożywieniec, który powolnym krokiem przemierzał plac świątyni.

Gdy Krawos wyszedł na dziedziniec, czuł, jak w głębi serca płacze ze szczęścia. Widok nieba, woń maciejek, ciepło promieni słońca... Skosztowanie tych dobrodziejstw życia po setkach lat, które przyszło mu spędzić w podziemiach, wyzwoliły w nim niepohamowaną nostalgię. Zachłysnął się świeżym powietrzem, na całym ciele poczuł dreszcz uniesienia, a w jedynym oku, jakie posiadał, zebrały się łzy wzruszenia. Czuł się szczęśliwy. Dostrzegł na dziedzińcu ludzi w togach, którzy siedzieli na ławach niczym nieruchome posągi i wpatrywali się w niego. Krawos zdawał sobie sprawę, że jest szpetny i może wzbudzać przerażenie. Spróbował serdecznie się uśmiechnąć i pokłonić. Na nieszczęście w nosie coś zaswędziało, przepona w mig się skurczyła i kichnął tak, że aż go zgięło w pół. Na ziemię wypadł anus, nerki, pęto jelit i obluzowane oko. Krawos momentalnie uniósł głowę, wysilił się na uśmiech, a gestem dłoni próbował uspokoić zebranych, że to nic poważnego, ale na placu panowała już istna histeria. Wszyscy bez wyjątku darli gęby i z podkasanymi habitami pędzili w kierunku wyjścia.

Krawos liczył się z taką reakcją. Westchnął i nie tracąc wiary, że gdzieś znajdzie pomoc, poprawił dyndające wnętrzności, po czym i on skierował się ku bramie klasztoru.

Na mostku, pomiędzy biegającymi w popłochu mnichami, dostrzegł dziewczynę, która przyczyniła się do jego odrodzenia. Krawos nie chciał wszczynać kłótni czy niezgody. Pragnął pokoju, chciał, aby dziewczka wiedziała, że nie ma do niej żalu. W końcu wierzył w głębi serca, że nie

zrobiła tego umyślnie. Machnął jej ręką i siląc się na czuły uśmiech, krzyknął:

– Nie obawiaj się! Chciałem tylko... – przerwał, gdyż zorientował się, że przez nie do końca uformowane struny głosowe jego słowa były w rzeczywistości zwierzęcym charkotem.

Dziewka zaczęła krzyczeć.

Gdy Lentak wyszedł z więziennego wozu, poczuł dumę, myśląc, że to on wzbudził popłoch. Miał w złości wykrzywione usta, a w ręku trzymał sztylet. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że zakonnicy nie chcieli być ofiarami gniewu rozwścieczonego łotrzyka i dlatego, lamentując na pełne gardło, spieszyli w kierunku lasu. Staruszek zmrużył oczy, przybrał jeszcze groźniejszą minę, zamachał sztyletem i wciągnął pełną piersią zapach glorii i nieskończonej chwały. Szybko jednak otrząsnął się z ekstatycznego uniesienia, bowiem przy wozach dostrzegł Gramisza, Lemosza i Kumara. Wolał, aby go nie dojrzeli. Po prawdzie zaczął się niepokoić, co to za zebranie, ale licząc się z tym, że życie jego kamrata jest najważniejsze, czmychnął w kierunku drugiego wozu. W mig dostrzegł tam związanego czarodzieja. Nie zastanawiając się ani chwili, wszedł do środka i zaczął siłować się ze supłami.

– Nie wyj, nie wyj! – zirytował się złodziej. – I przestań wierzgać!

– Mhm – jęknął zakneblowany czarodziej.

– Poczekaj! Już kończę. Zachowujesz się, jakby sam Świergot stał mi za plecami.

– Mhm! Bo-bo-bo... – zaczął dukać oswobodzony przyjaciel.

– Jakie znowu „bobo”? I gdzieś podział zęba?

– Bo-bo... – Melmir zebrał się w sobie i wskazał palcem coś za plecami kompana.

Lentak odwrócił się i gdy tylko dostrzegł kroczącego w ich kierunku umrzyka, wziął przykład z zakonników i wydarł się na pełne gardło.

Krawos nie wiedział, czy wracać na dziedziniec, by dać ochłonąć zebrany, czy może paść na kolana i próbować wszystkich uspokoić gestami. Zdecydował się podejść do dziewczyny przy wozie. Łudził się, że składając przed nią pokłon bądź wyciągając dłoń na zgodę, da tym wyraz szczerego przebaczenia. Brakowało mu raptem kilku sążni, by dojść do przerażonej niewiasty. Na domiar złego stał przy niej jakiś wąsacz i zielonowłosy osiłek. Krawos wierzył, że zezwolą mu zrobić jeszcze kilka kroków. Mylił się. Rębało w mokrym kaftanie i o osobliwej fryzurze sięgnął po miecz i wyprowadził atak zza głowy.

– Dalej, synku! – ryknął z sąsiedniego wozu brodaty grubas. – W bebecy go! W bebecy!

Alford wiedział, że prędzej życie odda, aniżeli da komukolwiek skrzywdzić ukochaną Aliwię. Niestety, do tej pory z powodzeniem udawało mu się wypełnić tylko pierwszą połowę obietnicy. Zamachnął się niezdarnie i padł jak długi na ziemię.

Lemosz zagryzł z irytacji wargę. Chwycił Aliwię i Kolika, po czym wrzucił ich do wozu z dwójką starych dziadków.

– Zajęte! – wydarł się daremnie bezzębny rzezimieszek. Melmir zaczął przytomnie wertować w myślach pamiętane zaklęcia. Wiedział, że brakuje mu przedniego zęba, przeto bezpieczniej byłoby nie wymawiać zbyt wielu spółgłosek. Wierząc, że zdoła ujarzmić grom z jasnego nieba, uniósł dłoń ku górze i szepnął pod nosem dwa słowa. Wysoko zamajaczył kontur błyskawicy, która z głośnym jazgotem zaczęła spadać z nieba. Długowłosy czarodziej, przeczuwając, że to będzie doniosła chwila jego chwały, wysunął siwy łeb z wozu i z podnieceniem śledził lot monstrualnego gromu. Wierzył, że o tej walce będą śpiewać pieśni i deklamować chwalebne wiersze. Błyskawica chybiła i z donośnym łoskotem uderzyła w wojmiła.

Widząc to, przerażony czarodziej chwycił się za głowę i uderzył nią o drewniany zydel. Młody panicz okazał się na tyle nasiąknięty wodą, że

z powodzeniem przyciągał energię z niebios. Błyskawica targnęła umięśnionym ciałem tak mocno, że cały wojmił na chwilę uniósł się łokieć nad ziemię. Wyprostowało mu kończyny, a dłoń trzymająca miecz z impetem wyciągnęła się ku chodzącemu trupowi. Broń aż po sam jelec wbiła się w podbrzusze Krawosa. Charcząc, ożywieniec padł na ziemię. Alford zebrał się z ziemi i nie wierząc w to, co się przed chwilą stało, popatrzył po zebranych.

– Brawo, synku! – krzyknął kasztelan z siedziska wozu. – Przyglądź tylko nieco czuprynę, bo takim cię potem w pieśniach opiszą.

Lemosz, wciąż z rozdziawionymi ustami, podał rękę młokosowi.

– Prowadź nas do Nogradu! – krzyknął, po czym sam wsiadł do wozu i przytulił do piersi zapłakane dzieci.

W tym czasie bogobój siedział na trawie i cicho popłakiwał. Odprowadzał wzrokiem dwa odjeżdżające wozy i niknących pośród drzew zakonników. Wiedział, że to już koniec. Gdy Krawos wstał z ziemi, podszedł do brodatego zakonnika i poklepał go po ramieniu. Chciał dodać otuchy, ale Kumar zaczął krzyczeć. I długo nie mógł przestać.



elmir z wściekłością patrzył na Lentaka. Bezzębny staruch siedział w kącie lochu i dłubał patykiem w ziemi. Czarodziej dziwił się, jak ten łysy głupiec mógł być spokojny w takiej chwili. Przecież więzienie to nie przelewki. Tym bardziej, że ciążyły na nich zarzuty wandalizmu, rabunku i zabicia dwóch psów. Gramisz cieszył się jak dziecko z zapełnienia więziennej celi. Jeszcze nie zdecydował o karze, ale Melmir liczył się z tym, że może i przyjdzie mu w lochu nawet zemrzeć. Nie tak wyobrażał sobie ostatnie dni życia. Czego by wszakże nie mówić, jasną stroną sytuacji była przydzielona kuratela strażnicza. Nikt nie miał wstępu do lochów. Nawet Szajga. Po prawdzie słyszał, jak wczoraj próbowała dostać się do środka pod pretekstem, o bogowie, wręczenia małżonkowi prywatnej warząchwi. Melmir dziękował w duchu za służbową postawę strażnika.

Czarodziej sam już nie wiedział, gdzie mógłby czuć się bezpieczniej. W domu czekała bezwzględna małżonka, po lasach krążył ponoć zmartwychwstały Krawos, a w celi był Lentak, staruch, który wpędził go w tarapaty. Łachudra całą noc przechrapał, rankiem zjadł ze smakiem kaszę, a teraz bawił się patykiem, jakby to była nie wiadomo jaka rozrywka. Do tego wszystkiego ten tatuaż. Głupiec znalazł w celi grafitowy rysik, pewnie po poprzednim mieszkańcu lochu, i od razu z niego skorzystał. Narysował sobie na piersi rozerwane serce, opisując je imieniem „Jagodzina”. Co on chciał w ten sposób pokazać? Co próbował udowodnić? Melmirowi nie dawała spokoju kwestia zachowania zimnej krwi przez kompana.

– Dobrze się bawis? – złośliwie spytał czarodziej. Brak przedniego zęba nie ułatwiał mówienia. Po prawdzie staruszek dziwił się, jak Lentak mógł tak wyraźnie mówić, skoro w jego gębie wiało pustką.

– Dobrze – burknął pod nosem. – Po prostu próbuję zapomnieć o twojej głupocie.

– Mojej głupocie? – Wzburzony mag poprawił umorusany szlafrok.

– A twojej! Twojej! – Lentak wbił wzrok w kamrata. – Jak mogłeś, gałganie, czytać w powozie gazetę Lemosza?

– Podlós się dłużyła! – zdenerwował się staruszek. – Posa tym, nie dałem się tak jak ty na widok jakiegoś umzyka!

– Pfff. Ja się nie darłem, tylko na niego krzyczałem!

– A tak w ogóle, gdyby nie twój pomysł labunku, na pewno bym tutaj nie siedział!

– Tylko prędzej czy później po ciosie Szajgi legł w kurhanie! – krzyknął złodziej, mlaskając bezzębną szczęką. – Nie pojmuję, jak mogłeś otworzyć przy Lemoszu gazetę z jego adresem na pierwszej stronie?! Po coś w ogóle miał ją przy sobie?

– Zapomniałem sobie, doblotnie? Po plostu zapomniałem.

Dziadkowie nerwowo oddychali. Lentak zaczął z rozdrażnieniem dłużyć patykiem w ziemi, a Melmir wbił wzrok w pierś towarzysza i przebierał w myślach warianty zabójstwa. Bał się czarować... Ale gdyby tak wyrwać mu ten patyk...

– Uciekniemy stąd – sapnął po chwili rzezimieszek.

– Co? – Melmir myślał, że się przesłyszał.

– Mówię, że uciekniemy stąd.

– Podobno na stałe lata człowiek mądzeje. Ciekaw jestem, ile ci jeszcze psyjdzie na to cekać.

– Mów, co chcesz. Właśnie rozrysowuję drogę ucieczki i kiedy tylko załatwimy szpadel i kilof...

– Cy ty się w ogóle słysysz?

– A ty?! – krzyknął złodziej. – Z tobą trzeba do dentysty! Nie wytrzymam dłużej takiego bełkotu! Po prostu się zamknij i posłuchaj. Za trzy dni będzie festyn z okazji zawodów na Wydmikufla Nogradu. Wszyscy będą nagrzani jak szpaki. To będzie nasz moment, rozumiesz? Za trzy dni znajdziemy się za miastem.

– Ja... ja tak naprawdę nie wiem, czy chcę stąd wychozić – szepnął z przestraczem czarodziej.

– Niech zgadnę: Szajga?

– I jej mamcia – dodał ze strachem w głosie Melmir. – Coś cuję, że napisała do niej.

– Tym bardziej trzeba wprawić ci zęba – rzekł z zapałem w głosie kolega. – Przecież musisz się jakoś bronić, a bez zęba twoje zaklęcia są do niczego. Ba, może spróbujemy odzyskać twoją księgę czarów.

Melmir się zamyślił.

– Ty... ty zawsze z początku tak fajnie o tym wszystkim mówis – rzekł po chwili. – A... a potem nic tylko pot, łzy i cierpienie – dodał, głośno pociągając nosem. Czuł, że coś w nim pękło.

Lentak poderwał się z ziemi i przytulił siwowłosego przyjaciela do piersi. Tatuaż rozdartego serca z napisem „Jagodzina” poruszał się pod bluzą z każdym oddechem rzezimieszka. Lentak wiedział, że to jeszcze nie koniec. Nie tylko uciekną, ale wzbogacą się i będą postrachem krawosadzkich rubieży. Trzeba tylko obmyślić dokładny plan działania.

Epilog

Kroniki w bardzo niejasny sposób opisują dalsze losy bohaterów z Nogradu. Ponoć Kumar nadal próbował nawrócić niewiernych na drogę Peruna. Jego chytry plan miał się zmieniać wiele razy. Jedni powiadali, że Kumar korzystał z pomocy samego Krawosa, drudzy, że wciągnął w swoje działania najwyższe władze królestwa.

Lemosz miał zezwolić Aliwii na spotkania z Alfordem. Tyle tylko, że sam w nich uczestniczył. Wojmił próbował wkupić się w łaski przyszłego teścia za pomocą magicznej mikstury. Ale czy wyszło z tego coś dobrego?

Podobno Melmirowi i Lentakowi powiodła się zuchwała ucieczka. Ich nowe przygody miały się rozpocząć u znachora Trewiasza, który stomatologię traktował hobbystycznie.

Część kronikarzy utrzymuje, że Rotupał przeżył. Że Gramisz doczekał się wizyty samego króla. Że splot pewnych zdarzeń wymusił na Jodygu udawanie barda.

Ile jednak w tym wszystkim prawdy? Nikt tego nie wie.